TYGODNIK POWSZECHNY

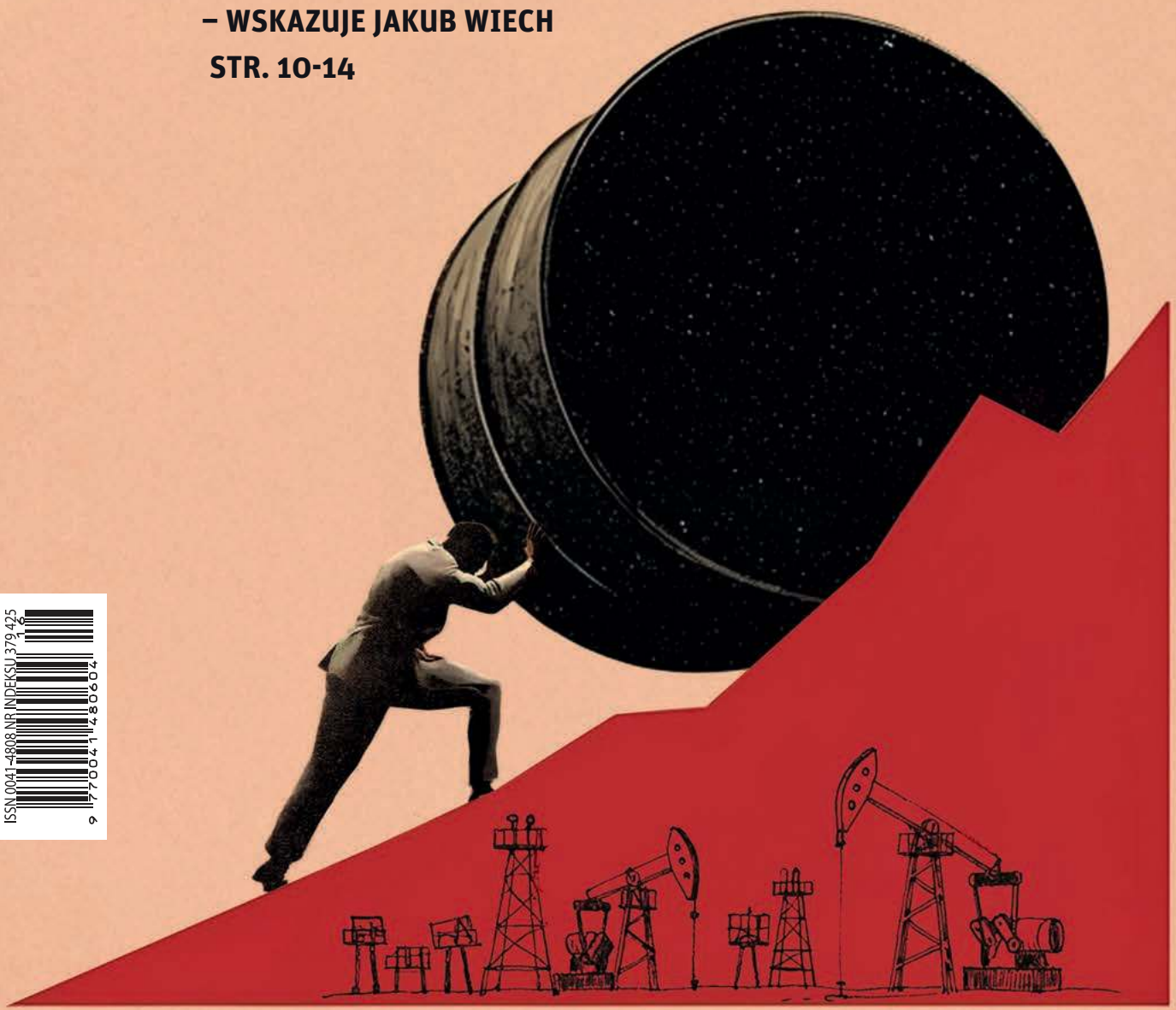
Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 15 – 21 kwietnia 2026 | nr 16 (4006)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Popiołek: Trump, papież i wojna
Héjj: co zmieni rewolucja na Węgrzech
Matczak: brońmy zakazu kary śmierci
Stec: jak pożegnać Lewandowskiego
Śmieja: czy mężczyźni są dyskryminowani
Przewrocka-Aderet: niech żyje nuda

SKAZANI NA ROPĘ

WYJŚCIEM JEST ZIELONY ŁAD – WSKAZUJE JAKUB WIECH
STR. 10-14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 94d9ff4ce5

REKLAMA

2:05

Dzisiaj

hej, tu Dawid Podsiadło

widzę, że przeglądasz sobie Tygodnik Powszechny 😉

nie chcę przeszkadzać

ale jak zeskanujesz ten QR kod

posłuchasz przedpremierowo mojego nowego singla

a oficjalna premiera 17 kwietnia

no ale jak nie masz ochoty

to przerzuć stronę dalej

nie było tematu ❤️

eprasa.pl 94d9ff4ce5

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, JACEK STAWISKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Węgry: stawka maksimum
DOMINIK HÉJJ

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Prawo do zabijania
MARCIN MATCZAK:
Jak obronić zakaz kary śmierci

20 Dziecko w teatrze
ANNA GOLUS:
W promocji placówek edukacyjnych bezprawnie wykorzystuje się wizerunki uczniów

22 Długie pożegnanie



OSCAR J. BARROSO / ZUMA PRESS / FORUM

RAFAŁ STEC:
Robert Lewandowski – najważniejszy dziadek wielkiego futbolu

■ ■ OPINIE

28 Ta biedna męskość
WOJCIECH ŚMIEJA:
Dyskryminacja mężczyzn? Jak Michał Gulczyński mebluje męskie głowy

■ ■ ŚWIAT

32 Powrót Rosji
FILIP RUDNIK:
Bojkot Rosji jest coraz bardziej dziurawy

36 Autostrada do Transylwanii
JAN POCHEĆ
o rumuńskiej dyskusji nad programem SAFE i chwiejącymi się sojuszami

38 Zakarpacki azyl
JULIUSZ PIELICHOWSKI:
Użhorod – schronienie dla uciekających przed wojną

■ ■ WIARA

42 Mesjasz Trump
PIOTR POPIOŁEK:
Waszyngton coraz mocniej splata politykę z fundamentalizmem

46 Charyzmatycy XXI wieku
PAULINA MODEL: *Czy wspólnoty charyzmatyczne potrafią budować zdrowy i bezpieczny Kościół?*

TEMAT TYGODNIKA

10
Surowcowy odwyk
JAKUB WIECH
Nie stać nas już na paliwa kopalne. Jeśli Unia Europejska ma się rozwijać, nie może ponosić miliardowych strat tylko dlatego, że gdzieś daleko tankowce utknęły za jakąś cieśniną.

13
Baryłka baryłce nierówna



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
26 OLGA DRENDA
62 WOJCIECH BONOWICZ
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ KUŹMIŃSKI

49 Cud Jonasza
ROZMOWA Z KS. BIASGIU VIRGITTIM, BIBLISTĄ: *Do skomplikowanych misji Bóg wybiera skomplikowane postaci*

51 CZYTANIA
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

52 Mózg to nie rzecz
ROZMOWA Z IAINEM MCGILCHRISTEM: *Co lateracja mózgu ma wspólnego z duchowością*

■ ■ HISTORIA

56 Bezkarni
TOMASZ CHINCIŃSKI:
W 1966 r. winni zbrodni na polskich elitach zostali uniewinnieni. Jak to było możliwe?

60 Brama ciemności
RAFAŁ RYSZKA:
Przed I wojną kwitł handel kobietami z Europy Środkowej

■ ■ KULTURA

64 Podróżuj pieszo, a świat się otworzy
ROZMOWA Z WERNEREM HERZOGIEM, REŻYSEREM:
„Sny o słoniach" nie są o przyrodzie, lecz o potędze fantazji

68 W stronę tęczy
PAULINA FRANKIEWICZ:
Na rynku książki widać wzrost zainteresowania tematyką queer

70 Wyspa Wielkich Mistrzów



HERITAGE MALTA / MALTA BIENNALE 2026

PIOTR KOSIEWSKI:
Malta Biennale zderza sztukę współczesną z dziedzictwem wyspy

73 Polecamy

74 Życie z raną
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Chronologia wody" Kristen Stewart

75 Cienie „lat ołowiu"
LEKTOR *o książce Donny Leon „Kto sieje wiatr"*

■ ■ PSYCHE

78 Niech żyje nuda!
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
Oswojona, otworzy drzwi do nowych pomysłów

eprasa.pl 94d9ff4ce5

KS. ADAM

Boniecki: *Anna. Jak wierzyć nieteoretycznie*

Dziś nie będę nawiązywał do żadnego z artykułów z bieżącego numeru. Chciałem po prostu pożegnać kogoś, kto był dla mnie ważny.

Poznałem Annę, gdy mieliśmy po kilkanaście lat. Mówiliśmy o sobie „bezeci" i rzeczywiście coś było na rzeczy: z nadejściem PRL-u i reformą uwłaszczeniową nasze rodziny straciły majątek. Trafiliśmy z bratem na kolonie do Makowa Podhalańskiego. Była tam też ona – zdaje się, że również z dwoma lub trzema braćmi, ale zapamiętałem głównie ją, bo nie traktowała nas jak małoletnich przygłupów.

Kolejny raz spotkaliśmy się, kiedy byłem już księdzem, a potem wymienialiśmy listy, widywaliśmy się, rozmawialiśmy – Anna Grocholska stała się częścią mojego życia. Zawsze młodzieńcza, zawsze ciekawa ludzi. Wiadomo, że ludzie się starzeją i umierają, ale ona? Nigdy nie myślałem o niej jako o starszej pani.

Była artystką rzeźbiarką. Dyplom ASP uzyskała w 1957 r. i z całą świadomością poświęciła się sztuce sakralnej. Z całą świadomością, bo Anna taka właśnie była. Wśród licznych jej prac ze szczególną uwagą obejrzałem i oglądam co jakiś czas Drogę Krzyżową w Górze Kalwarii: 15 rzeźb kamiennych, wykonanych przez nią w latach 1985-1997.

Nie wykuwała jej bez przerwy. Ciężki młot i dłuta musiały nieraz długo czekać, robiła inne rzeczy. I pisała. Praca nad Drogą Krzyżową to kilka grubych zeszytów notatek. Kiedy opracowywałem książkę o tym dziele, zamieściłem w niej drobne fragmenty



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA

JACEK

Stawiski: *Powrót na Zachód*

Odkąd pamiętam, Węgry uchodziły za jakiś punkt docelowy dla szarej, ponurej Polski po stanie wojennym. Relatywnie liberalny reżim, pewna swoboda wyjazdu na Zachód, pełne półki. W liceum nauczyciel historii opowiadał z przejęciem o czasie, gdy Węgrzy chwycili za broń przeciwko Moskwie, a polskie społeczeństwo sympatyzowało z walczącymi. Noszono wstążki w węgierskich barwach, oddawano krew, wysyłano pomoc. Czerwiec 1989 r. – w Polsce wybory, które wygrała Solidarność, a na Węgrzech uroczysty pogrzeb premiera Imre Nagya, bohatera roku 1956.

Dekada lat 90. to czas, gdy Węgry szły szybko na Zachód, były obok Czech pupilem zachodniej opinii publicznej, która Polskę uważała za kraj bardziej zacofany i ociężały na drodze modernizacji. Ale do NATO i do UE weszliśmy razem, mieliśmy ten sam punkt startowy. A dzisiaj to Polska pędzi do przodu – przy wszystkich cieniach obecnej metamorfozy ekonomicznej i społecznej, udało nam się zostawić Węgry za sobą. Teraz,

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 59
SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 94d9ff4ce5

tych zapisków. Pamiętam, że prawie każdą stację ofiarowywała w jakiejś intencji. Tu nic nie było przypadkowe, wszystko miało głębszy sens, wszystko było po coś.

Wyliczanie dzieł Anny nie jest dla mojego wspomnienia najważniejsze, choć wypada wymienić na przykład płaskorzeźbę w warszawskim Kościele św. Marcina, podziemną kaplicę u redemptorystów na Nowym Mieście czy drogi krzyżowe w Kościele św. Krzyża na kieleckim Szydłówku i w domu macierzystym sióstr urszulanek, nie mówiąc o konserwacji starych obrazów i rzeźb. Podejmując te prace, nie dbała o zarobek – nawet jeśli czasem szlag ją trafiał na sknerstwo duchownych, rzadko o tym wspominała.

Są rzeczy istotniejsze. Na jej rozwój duchowy wielki wpływ mieli wykładowcy Instytutu Katolickiego w Paryżu: o. de Lubac, o. Chenu, o. Légere, o. Daniélou. Wiernym przyjacielem Anny był przez długie lata o. Loew, z którym korespondowała do jego śmierci.

Wszystko, co w życiu Anny było piękne i dobre, wynikało z wielkiego przejęcia się Panem Bogiem. Była osobą wierzącą nieteoretycznie. Nie mówiła o tym, ale chyba (nie byłem aż tak dalece świadkiem) wszystko budowała na fundamencie wiary. Ona czuła, miała taką łaskę, wiedziała, że Bóg jest osią, wokół której porusza się w jej życiu wszystko.

Takich ludzi nie ma dziś wielu. Oczywiście są, bo inaczej już by nas nie było. Nie robią wokół siebie szumu, ale są – i gdyby nie oni, doprawdy trudno by było wytrzymać.

Ale Anny będzie nam brakowało. Jeszcze zobaczycie, jak bardzo. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

po wyborach, Budapeszt ma szansę na zmianę, dla Polski i Europy pożądaną – na odejście od autorytarnej, antyeuropejskiej i antynatowskiej drogi Orbána i jego ekipy. W „Tygodniku” wybory te komentuje **DOMINIK HÉJJ**.

Piszemy też o narastającym sporze ideowym i religijnym między Watykanem a Waszyngtonem – w obydwu stolicach rządzą Amerykanie, którzy mają zupełnie inne wizje chrześcijaństwa i porządku światowego. Jak chrześcijaństwo Leona XIV i chrześcijaństwo MAGA są od siebie różne, wręcz przeciwstawne – pokazuje **PIOTR POPIOŁEK**.

Wojna w Iranie cały czas niesie strach o przyszłość gospodarek na świecie. **JAKUB WIECH** podpowiada, że europejską szansą na prawdziwe uniezależnienie się od rynku surowców i od geopolitycznego nacisku jest sensowna i konsekwentna transformacja ekologiczna.

Mamy właśnie kolejny, po Grenlandii, kryzys w NATO. Podobno prezydent Trump z Przymierza Atlantyckiego nie może się wycofać, ponieważ nie pozwoli mu Kongres. Obawiam się, że formalnie pozostając w NATO, poprowadzi jednak taką politykę, która uczyni obecność amerykańską w Sojuszu bezprzedmiotową. Z Viktorem Orbánem było podobnie. Nie wyprowadził Węgier z UE ani NATO. Tylko czy Węgry orbánowskie realnie były państwem unijnym i natowskim? ©℗

Jacek Stawiski, dziennikarz i historyk, jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Powszechnego”

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

ARTUR SPORNIAK
Małżonkowie mogą współżyć ze sobą w sposób, który uznają, że rozwija ich relację, nie zważając na to, jakie normy głosi katolicka etyka. To także jest nauczanie Kościoła!

MONIKA OCHĘDOWSKA
Prosto z międzynarodowych targów książki w Bolonii o najnowszych trendach w literaturze dziecięcej i o tym, jak się na świecie promuje czytelnictwo najmłodszych.

MARTYNA PIETRZAK-SIKORSKA
Dzieci w pętli algorytmów. Jak je bronić przed uzależnieniem od social mediów? Czy zakaz używania telefonów w szkołach, z którym wystąpił rząd, rozwiąże problem?



MONTAŻ TP / ADOBE STOCK

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

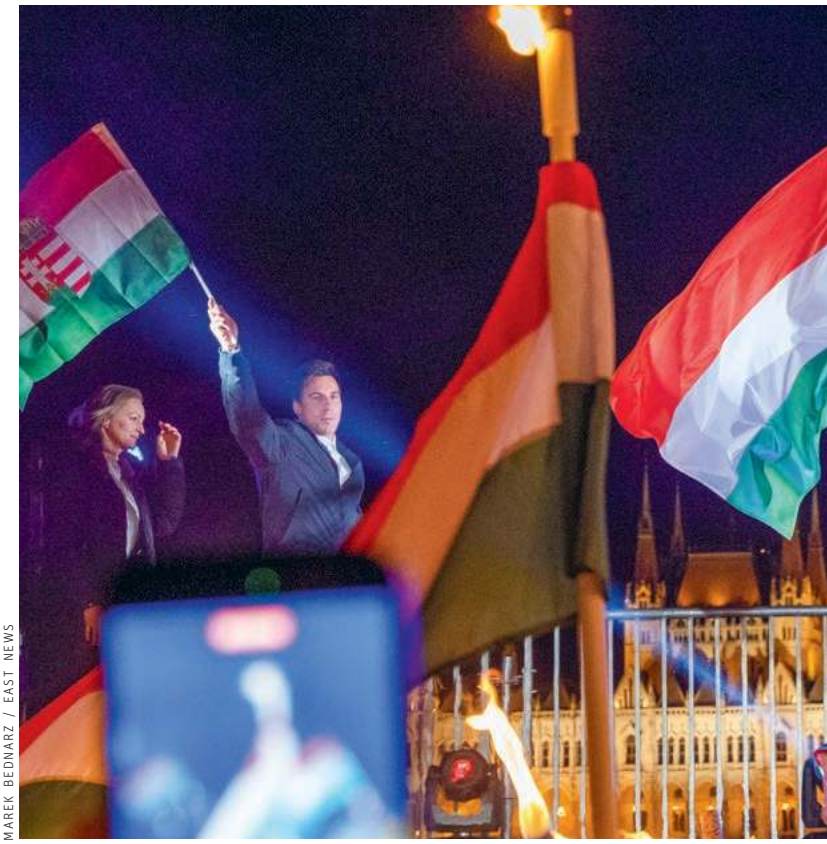
Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 94d9ff4ce5

OBRAZ TYGODNIA

4–13 KWIETNIA 2026

PAPIEŻ KONTRA TRUMP: „Dość bałwochwalstwa samego siebie i pieniądza! Dość epatowania siłą! Dość wojny!" – powiedział papież Leon XIV podczas modlitwy o pokój, co spotkało się z ripostą amerykańskiego prezydenta, że Leon „powinien wziąć się w garść jako papież" i „najwyraźniej lubi przestępczość". ■■■ **MIĘDZY IRANEM A IZRAELEM I USA** trwa zawieszenie broni, ale prowadzone w Pakistanie rozmowy pokojowe zakończyły się fiaskiem: Teheran nie zgodził się m.in. na rezygnację z prac nad programem jądrowym. ■■■ **W LIBANIE** trwa izraelska ofensywa. Rząd Netanjahu dąży do zniszczenia proirańskiego Hezbollahu, ale efektem jego działań jest ok. 2 tys. zabitych i 1,2 mln uchodźców. ■■■ **NATO** w kryzysie: Trump sugeruje, że jego kraj opuści sojusz, który nie wsparł go w Iranie i nie zgodził się na przekazanie mu Grenlandii, jak się wyraził, „tego wielkiego, źle zarządzanego kawałka lodu". ■■■ **WĘGIERSKIE WYBORY** zakończyły się przytłaczającym zwycięstwem opozycyjnej Tiszy Pétera Magyara, która przy rekordowej frekwencji zyskała w nowym parlamencie większość konstytucyjną. Rządzącemu od 16 lat Fideszowi Viktora Orbána nie pomogło poparcie Trumpa i wizyta w Budapeszcie J.D. Vance'a. ■■■ **W USA ROŚNIE INFLACJA:** marcowy wskaźnik cen konsumpcyjnych znalazł się na najwyższym od 2022 r. poziomie 3,3 proc. ■■■ **WENEZUELA** pod naciskiem USA zmieniła ustawę o górnictwie, dopuszczając do eksploatacji surowców zagraniczne spółki. ■■■ **CZWORO SĘDZIÓW** polskiego Trybunału Konstytucyjnego złożyło ślubowanie w Sejmie i stawiło się do pracy, ale nie otrzymało przydziału spraw ani nawet gabinetów. Karol Nawrocki nie uznaje tego, co stało się w parlamencie, za satysfakcjonujące, a prawnicy spierają się o umieszczone w ustawie o statusie sędziów TK słowo „wobec" („osoba wybrana na stanowisko sędziego Trybunału składa wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej ślubowanie"). ■■■ **EDUKACJA ZDROWOTNA** będzie od 1 września obowiązkowa, ale z wyjątkiem wiedzy seksualnej: o tym, czy dziecko będzie uczestniczyć w zajęciach dotyczących również tej sfery, zdecydują rodzice. ■■■ **KŁAMSTWO SMOLEŃSKIE** wciąż jest obecne w życiu publicznym – powiedział podczas obchodów rocznicy tragedii Jarosław Kaczyński, wzywając „tych, którzy nie są tchórzami, żeby mówili o zamachu". O zamachu nie mówił podczas rocznicowego kazania kard. Grzegorz Ryś, wyrażając nadzieję na „jedność przy wszystkich różnicach". ■■■ **REFERENDUM W KRAKOWIE,** w sprawie odwołania prezydenta miasta Aleksandra Miszalskiego, odbędzie się 24 maja; odwoływany wzywa wyborców, by w dniu głosowania zostali w domach. ■■■ **REMIGIUSZ MRÓZ** nieodmiennie od 2019 r. pozostaje najchętniej czytanym autorem przez Polaków. Biblioteka Narodowa podaje, że w 2025 r. lekturę co najmniej jednej książki zadeklarowało 41 proc. badanych. ■■■ **ASTRONAUCI Z MISJI ARTEMIS II** – pierwszej od 1972 r. załogowej wyprawy w okolice Księżyca – wrócili bezpiecznie na Ziemię.



MAREK BEDNARZ / EAST NEWS

POWYŻEJ: Węgierski premier elekt Péter Magyar (z prawej) na tle parlamentu. Wieczór wyborczy w Budapeszcie, 12 kwietnia 2026 r.

STAWKA MAKSIMUM

Péter Magyar nie kryje, że chce szybko demontować „system Orbána". Jak na tę prawną rewolucję zareagują Komisja Europejska czy Komisja Wenecka?

DOMINIK HÉJJ

Niebywała mobilizacja społeczna: to ona pozwoliła partii Tisza wygrać wybory na Węgrzech. Péter Magyar, niegdyś działacz Fideszu, dokonał rzeczy niemożliwej. W realiach skrajnie niesprzyjającej ordynacji nie tylko pokonał Viktora Orbána, ale uzyskał większość konstytucyjną.

Według danych z poniedziałku 13 kwietnia, po przeliczeniu 99 proc. głosów Tisza wywalczyła 138 mandatów, zwyciężając w 93 ze 106 okręgów jednomandatowych. Obóz rządzący zdobył 55 miejsc (80 mniej niż przed czterema laty). Skrajnie prawicowa partia Mi Hazánk (Nasza Ojczyzna) utrzymała stan posiadania, wprowadzając sześciu posłów.

Te wybory odcisną na Węgrach ogromne piętno. Także dlatego, że doszło do całkowitej przebudo-

eprasa.pl 94d9ff4ce5



Péter Magyar: premier elekt

Do lutego 2024 r. był beneficjentem systemu Fideszu. Gdyby nie rozwód z b. minister sprawiedliwości Judit Vargą, który skutkował utratą wpływów, najpewniej nie odszedłby z partii. Fala społecznego oburzenia po tzw. aferze ułaskawieniowej (prezydent Katalin Novák ułaskawiła wicedyrektora domu dziecka, skazanego za tuszowanie przestępstw seksualnych) stała się impulsem do rozpoczęcia przez niego samodzielnej drogi politycznej. Fakt, że był w „systemie", zamienił w atut: kreował się na kogoś, kto zna obóz władzy od podszewki i wie, jak go pokonać.

Prawnik, ojciec trzech synów, konserwatysta. Przez lata pracował w instytucjach europejskich i biznesie. Pochodzi z elitarnej rodziny, bratem babci był Ferenc Mádl, prezydent 2000-2005.

W 2024 r. stanął na czele ugrupowania Tisza (Partia Szacunku i Wolności), które przebojem wdarło się do polityki i od jesieni 2024 r. prowadziło w sondażach.

wy sceny politycznej. Liczą się na niej tylko trzy prawicowe partie. Nie zapowiada się, by w dającej się przewidzieć przyszłości powstała siła, która to zmieni.

„NIE PODDAM SIĘ" | Magyar przejmie stery w trudnym momencie. Węgry tkwią w kryzysie gospodarczym. Drugie najpilniejsze zadanie to zszycie rozdartego społeczeństwa.

W wieczór wyborczy i on, i Orbán wykonali krok w tym kierunku. Orbán uznał porażkę już 75 minut po tym, jak z komisji zaczęły spływać pierwsze twarde dane. W ten sposób ostudził emocje – jego elektorat od tygodni przygotowywał się do obrony wyniku wyborczego (zgodnie z retoryką Fideszu: Tisza miała przecież wygrać dzięki zewnętrznym agentom i fałszerstwom). Orbán zapowiedział, że będzie służyć narodowi w opozycji, a także że nigdy, ale to nigdy się nie podda.

Z kolei Magyar, świętując zwycięstwo, zwrócił się także do wyborców Fideszu. Podkreślał, że rozumie ich rozczarowanie i wie, jak trudne jest znalezienie się w opozycji. Zapewnił, że chce być również ich premierem, a zasypywanie podziałów uważa za obowiązek zarówno swój, jak i ustępującego premiera Orbána.

WŁADZA NIEOGRANICZONA | Co teraz? Magyar zdobył najsilniejszy mandat w historii najnowszej Węgier jako samodzielna partia (Fidesz występował w koalicji z Chrześcijańsko-Demokratyczną Partią Ludową). Już zapowiada głęboką przebudowę państwa, uchwalenie nowej konstytucji i gruntowną nowelizację ustaw – jego władza jest w zasadzie nieograniczona.

Warto zwrócić uwagę, że lider Tiszy od początku grał o stawkę maksimum. Przez dwa lata odbył ok. 600 spotkań, zwłaszcza na prowincji, wielokrotnie wracając do miejsc, które mu nie sprzyjały. To podejście przyniosło korzyści: pozwoliło przeciąć klasyczne podziały w elektoratach, a także zaktywizować młodzież oraz osoby dotąd bierne politycznie. W badaniach opinii od miesięcy widać było zresztą ogromny wzrost zainteresowania polityką.

IDZIE REWOLUCJA? | Już podczas wieczoru wyborczego premier elekt wezwał prezydenta Tamása Sulyoka, by ten niezwłocznie powierzył mu misję tworzenia rządu, a potem ustąpił ze stanowiska. Podobny apel wystosował do innych urzędników mianowanych przez obóz Orbána, w tym prezesów Trybunału Konstytucyjnego i Sądu Najwyższego, prokuratora generalnego, a także szefów Urzędu Kontroli i Urzędu Ochrony Konkurencji.

Magyar zażądał ich dymisji, radząc, by nie czekali, aż ich zwolni. To jasna zapowiedź skorzystania z przewagi, jaką daje większość konstytucyjna. Widać, że Tisza będzie chciała skrócić kadencje tych urzędników, na razie działając na granicy obecnego prawa. Pytanie, jak na tę prawną rewolucję zareagują Komisja Europejska czy Komisja Wenecka. Gdyby traktować sprawę pryncypialnie, sięgnięcie po mechanizmy przypominające te stosowane przez Fidesz po 2010 r. powinno budzić ich konsternację.

CZAS NA KONKRETY | Wydaje się jednak, że ogromny kredyt zaufania – również na arenie międzynarodowej – jaki Magyar otrzymał w zamian za odsunięcie Fideszu, sprawi, że wiele mu się wybaczy.

Pytanie tylko, jaki program Magyar zechce realizować. Na razie wiemy o tym niewiele – kampania Tiszy opierała się na ogólnikach, by nie antagonizować zróżnicowanych grup społecznych, które ją poparły. Wiadomo tylko, że niezbędne jest wyznaczenie precyzyjnych ram nowej węgierskiej państwowości, wykraczających poza deklaracje o odrodzeniu relacji z sąsiadami, Polską, NATO czy UE.

Niewiadomą pozostaje też reakcja oligarchów powiązanych kapitałowo z Orbánem, do których należy potężny konglomerat medialny. To beneficjenci rządów Fideszu. Czy teraz, gdy Magyar zapowiada rozliczenie ich majątków i powołanie specjalnego ministerstwa do zbadania procesu uwłaszczenia i rozkradania państwa, podejmą współpracę z nową władzą?

WYZWANIE | W 1936 r. Attila József, wybitny poeta, opublikował wiersz „Nad brzegiem Dunaju". W ostatniej strofie padają słowa warte przytoczenia:

„Tym wojnom, które toczyli przodkowie,
Wspomnienie nada pokoju granice.
Przyszliśmy, żeby godzić, co skłócone –
Niemała praca to na nasze życie".

Magyar wygrał, ale wszystko inne pozostaje niewiadomą. A zjednoczenie Węgrów będzie dla niego wyzwaniem trudniejszym niż wyborczy triumf. Czy okaże się mężem stanu, zdolnym dźwignąć tę „niemałą pracę"? Czy tylko taktykiem, któremu udało się pokonać Orbána? ©

Tłumaczenie wiersza
ALEKSANDER NAWROCKI,
„Antologia poezji węgierskiej" (1975).

eprasa.pl 94d9ff4ce5



Potrzebujemy resetu

MAREK KĘSKRAWIEC

Spór polityczny wokół Trybunału Konstytucyjnego zaszedł już tak daleko, że trudno sobie wyobrazić sposób jego zakończenia. Przy obecnym prezydencie nie jest możliwa ustawa, która przywracałaby tej instytucji autorytet i niezależność. Ba, przy Karolu Nawrockim nie jest nawet możliwe zorganizowanie ślubowania czterech legalnie wybranych przez obecny parlament sędziów TK.

Ale gdyby nawet koalicji udało się doprowadzić do zmiany składu i uzyskania przewagi (już samo to określenie dużo mówi o charakterze walki o instytucję strzegącą konstytucji przed zakusami polityków) w Trybunale, nie ma żadnej gwarancji, że za półtora roku nie dojdzie do zmiany władzy w Polsce i że reforma nie pójdzie wtedy do kosza.

A właściwie jest gwarancja, że pójdzie. Przecież większości szykujących się do odbicia Sejmu polityków prawicy zależy tylko na tym, by mieć w Trybunale swoich ludzi, którzy nie zrobią władzy kłopotu, nawet jeśli uchwalane ustawy nie będą przesadnie sklejone z demokracją i prawami obywatelskimi. Wiele mówi o tym już sam fakt, że obecnie prezesem TK jest Bogdan Święczkowski, wierny towarzysz Zbigniewa Ziobry, pełniący wcześniej z jego nadania najważniejsze stanowiska w prokuraturze.

Z całego tego sporu społeczeństwo niewiele rozumie. Nie dlatego, że jest tępe, ale dlatego, że w walce o TK nie liczy się los jednej z najważniejszych instytucji polskiej praworządności, ale utrzymanie poprzez kruczki prawne prymatu polityki nad prawem, co ukochał szczególnie Jarosław Kaczyński, ale nie tylko on. W efekcie słyszymy masę drugorzędnych argumentów i interpretacji do interpretacji, które nie prowadzą do żadnego celu.

Tak naprawdę nie ma już większego znaczenia, kto bardziej zawinił i czy ostatnie ślubowanie sędziów w Sejmie jest legalne. Z kronikarskiego obowiązku przypomnę, że zaczęło się od tego, iż zdominowany przez PO parlament wybrał w 2015 r. pięciu sędziów na zwalniane stanowiska, z tym że o dwóch z nich powinien był decydować już kolejny Sejm. Gdy do władzy doszedł PiS, unieważnił wybór nie dwóch, ale wszystkich pięciu sędziów, po czym ustawami zabił całą niezależność Trybunału. Dalej już tylko stopniowano jego degrengoladę, w czym udział ma też obecna koalicja, niepublikująca od ponad dwóch lat wyroków TK.

Słusznie uważają Krzysztof Bosak i Adrian Zandberg, że konieczny jest reset konstytucyjny i ułożenie TK od nowa. Kłopot w tym, że przy obecnej nienawiści między politykami kompromis jest mniej więcej tak daleki, jak odległość programowa między nawołującymi do niego Konfederacją i Partią Razem. ©℗

Nowo wybrani sędziowie TK Marcin Dziurda i Anna Korwin-Piotrowska, którzy nie zostali zaprzysiężeni przez prezydenta. Warszawa, 10 kwietnia 2026 r.



RADEK PIETRUSZKA / PAP



Kryptokracja

MAREK RABIJ

Ile pieniędzy wyparowało z polskiej giełdy kryptowalut Zondacrypto? Czy mamy do czynienia z malwersacją na wielką skalę, czy – jak przekonują przedstawiciele firmy – to tylko problemy techniczne, które chwilowo odcinają klientów od ich aktywów?

To w gruncie rzeczy pytania drugorzędne. Oczywiście, jeśli okaże się, że właściciele giełdy zdefraudowali powierzony im kapitał, prokuratura będzie mieć sporo pracy. Wśród inwestorów Zondacrypto nie zabraknie wówczas i takich, którzy stracą oszczędności całego życia. Nie lekceważąc ciężaru takich krzywd, nie można jednak nie zauważyć, że afera w co najmniej tym samym stopniu będzie także smutnym dowodem słabości państwa, które znowu nie ochroniło obywateli przed najgorszym.

Niespełna roku temu Karol Nawrocki zawetował ustawę, która wprowadzała do polskiego prawa unijne regulacje rynku kryptowalutowego. W uzasadnieniu weta prezydent przyznawał, że przepisy istotnie zwiększyłyby bezpieczeństwo klientów tego sektora, ale podkreślił zarazem, że w jego opinii ważniejsze jest to, iż nowe regulacje „mogą zahamować rozwój innowacyjnych technologii finansowych w Polsce".

Pomińmy rzecz oczywistą, czyli fakt, że państwo może narzucić regulacje, które chronią klientów i zarazem nie pętają nóg innowacyjnym przedsiębiorcom. Jednak w przypadku rynku kryptowalutowego problem leżał już w samej idei regulacji. Dla tych, którym bliska jest wizja państwa dybiącego na wolność jednostki, zakup zdecentralizowanych, niekontrolowanych przez nikogo kryptowalut po prostu był grą wartą ryzyka.

Problem w tym, że kryptowaluty dawno już opuściły ten pierwotny ocean. A skoro stają się pełnoprawnym elementem kapitałowego krwiobiegu, muszą też podlegać regulacjom, które ochronią konsumentów. Także tych, którzy kupią je, nieświadomi skali związanego z tym ryzyka.

Prezydent i spora część polskiej prawicy, zapatrzonej w „wolnościowy" elektorat, postanowili jednak udawać, że tego nie rozumieją. Dziś, gdy poszkodowani pytają, gdzie jest państwo, politycy starają się przemilczeć swoje związki z Zondacrypto, licząc na to, że nie zauważymy, jak blisko od „krypto" do „klepto". ©℗

eprasa.pl 94d9ff4ce5

TOMASZ PODGÓRSKI, EKOLOG:

Nie tylko myśliwi są w stanie rozwiązać problem z rosnącą liczbą dzików w miastach

ANNA GOC: Jak Pan zareagował na informacje o odstrzale dzików w Warszawie, który przeprowadzono na oczach mieszkańców?
DR HAB. TOMASZ PODGÓRSKI: Na odstrzał dzików w miastach najczęściej ma wpływ skala konfliktów i sami mieszkańcy. Jeśli zgłaszają obawy związane z obecnością dzików lub dochodzi do wielu konfrontacji i wypadków, władze czują presję i mogą podjąć decyzję o odstrzale. Duża liczba dzików w miastach może wpływać na zwiększone ryzyko przenoszenia chorób odzwierzęcych groźnych dla człowieka, np. leptospirozy.

O ile wiem, w Warszawie było sporo wypadków komunikacyjnych z udziałem dzików, stąd decyzja o odstrzale. Prawdopodobnie można ten odstrzał prowadzić nie w bezpośrednim sąsiedztwie zabudowań, ale przestrzeń miejska stawia tu wiele wyzwań. Jeszcze kilka lat temu często decydowano się na odławianie dzików i ich wywożenie poza miasto. Teraz, także w związku z problemem ASF (wirus afrykańskiego pomoru świń) coraz częściej złapane dziki poddaje się eutanazji lub strzela się do nich.



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. TOMASZ PODGÓRSKI jest ekologiem behawioralnym, bada m.in. zachowania dzików w kontekście gospodarki łowieckiej, urbanizacji i ASF. Pracuje w Instytucie Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży i Czeskim Uniwersytecie Przyrodniczym w Pradze.

Dziki są niebezpieczne dla ludzi?
Zazwyczaj nie. Dziki raczej nie atakują, a jeśli – to w obronie. Dokarmianie ich, inicjowanie kontaktu, pozwalanie psom na podbieganie może prowadzić do niebezpiecznych sytuacji. Rozsądna jest raczej doza niewielkiego strachu przed dzikimi zwierzętami.

Wzrost populacji dzików w europejskich miastach obserwujemy od ponad pięćdziesięciu lat. Miasto jest dla nich przede wszystkim źródłem bogatego w energię pokarmu. Zimą jest im też w mieście cieplej. No i dotąd mogły się tu czuć bezpieczniej, bo nie było myśliwych.

Czy odstrzał jest rozwiązaniem problemu rosnącej liczby dzików w miastach?
Ten prowadzony w Polsce – niekoniecznie. Odstrzał na obrzeżach miast, często intensywny w związku z ASF, może sprawiać, że dziki migrują do centrum.

Badania z europejskich miast pokazują zróżnicowanie między poszczególnymi dzikami w stopniu ich tolerancji bliskości człowieka. Wiemy, że dziki, które są aktywne w ciągu dnia, bardziej penetrują tereny zabudowane. Dużo skuteczniej byłoby się skupić na tych osobnikach, które przełamują barierę strachu i nie zachowują dystansu wobec ludzi. Takie podejście stosuje się m.in. wobec niedźwiedzi.

Nie jest też tak, że tylko myśliwi są w stanie rozwiązać problem z rosnącą liczną dzików w miastach. Dzików będzie przybywać i musimy wypracować strategie koegzystencji.

Jakie są inne rozwiązania?
Ograniczenie dostępu do żywności w miastach jest kluczowe, także skutecznie egzekwowany zakaz dokarmiania. Konieczne są też kompleksowe rozwiązania planistyczne, które ograniczyłyby możliwość przenikania dzików do miast. Władze miast powinny włączyć w prace nad takimi rozwiązaniami naukowców, architektów przestrzeni miejskiej, zarządców terenów zielonych. Podobnie w skali kraju – przydałoby się grono ekspertów, którzy mogliby się zająć problemem dzików w mieście. **©℗ Rozmawiała ANNA GOC**

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

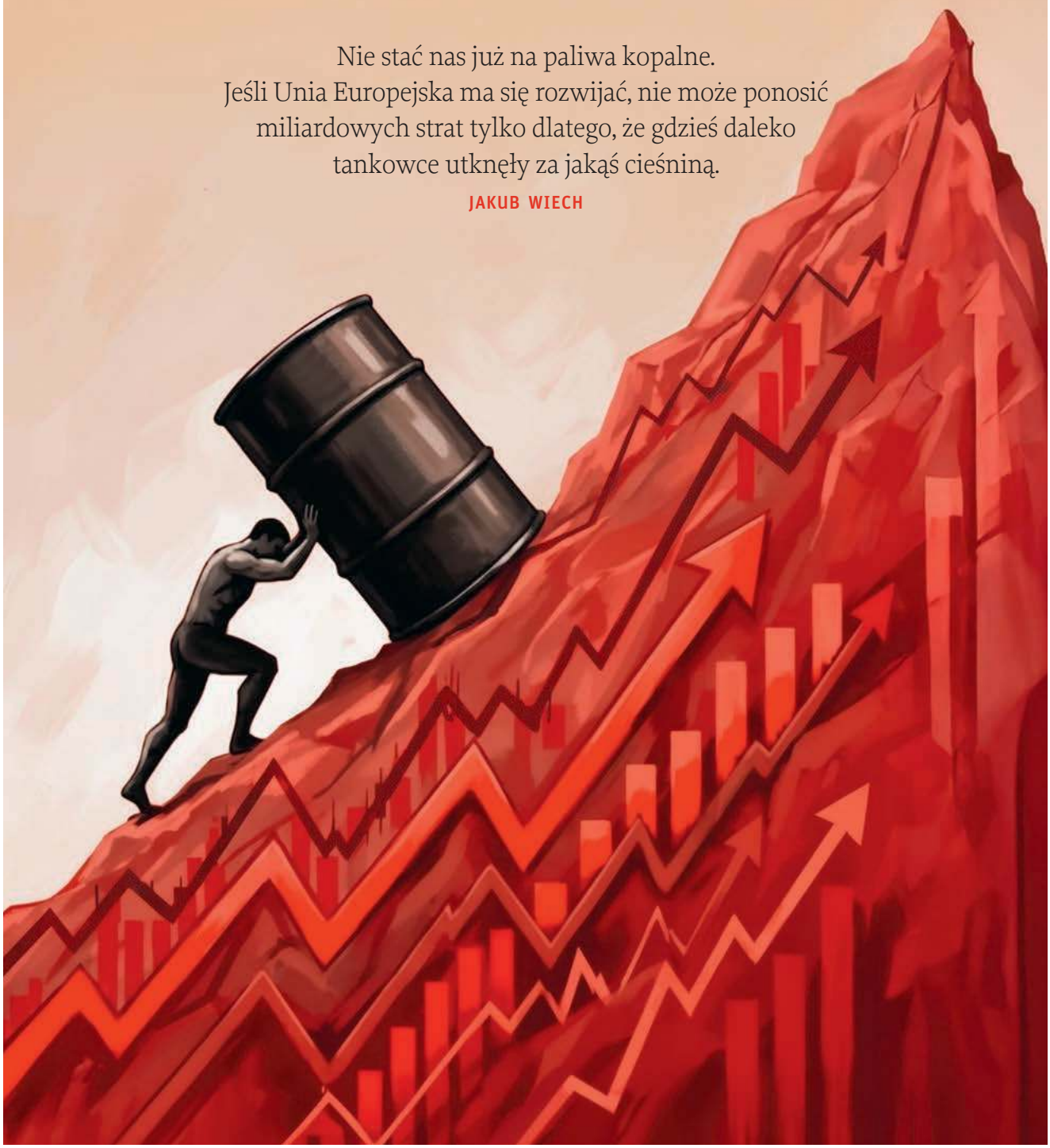
eprasa.pl 94d9ff4ce5

TEMAT TYGODNIKA

SUROWCOWY ODWYK

Nie stać nas już na paliwa kopalne. Jeśli Unia Europejska ma się rozwijać, nie może ponosić miliardowych strat tylko dlatego, że gdzieś daleko tankowce utknęły za jakąś cieśniną.

JAKUB WIECH



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 94d9ff4ce5

Popkultura mówi, że dealerzy narkotyków często praktykują zasadę „pierwsza działka za darmo". Klient próbuje, uzależnia się, a gdy jest już nałogowcem, zapłaci każdą cenę, byleby dostać substancję.

Ten sam mechanizm doskonale opisuje relację Unii Europejskiej z paliwami kopalnymi. I tak jak przy uzależnieniu narkotykowym, tak i w tej kwestii, kluczem do wyjścia z nałogu jest dostrzeżenie oraz zrozumienie pełni jego kosztów.

Cztery dolary za galon

„Otwórzcie tę j***ną cieśninę, wy chore sukinsyny, albo wyślę was do piekła" – takimi słowami prezydent USA Donald Trump zwrócił się w Wielkanoc 2026 r. do władz Iranu, wzywając je do jak najszybszego udrożnienia cieśniny Ormuz. Uderzenia irańskich dronów w statki, które próbowały przez nią przepłynąć, skutecznie zniechęciły armatorów do podejmowania takich prób. Szlak, przez który przechodziło ok. 20 proc. światowego handlu ropą i gazem skroplonym, nagle opustoszał.

Z dzisiejszej perspektywy można już zaryzykować stwierdzenie, że USA nie były przygotowane na taki rozwój sytuacji. Blokada Ormuzu oraz uderzenia Iranu w inne kraje Zatoki Perskiej i ich infrastrukturę naftowo-gazową rozpoczęły bowiem drugi w ciągu zaledwie czterech lat światowy kryzys energetyczny. Biały Dom z trudem odnajdywał się w sytuacji, w której na kilka miesięcy przed amerykańskimi wyborami połówkowymi ceny paliw w USA zbliżają się do niechlubnych rekordów z 2022 r., przebijając 4 dolary za galon benzyny.

Jeśli zatem Ameryka, czyli największy na świecie producent i eksporter surowców energetycznych, obrywa tak mocno kolejnym kryzysem, to jak odczuje go Unia Europejska, która należy do głównych importerów nośników energii?

Rachunek za Iran

Odpowiedź na postawione powyżej pytanie jest krótka: dla UE to sytuacja wprost katastrofalna. Dopiero w drugiej połowie 2025 r. unijne gospodarki zaczęły odczuwać zauważalny spadek cen surowców oraz paliw po gwałtownym wzroście spowodowanym pełnoskalową agresją Rosji na Ukrainę. Stabilizowała się inflacja, przemysł wykazywał oznaki pobudzenia, poprawiały się nastroje konsumenckie. Perspektywy na rok 2026 były obiecujące – aż do 28 lutego.

Teraz Europejczycy znów stają przed kryzysem, który ponownie wykoleja unijną gospodarkę, a bierze się po prostu z najgroźniejszego nałogu UE: czyli uzależnienia od paliw kopalnych.

Każdy narkoman ma swoją historię – zazwyczaj wyglądającą jak bilans strat. Unijna powieść na ten temat jest spektakularna; można prowadzić ją bowiem przez muzeum wielkich liczb. Dla przykładu: podczas ostatniego kryzysu energetycznego (2021-2024) UE wydała na zakupy surowców energetycznych 1,8 bln euro, czyli dwukrotność zeszłorocznego polskiego PKB.

Połowę tej kwoty – a więc 900 mld euro – stanowiła nadpłata, wynikająca z gwałtownego skoku cen nośników energii. To nie wszystko: tylko w 2022 r. kraje UE musiały rzucić na rynek kolejny bilion euro, by stabilizować odbiorcom końcowym ceny ciepła, gazu, paliw czy prądu.

Z kolei w pierwszym pokryzysowym roku względnie ustabilizowanych cen energii – czyli w roku 2025 – wartość unijnego importu surowców energetycznych sięgnęła 336,7 mld euro. Jednakże przez wojnę w Iranie tegoroczne importy mogą znów być kosztowniejsze – tylko w ciągu pierwszych 10 dni konfliktu UE płaciła dodatkowe 250 mln euro dziennie za sprowadzane nośniki energii.

Tyle, jeśli chodzi o wielkie liczby – bo dla lepszego obrazu trzeba przełożyć tę opowieść na język przemawiający silniej do przeciętnego konsumenta.

Wewnątrz baryłki

Całą mechanikę kosztu uzależnienia od paliw kopalnych najłatwiej pokazać na przykładzie szalejących cen ropy naftowej i paliw.

Tuż przed atakiem USA i Izraela na Iran baryłka ropy Brent (patrz ramka na str. 13) – kosztowała 69 dolarów. Trzy tygodnie po rozpoczęciu wojny i nałożeniu blokady na cieśninę Ormuz jej cena wzrosła do 112 dolarów. Odbiorcy surowca z Zatoki Perskiej zaczęli się więc rozglądać za alternatywą i szturmować eksporterów; popyt naftowy nie jest bowiem elastyczny.

Zawsze w takich sytuacjach pojawia się tzw. surowcowe *panic buying*, czyli gorączkowe zakupy, często na zapas, dokonywane przez różnych klientów z całego świata. Do tego doszła premia za ryzyko, a więc zawarta w nowej, wyższej cenie kalkulacja dotycząca możliwości rozszerzenia się konfliktu i dalszych przerw w dostawach.

Dla pełnego obrazu – jak podkreśla Łukasz Skiba, analityk zajmujący się rynkami finansowymi – trzeba wspomnieć o mechanizmach rządzących światowym handlem ropą.

– Najwięcej kontrowersji budzi dziś oderwanie się wycen popularnych benchmarków, takich jak WTI czy Brent, od realiów rynkowych – zaznacza analityk. – Nie starczyłoby dnia, żeby opisywać wszystkie anomalie, ale wartym nagłośnienia jest chociażby sprytny zabieg traderów TotalEnergies, którzy wzmożonymi zakupami wykreowali ogromny wzrost cen ropy Dubai, po czym skasowali blisko miliard dolarów zysku – mówi.

Dla zobrazowania wyjątkowości sytuacji analityk podaje przykład. W normalnych warunkach eksport lekkiej ropy z USA do Azji nie ma sensu ekonomicznego. Dziś jednak marże rafineryjne w Azji wzrosły tak bardzo, że opłacają się najbardziej nieefektywne kierunki, nawet jeśli dany gatunek ropy nie daje pożądanego „urobku" w postaci gotowych paliw.

– Mamy do czynienia z klasycznym kryzysem płynności. Brakuje nie tylko surowca, ale też statków, a to rozregulowało mechanizm tzw. arbitrażu, czyli możliwość zakupu ropy tam, gdzie jest taniej, i sprzedaży tam, gdzie jest drożej. To pomijany, a istotny wątek: aktualny kryzys to w równej mierze kryzys dostępności tankowców, który nie zaczął się zresztą w lutym. Narasta jak kula śniegowa od pandemii, poprzez zmiany w logistyce po wybuchu wojny na Ukrainie, ataki Hutich na Morzu Czerwonym, kryzys klimatyczny w 2023 r., który sparaliżował Kanał Panamski, aż po amerykańską interwencję w Wenezueli i „wyrwanie" tamtej ropy z objęć floty cieni – wymienia Skiba.

I tak nagromadzenie czynników sprawiło, że w trzy tygodnie baryłka Brent zdrożała o 60 proc. Ale termin „baryłka" wciąż brzmi abstrakcyjnie. Warto więc zobaczyć, jak na tę zmianę reaguje reszta gospodarki.

Wojna w portfelach

W pierwszym odruchu na pewno zajrzymy na stacje benzynowe. Na ich ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ pylonach szybko zaczynają się gwałtowne skoki. Sprzedawcy paliw działają bowiem odtwórczo, i to w podwójnym tego słowa rozumieniu: oferowane przez nich ceny niejako odtwarzają sytuację na rynku globalnym, bo oni sami muszą myśleć o odtworzeniu zapasów benzyny czy oleju napędowego po wyższych cenach. I tak, po trzech tygodniach wojny w Iranie, na wielu stacjach w Polsce za litr diesla trzeba było płacić ponad 8 zł, czyli o ok. 2 zł więcej niż w lutym.

Jednakże to nie sama ropa sprawia, że ceny szaleją – przy dystrybutorze nie tankuje się przecież tego surowca, tylko produkty jego rafinacji. Te zaś są w dużej części importowane (jeśli chodzi o olej napędowy, to Polska sprowadza 40 proc. zapotrzebowania). Żeby zaś import się opłacał, to cena na rynku krajowym musi być odpowiednio wysoka w stosunku do ceny paliwa importowanego – a tak się akurat składa, że przez zablokowaną cieśninę Ormuz szły głównie eksporty diesla, co szczególnie mocno podbija notowania akurat tego nośnika energii.

Odbiorcy na świecie rozpoczynają więc licytację cenową, którą z czasem zaogniają uderzenia w rafinerie, a więc źródła dostaw paliw na rynek. Import staje się coraz droższy, a wraz z nim skaczą lokalne wyceny. I nagle okazuje się, że przeciętny polski kierowca, przejeżdżający miesięcznie ok. 1,5 tys. km samochodem z silnikiem diesla, za paliwo płaci już nie 540 zł, ale 720 zł.

Drożejące paliwa momentalnie wywierają presję na koszty transportu, które w nawet 40 proc. są zależne właśnie od nich. Z kolei transport podbija ceny mnóstwa produktów i usług. Dlatego też w marcu br. indeks CPI, pokazujący ceny towarów i usług konsumpcyjnych, był wyższy o 3 proc. w porównaniu do marca roku 2025. To i tak mniej niż przewidywali ekonomiści – spodziewano się bowiem 3,3 proc. Słowem: za te same produkty Kowalski płaci dziś o 3 proc. więcej niż rok temu. W dużej mierze przez kryzys naftowo-paliwowy.

Przy takim tąpnięciu gospodarczym do akcji wchodzi rząd – i obniża akcyzę oraz VAT na paliwa, ustalając przy tym ich ceny maksymalne, żeby sprzedawcy nie wypełnili podatkowego rabatu swoją marżą. Ale to tylko leczenie objawowe. Oczywiście, udaje się okiełznać ceny na stacjach, a przez to i inflację, ale koszt tego i tak ponosi budżet państwa – przychody podatkowe spadają o ok. 1,6 mld zł miesięcznie.

W tym miejscu znów pojawiają się wielkie liczby, podczas gdy my na sytuację chcemy nadal spoglądać z perspektywy Kowalskiego. Rosnące ceny paliw oznaczają dla niego nie tylko wzrost kosztów transportu drogowego. Skaczą również ceny biletów lotniczych, zwłaszcza tanich linii – na razie o kilka procent, ale jeśli kryzys się utrzyma, to tegoroczne wakacje mogą być sporo droższe niż szacowało wiele polskich gospodarstw domowych.

Mało tego: dłuższa przerwa w dostawach gazu z Zatoki Perskiej będzie podbijać ceny tego surowca na rynku europejskim (obecnie większe o 50 proc. w stosunku do końca lutego), co z kolei przerodzi się w wyższe ceny energii elektrycznej i ciepła w UE (gaz jest kluczowy do ich wyznaczania).

Ucierpi też przemysł, zwłaszcza chemiczny. Odbije się to na cenach nawozów, a więc i żywności – i to nie tylko przez sam gaz, ale również ze względu na to, że przez Ormuz szły ogromne ilości mocznika. Jeśli zaś równolegle zacznie nakręcać się spirala inflacyjna, to wrócić mogą mechanizmy sprzed czterech lat, czyli np. podniesienie stóp procentowych przez NBP, co zwiększy koszty kredytów i zostawi mniej pieniędzy na konsumpcję.

I tak Kowalski budzi się w sytuacji, w której musi wydać więcej na jedzenie, podróż do pracy, wakacje czy ratę kredytu, bo gdzieś na drugim końcu świata tankowce utknęły za jakąś cieśniną.

Ziemia jałowa

Uprzedźmy z góry pytanie, które zapewne padnie. Dlaczego kraje UE nie wydobywają swoich własnych surowców energetycznych? Odpowiedź jest prosta: bo albo ich nie mają, albo te, którymi dysponują, są nieopłacalne w eksploatacji. Unijna produkcja ropy naftowej to zaledwie 15,5 mln ton – czyli ok. 60 proc. tego, co przez rok zużywa sama Polska.

Gdyby UE chciała być samowystarczalna w tym zakresie, musiałaby zwiększyć wydobycie trzydziestokrotnie. Takich złóż w UE po prostu nie ma. Gaz ziemny? Obecnie eksploatowane pokłady dają Unii niecałe 40 mld m sześc. rocznie, co umożliwia pokrycie ok. 10 proc. zapotrzebowania. Istnieje możliwość zwiększenia tej puli biometanem, ale ten wciąż jest od gazu ziemnego sporo droższy.

Węgiel kamienny? Ostatnim krajem Unii, który go wydobywa, jest Polska. To wydobycie kosztuje polskich podatników miliardy złotych rocznie, bo sektor jest w większości trwale nierentowny i wygenerował 20 mld zł strat tylko w ciągu ostatnich dwóch lat. Tymczasem produkcja z kopalń na Śląsku i Lubelszczyźnie nie pozwala pokryć nawet polskiego zapotrzebowania, nie mówiąc o unijnym – Polska od 2010 r. jest importerem węgla netto.

Węgiel brunatny? Używają go wciąż Niemcy, Polacy, Czesi, Bułgarzy, Rumuni, Grecy, Węgrzy i Słoweńcy. Ale z tego grona jedynie Polska chce korzystać z tego surowca po roku 2038. Obecnie eksploatowane odkrywki powoli się kończą, a wydobycie z nowych złóż jest zbyt kosztowne – m.in. ze względu na szkody w rolnictwie i gospodarce wodnej. Zresztą, surowiec ten odpowiada już tylko za niecałe 6 proc. unijnej generacji energii elektrycznej.

Podsumowując: nieprzypadkowo UE importuje 75 proc. zużywanego węgla, 90 proc. gazu i 97 proc. ropy i paliw. Dlatego co roku przelewa miliardy euro amerykańskim nafciarzom, arabskim szejkom czy rosyjskim oligarchom, którzy daliby wiele, by utrzymać surowcowe *status quo* na Starym Kontynencie.

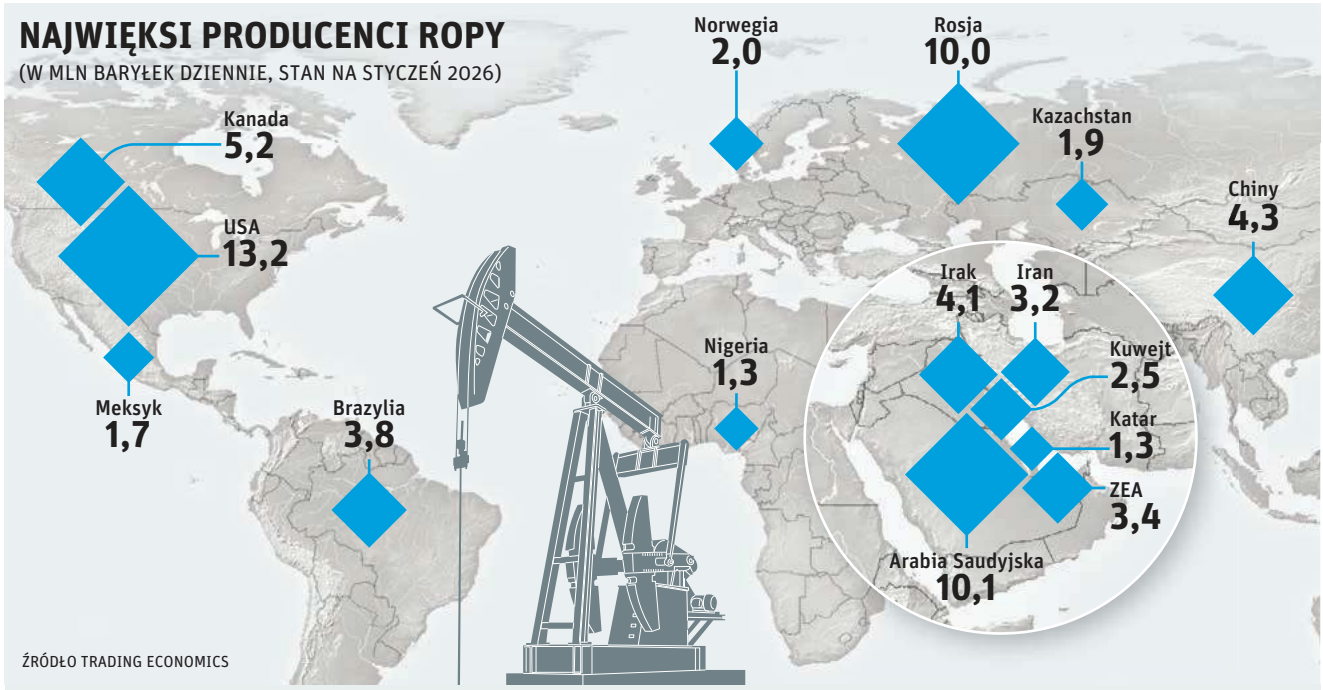
Węglowodorowy odwyk

Ale Unia ma też potężne narzędzie do tego, by to uzależnienie radykalnie ukrócić. Jest nim wyśmiewana i atakowana przez wielu polityka klimatyczna, której celem jest przecież redukowanie zużycia węglowodorów.

Europejski Zielony Ład czy pakiet Fit for 55 mają obecnie złą prasę na Starym Kontynencie. Trudno się dziwić; przez lata Komisja Europejska i inne unijne instytucje nie dołożyły starań, by wyjaśnić, że mechanizmy te zwiększają bezpieczeństwo energetyczne, umożliwiając przejście na wsobną produkcję energii i ograniczenie kosztownych dostaw. Wielu Europejczyków to właśnie w polityce klimatycznej szuka winnego za ostatnie skoki cen energii, podczas gdy w rzeczywistości wynikały one ze wciąż istniejącego uzależnienia od paliw kopalnych.

Tę receptę podwędziły od UE Chiny – które są obecnie absolutnym liderem w skali, tempie i zakresie transformacji energetycznej. ChRL wydaje rocznie na ten cel ponad bilion dolarów. Chińczycy od lat, rok w rok, budują więcej źródeł

eprasa.pl 94d9ff4ce5



Baryłka baryłce nierówna

Cena ropy, którą od ponad miesiąca z niepokojem śledzi świat, to jeden z kluczowych parametrów decydujących o kondycji globalnej gospodarki, mimo że sam koszt jej zakupu stanowi ledwie kilka-kilkanaście procent kosztów wytworzenia większości produktów i usług. Mówiąc o cenie ropy, zwykle posługujemy się jednak uproszczeniem, bo gatunków tego węglowodoru mamy wiele, a w dodatku różnią się one znacząco właściwościami fizycznymi i chemicznymi.

Europejska **ROPA BRENT**, nazwana od złóż na dnie Morza Północnego, stała się punktem odniesienia (tzw. benchmarkiem) dla wyceny tego surowca z innych pól Europy, Afryki i Bliskiego Wschodu. Charakteryzuje ją stosunkowo niska gęstość oraz niewielka zawartość siarki. Dzięki temu jest zarazem dość łatwa w wydobyciu i obróbce – w przeciwieństwie do ciężkiej i kwaśnej rosyjskiej ropy Urals, która w rafinacji daje mniej benzyny i więcej produktów ubocznych.

Pod względem właściwości chemicznych do ropy Brent podobny jest jej amerykański kuzyn, **ROPA WTI** (West Texas Intermediate), wydobywana głównie na południu USA. Podobnie jak europejski Brent, jest surowcem o niskiej gęstości, ale zawiera mniej siarki. Przez dekady WTI była droższa od Brent. Zmieniła to dopiero łupkowa rewolucja technologiczna w USA, która zwiększyła znacząco podaż amerykańskiego surowca, zbijając w ten sposób także jego cenę.

Przeciwieństwem WTI jest pochodząca z regionu Zatoki Perskiej **ROPA DUBAI** (zwana także Fateh), ciężka i mocno kwaśna (podobne właściwości ma także ropa wenezuelska). Znaczenie tej odmiany w światowej gospodarce wynika głównie z tego, że prócz dużej zasobności, płytko położone złoża w tej części świata są tanie w eksploatacji. Koszt wydobycia 1 baryłki (standardowa miara w branży równa ok. 159 litrom) w Zatoce Perskiej bywa nawet trzy razy niższy niż np. na Morzu Północnym. ©℗ MR

odnawialnych niż reszta świata razem wzięta, realizują najwięcej projektów elektrowni jądrowych, mają największy rynek elektromobilności.

Jednocześnie postępuje proces elektryfikacji gospodarki Państwa Środka. W kolejnych jej sektorach paliwa kopalne zastępowane są elektrycznością jako nośnikiem energii – Chiny już produkują więcej prądu niż UE i USA razem wzięte.

Te wszystkie działania zaczynają przynosić Pekinowi wymierne efekty. W ubiegłym roku produkcja energii w chińskich elektrowniach węglowych spadła o 1,6 proc. w porównaniu do roku 2024, a współczynnik wykorzystania tych jednostek zjechał do zaledwie 50 proc.

Mówiąc obrazowo: to tak, jakby węglówki w Chinach przez pół roku nie pracowały. Cały chiński wzrost zapotrzebowania na energię elektryczną z 2025 r. został pokryty źródłami bezemisyjnymi. Całościowe emisje z gospodarki ChRL spadły wtedy o 0,3 proc. w porównaniu do roku poprzedniego. Udało się także obniżyć sprzedaż paliw – aż o 5,7 proc. rok do roku.

Oczywiście, władze w Pekinie mówią o tych sukcesach głównie w kontekście swoich celów redukcji emisji gazów cieplarnianych (Chiny chcą być neutralne klimatycznie do 2060 r.). Jednakże za fasadą tych słów kryją się potężne interesy przemysłowe – polityka klimatyczna jest w ChRL sprzężona z mechanizmami wsparcia przemysłu.

Technologie bezemisyjne są w dużej mierze „Made in China"; świetnie widać to po elektromobilności – chiński rynek oferuje już 120 marek rodzimych aut elektrycznych, kontrolując przy tym dużą część łańcucha wartości, w tym produkcję kluczowego komponentu, czyli baterii. ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ Podobnie rzecz się ma z magazynami energii, panelami fotowoltaicznymi czy turbinami wiatrowymi.

Natomiast za warstwą przemysłową jest też segment strategiczny – Chiny zdają sobie sprawę, że uzależnienie od zewnętrznych dostaw energii to nie tylko eksport kapitału, ale także ciężar polityczny. Poleganie na imporcie kluczowych surowców jest niebezpieczne dla państwa o dalekosiężnych ambicjach.

Pekin nie może sobie pozwolić na to, by losy wojny o Tajwan zależały np. od nieprzerwanych dostaw ropy i paliw przez cieśniny Ormuz czy Malakka. Dlatego woli inwestować ponad bilion dolarów rocznie w to, by stawać się coraz bardziej niezależnym energetycznie. Chińczycy chcą skończyć ze znanym od czasów pierwszej rewolucji przemysłowej paradygmatem paliw kopalnych i wkroczyć szybko w epokę elektryfikacji.

Pieniądze do pieca

Tą samą drogą powinna iść Europa, która na inwestycje w klimat przeznacza co roku ok. jedną trzecią tego, co Chiny, choć PKB ma wciąż od nich większe.

Warto znów wrócić do przeciętnego Kowalskiego: szanse na to, że będzie on jednoczesnym właścicielem pola naftowego i gazowego, rafinerii, stacji paliwowej, kopalni węgla i elektrowni są niewielkie, żeby nie powiedzieć: żadne. Ale wychodząc z paradygmatu paliw kopalnych, może on skupić funkcjonalność wszystkich tych obiektów – właśnie dzięki elektryfikacji. Rolę złoża ropy czy węgla oraz elektrowni przejmie panel fotowoltaiczny. W połączeniu z magazynem energii może nie tylko obniżyć rachunki, ale i zbudować pewną autonomię energetyczną. Jeśli do tego dojdzie samochód elektryczny (który może pełnić rolę magazynu), to nagle rafineria i stacja paliw nie będą już potrzebne.



Wielu Europejczyków szuka winnego za wzrost cen energii w polityce klimatycznej. W rzeczywistości wynikał on z uzależnienia od paliw kopalnych.

Do Kowalskiego może też przemówić fakt, że wymienione wcześniej rachunki kosztów importu surowców wyglądają jeszcze bardziej przerażająco, gdy uświadomić sobie fakt, że mowa o czymś, co zaraz po zakupie jest niszczone – czyli spalane. Mało tego, bo spalanie również jest kosztem. Prowadzi bowiem np. do nadmiarowych zgonów ze względu na zanieczyszczenia powietrza (w samej Polsce dotyczy to ok. 40 tys. osób rocznie).

Perspektywa odejścia od paliw kopalnych jest z roku na rok bardziej realna – ale to nie znaczy, że będzie prosta. O ile sektor elektroenergetyczny można zdekarbonizować stosunkowo łatwo, o tyle już przemysł ciężki, transport długodystansowy czy sektor chemiczny wciąż nie mają konkurencyjnych, szeroko dostępnych zamienników dla paliw kopalnych.

Rozwój tych technologii dopiero trwa. Pojawiają się pierwsze „zielone" huty, promy elektryczne czy rozwiązania wodorowe, ale wymagać one będą kolejnych nakładów czasu i pieniędzy. Zmiana obecnego paradygmatu to proces na dekady – zwłaszcza że paradygmat ten budowany był przez stulecia. Ale nie ma się co dziwić: odwyk od tak głębokiego uzależnienia zawsze będzie bolesny, długotrwały i trudny. Niemniej, jeśli Unia Europejska – a wraz z nią Polska – chce być zdrowa, rozwijać się i żyć dalej, to nie ma innego wyboru. © JAKUB WIECH

Autor jest dziennikarzem i prawnikiem, autorem podkastu „Elektryfikacja" i książki „Energetyka po polsku".

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Dyrektor ds. rozwoju: Michał Bagiński
Marketing i promocja: Sławomir Bieniek, Jacek Napora, Michał Sowiński, Jakub Starzyk
Sklep: Karolina Biały
Dyrektorka ds. reklamy: Justyna Hernas
Reklama i sprzedaż: Mateusz Gawron, Michalina Kościelny, Anna Pietrzykowska, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 502 499 878
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

REKLAMA



POLIN
Muzeum Historii Żydów Polskich

19 IV 1943
POWSTANIE W GETCIE WARSZAWSKIM

Łączy nas pamięć

polin.pl

Organizator
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

Honorowy patronat
Minister Edukacji
Prezydent miasta stołecznego Warszawy

Mecenas Muzeum
Sponsor Strategiczny akcji Żonkile
ORLEN

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy
Islandia Liechtenstein Norwegia granty
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
200 lat Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji

Partner akcji Żonkile
orange

Sponsor Strategiczny Muzeum
tvn
WARNER BROS. DISCOVERY

Oficjalny przewoźnik Muzeum
LOT

Wspólna instytucja kultury
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Warszawa
Żydowski Instytut Historyczny w Polsce

Partnerzy
WJC
ELNET
IRON MOUNTAIN
cafe ale
Poczta Polska

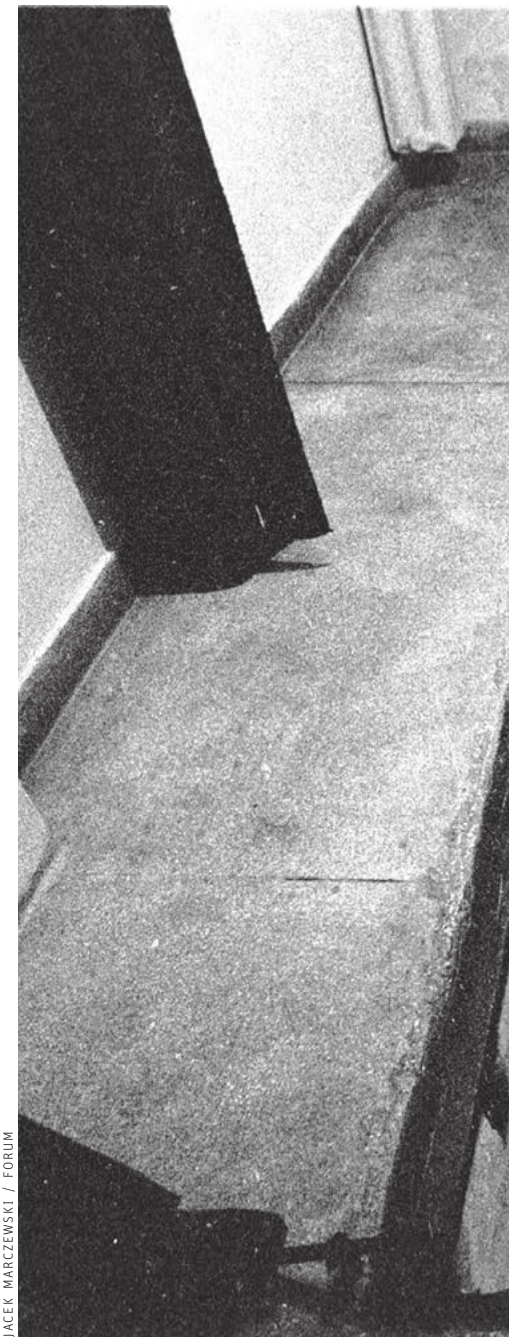
Patroni medialni
zwierciadło
sens
Tygodnik Powszechny
VOGUE
tokfm
VIVA!
Newsweek
HISTORIA
K MAG
onet

KRAJ

PRAWO DO ZABIJANIA

O karze śmierci trzeba i warto rozmawiać.
Z uporem, jak najdłużej.
Choćby po to, by obronić jej zakaz.

MARCIN MATCZAK



JACEK MARCZEWSKI / FORUM

Wziąłem niedawno udział w debacie, której celem było przekonanie zwolennika kary śmierci, że nie jest ona dobrym pomysłem. Miejscem rozmowy był Kanał Zero, a zwolennikiem kary śmierci – Krzysztof Stanowski. Aby podkreślić opozycję „populizm–merytokracja" scenografię podzielono, jak w Polsce przystało, na pół. Ale nie wiadomo dokładnie, co było populizmem: Stanowski występował na niebieskim, symbolizującym spokój oceanu tle, a mnie z moimi prawniczymi uwagami pokazano na dość agresywnym czerwonym. Może to znak czasu, że żądanie kary śmierci wydaje się wyważonym głosem rozsądku, a sprzeciwianie się jej – szaleństwem?

Bezpośrednim powodem dyskusji były ujawnione niedawno przez media drastyczne wydarzenia z Kłodzka i pytanie, czy człowiek, dopuszczający się wobec własnych dzieci czynów pedofilskich i znęcający się także nad zwierzętami, ma prawo żyć. Ale są i bardziej ogólne powody, dla których wielu ludzi chce dyskutować o tym, czy państwo powinno móc zabijać w majestacie prawa. Jednym z nich jest to, że mylą przemoc ze sprawczością. Ponieważ tracą poczucie kontroli nad coraz bardziej złożonym i nieprzewidywalnym światem, pragną rozwiązań prostych i natychmiastowych. A ponieważ są codziennie poddawani populistycznej propagandzie, zaczynają wierzyć, że zdrowy rozsądek zwyczajnego człowieka jest lepszym przewodnikiem niż wiedza wiecznie dyskutujących ekspertów. A ten rozsądek im mówi, że jak będzie kara śmierci, to ludzie będą się państwa bać i przestaną popełniać tak odrażające przestępstwa jak te z Kłodzka.

Mam po tej debacie wiele spostrzeżeń, które dotyczą nie tylko kary śmierci, ale i stanu naszego myślenia. Przedstawię je jednak na tle argumentów przeciwko karze śmierci, które w Kanale Zero podnosiłem – bo to temat mimo wszystko ważny.

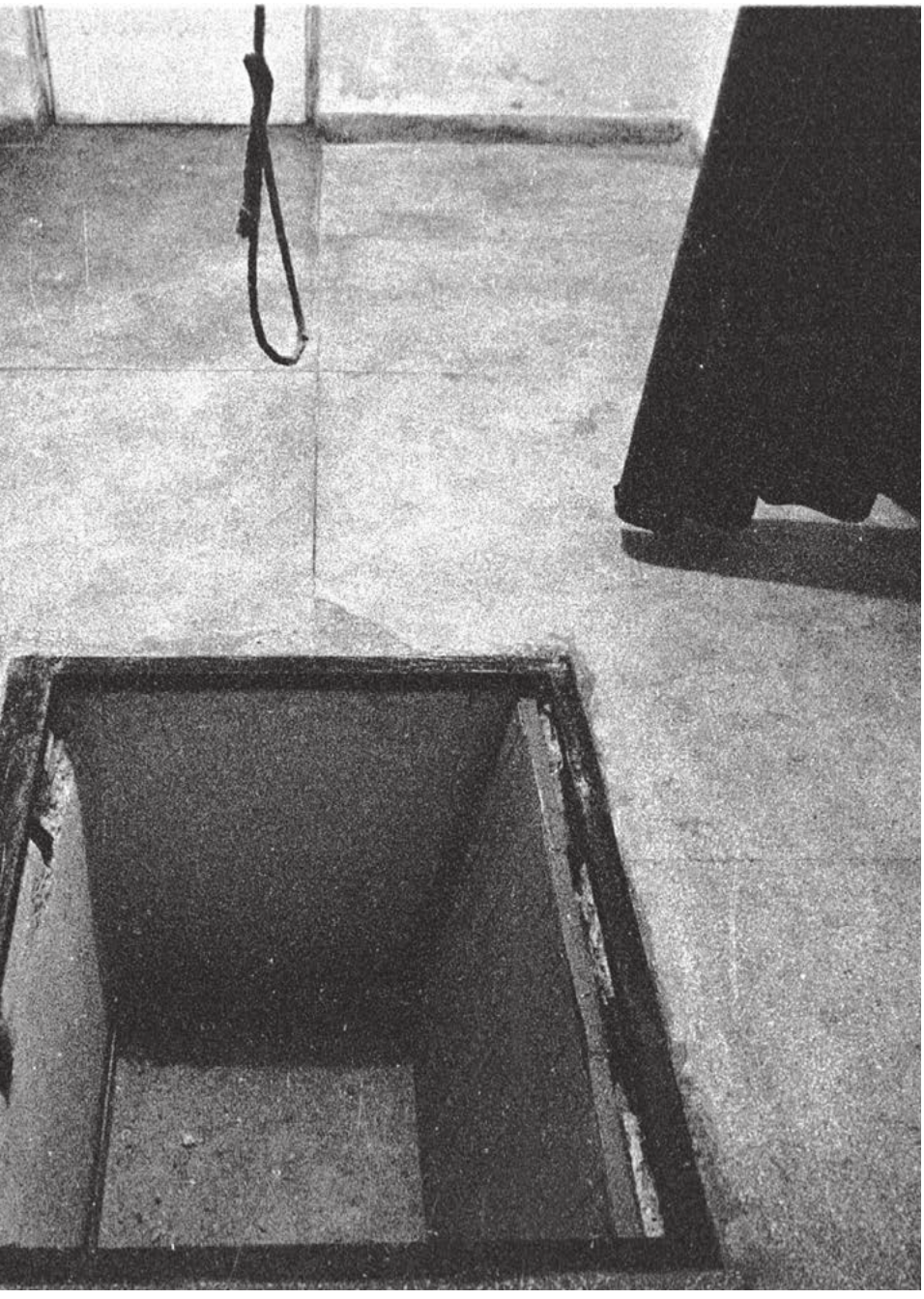
Społeczeństwo jest emocjonalne

Współczesna debata o karze śmierci odchodzi od abstrakcyjnych rozważań o sprawiedliwości w stronę emocji zakorzenionych w konkretnych historiach. Zamiast pytać o proporcjonalność, reagujemy na obrazy: brutalne przestępstwo i rozpacz rodziny. To przesunięcie z poziomu norm na poziom narracji sprawia, że argumenty stają się mniej porównywalne, a bardziej odczuwalne, a sama kara śmierci przestaje być problemem filozoficznym, stając się odpowiedzią na gniew. W takim kontekście racjonalna dyskusja przegrywa z psychologiczną potrzebą domknięcia – poczuciem, że sprawiedliwości musi stać się zadość tu i teraz.

Problem w tym, że kara śmierci w realnym świecie poczucia domknięcia nie daje. Badania wskazują, że po egzekucji sprawcy zaledwie 2,5 proc. członków rodzin ofiar czuło domknięcie, rozumiane jako poczucie przywrócenia sprawiedliwości. Emocje prowadzą więc naszą ocenę na manowce.

Emocjonalizacja społeczeństwa idzie w parze z konkretyzacją: zamiast operować kategoriami typu „sprawca" czy „państwo", dyskusja skupia się na jednostkowych przypadkach. Każda wstrząsająca zbrodnia jest jak soczewka, w której skupia się ocena całego systemu prawa karnego. To prowadzi do kazuistyki: stanowisko wobec kary śmierci nie wynika z przyjętej teorii sprawiedli-

eprasa.pl 94d9ff4ce5



Tu wykonywano wyroki śmierci w więzieniu w Łodzi

wości, ale z reakcji na konkretną historię. Takie podejście – choć psychologicznie zrozumiałe – utrudnia stabilne projektowanie instytucji prawnych, które z definicji muszą operować na poziomie ogólności, a nie pojedynczych, nawet najbardziej dramatycznych przypadków.

Społeczeństwo nie lubi Kanta

Kant pojawiał się w naszej dyskusji często, głównie jako wyraziciel myśli, że kara śmierci szanuje godność sprawcy. Zabijając go, wspólnota uznaje sprawcę za osobę moralnie odpowiedzialną – kogoś, kto mógł postąpić inaczej i kto ponosi pełną odpowiedzialność za swój wolny wybór. Nie traktuje go jak zwierzęcia czy chorego psychicznie, jak kogoś, kogo się naprawia lub unieszkodliwia.

Ale nie ta myśl kantowska okazała się najbardziej kontrowersyjna. Jeśli ludzie myślą coraz bardziej konkretnie i emocjonalnie, trudno im przyjąć główne przesłanie imperatywu kategorycznego: postępuj tylko według takiej subiektywnej zasady, co do której byś chciał, żeby stała się zasadą powszechną. A tym imperatywem kierują się prawnicy – coś, co wydaje się sensowne z indywidualnego punktu widzenia, traci sens, gdy to uogólnić. Gdy jesteś biedny i pożyczyłeś pieniądze od bogatego, z twojego punktu widzenia nie powinieneś oddawać – przecież on ma dużo, a ty mało. Lecz gdy pomyślisz, co by było, gdyby wszyscy pożyczali i nie oddawali, to zdasz sobie sprawę, że sama idea pożyczki przestałaby istnieć.

Podobnie jest z karą śmierci – zabicie pedofila i zoofila może wydawać się sensowne z konkretnego, indywidualnego punktu widzenia. Ale gdybyśmy zaakceptowali systemowo rozwiązanie, w którym pod wpływem oburzenia moralnego skazujemy kogoś na śmierć, w rzeczywistości zalegalizowalibyśmy lincz, choć obudowany procedurami. A lincze mają niestety tendencję do tego, żeby zdarzać się nie tylko w sytuacjach moralnie oczywistych.

Kłopot z intelektualnym przejściem od sytuacji konkretnej, emocjonalnej, do skutku ogólnego to zmora naszych czasów. To ona napędza np. ruch antyszczepionkowy. Konkret, czyli czyjś indywidualny strach przed niepożądanym odczynem poszczepiennym, przesłania skutek powszechny: powrót chorób zakaźnych na skutek spadku wyszczepialności.

To samo skupienie na tu i teraz powoduje kwestionowanie ubezpieczeń społecznych. Konkretna indywidualna niechęć do ponoszenia ciężaru składki wydaje się ważniejsza niż korzyść ogólna z posiadania systemu rent i emerytur. Abstrakcyjny, odległy w czasie zysk znowu przegrywa z konkretnym, aktualnym odczuciem.

Społeczeństwo pragnie intensywności

I dlatego zamiast studzić emocje, poszukuje się bodźców, znajdując je w spektaklach przemocy.

Nasze życie codzienne jest bezpieczniejsze i bardziej przewidywalne niż kiedyś. Paradoksalnie rodzi to głód silnych emocji. Spójrzcie na popularność MMA czy Fame MMA – walk w klatce – wśród młodzieży. Dostarczają one skondensowanego doświadczenia. Jest tam i ryzyko, i adrenalina, ale także jasne reguły zwycięstwa, których w świecie brakuje.

W przemocy, także przemocy państwa, kusząca jest pewna klarowność: ktoś jest silny, ktoś jest słaby, ktoś wygrywa, ktoś ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ przegrywa. To oferuje jasność i natychmiastową sprawczość – w prawie i polityce tymczasem dominują niejednoznaczność i chaos.

Z drugiej strony, karę śmierci prawo chowa przed wzrokiem ludzkim nawet tam, gdzie jeszcze się ją wykonuje. Ostatnią publiczną karę śmierci wykonano w USA w 1936 r. Zrezygnowano z tego, bo publiczna przemoc brutalizuje życie społeczne, przesuwa granice akceptacji zachowań. Skoro państwo może brutalnie zabijać w majestacie prawa, to jak nauczyć ludzi, że przemoc jest zła?

Nie potrzebujemy więcej przemocy. Zwłaszcza gdy społeczeństwo coraz bardziej podziwia przemoc werbalną, nazywaną *nomen omen* masakrowaniem ludzi, i popiera polityka, który słynie z przemocowych zachowań nie tylko wobec chanukowych świec, ale i ludzi, którzy śmią się z nim nie zgadzać.

Społeczeństwo chce autorytetów

Gdy instytucje tracą szacunek, pojawia się tęsknota za czymś, co działa naprawdę. Np. za silnym przywódcą, który nie gada, tylko robi. George Lakoff w 2016 r., przed pierwszą wygraną Trumpa, napisał, że jego popularność opiera się na wykreowaniu politycznego obrazu surowego ojca, który za dobre wynagradza, a za złe karze. W tym ujęciu kara śmierci jawi się jako symbol ostatecznej sprawiedliwości, przywrócenie zaburzonej równowagi świata. To pragnienie skuteczności i porządku, wyrażone w ostrym, brutalnym języku albo czynie. Na takim podłożu wyrasta przekonanie, że przemoc może być formą tożsamości.

Dziś, gdy praca, role społeczne i relacje są płynne, agresywność daje złudne poczucie mocy. Dlatego jest estetyzowana – staje się sztandarem, znakiem przynależności. Np. wizytówką prezydenta, który boksuje, grozi palcem i każe dziennikarzom „się ogarnąć". W rzeczywistości jest reakcją na poczucie bezsilności. To w gruncie rzeczy prosty mechanizm: im większe poczucie, że nie ma się wpływu, że system jest niesprawiedliwy, a reguły niejasne, tym bardziej atrakcyjna staje się wizja kogoś, ktoś w końcu zrobi z tym wszystkim porządek.

Czy tego chcemy, czy nie, jeśli siła staje się kategorią moralną, staje się nią także miękkość.



JACEK MARCZEWSKI / FORUM

Współczesna debata o karze śmierci odchodzi od abstrakcyjnych rozważań o sprawiedliwości w stronę emocji zakorzenionych w konkretnych historiach. **Reagujemy na obrazy: brutalne przestępstwo i rozpacz rodziny.**

Społeczeństwo nie chce się cackać

Świat stał się poznawczo ciężki. Wszyscy jesteśmy przeciążeni złożonością. Weźmy takie prawo – ciągle odmawia bycia jasnym, ma milion wyjątków, kruczków i przestrzeni dla interpretacji. W takim świecie niuansowanie wymaga energii i dlatego upraszczanie nie musi być głupotą, tylko strategią przetrwania. „Na cholerę roztrząsać?" – pyta więc retorycznie publiczność debaty o karze śmierci. „Po co taki pedofil i zoofil ma chodzić po ziemi?"

I tu wchodzą eksperci, którzy po raz milionowy mówią „to nie takie proste". Wprowadzenie kary śmierci, np. z powodu tego, co zdarzyło się w Kłodzku, nie doprowadzi do ukarania sprawcy tego, co zdarzyło się w Kłodzku. Bo prawo nie działa wstecz – to zasada absolutnie fundamentalna.

Kara śmierci, jeśli ktoś tak zdecyduje, zostanie więc wprowadzona na przyszłość i dotknie kogoś innego. Co więcej, przepis, który ją wprowadzi, będzie sformułowany generalnie i abstrakcyjnie – a to zawsze pozostawi przestrzeń do interpretacji. Krzysztof Stanowski pyta, czy nie można zapisać, że karę śmierci stosuje się w przypadku złapania „na gorącym uczynku". Czy „gorący uczynek" to także dwie sekundy po morderstwie albo brutalnym gwałcie, gdy sprawca wychodzi z pokoju? A może ustalić, że karę śmierci stosuje się tylko wtedy, gdy mamy nagranie wideo z momentu popełniania przestępstwa, jak w Kłodzku? A co, jeśli jakość nagrania będzie niewystarczająca, zamglona, jak to ma miejsce w przypadku monitoringu CCTV?

Społeczeństwo ma dość niuansów

Niuans, niuans, niuans. Przyjmowany z rosnąca irytacją i spadającym zaufaniem do ekspertów i ich religii, której na imię „niedasizm". Przecież tyle razy się mylili, więc skąd wiadomo, że akurat teraz mają rację? W efekcie „niuans" zaczyna być odbierany jako unikanie odpowiedzi, a nie jej pogłębianie. Wahanie oznacza słabość, a doprecyzowanie sygnalizuje brak pewności. Dlatego tak atrakcyjna staje się postawa kogoś, kto mówi prosto, bez owijania w bawełnę.

Taki ktoś, w przeciwieństwie do eksperta, zaspokaja głód moralnej pewności – wyraźnie odróżnia dobro od zła, ocenia rzeczywistość jednoznacznie. Niuans i ekspert jako jego kapłan burzy tę potrzebę, bo mówi „to zależy od kontekstu", a to psychologicznie frustruje.

Cackanie się i niuansowanie nie pasuje do świata, w którym panuje estetyka prostoty: minimalizm, krótkie formy, jak na TikToku. Niuans wygląda przy tym jak nadmiar i sygnał braku dyscypliny, a tym samym przestaje być oznaką kompetencji. Choć w klasycznym modelu akademickim oznaczał zdolność widzenia złożoności i intelektualną uczciwość, dziś coraz częściej wygląda jak rozterka człowieka, który nie potrafi się zdecydować. Cackanie się to brak stanowiska, a przecież prawdziwy facet jakieś musi zająć.

Skutkiem tego wszystkiego jest coś bardzo poważnego i niebezpiecznego: zmiana definicji prawdy. Powoli przesuwamy się z modelu, w którym prawda jako zgodność z rzeczywistością wymaga zniuansowanej analizy, do modelu, w którym prawdą jest to, co brzmi stanowczo i mobilizuje. A kto niuansuje, jest asekuracyjny albo nawet bezradny.

Badania na temat tego, czy kara śmierci odstrasza, czy nie – są właśnie pełne niuansów. Nie wiemy, jak jest naprawdę. Mamy badania pokazujące, że liczba przestępstw spada zarówno po jej wprowadzeniu, jak i zniesieniu. Wszystkie właściwie mają błędy metodologiczne

eprasa.pl 94d9ff4ce5

– nie wiadomo np., czy spadek liczby morderstw wiąże się z tym, że stracono seryjnego mordercę, czy tylko z tym, że go złapano i trzymano w areszcie.

Społeczeństwo jest gotowe na ofiary

Mamy także dane, z których wynika, że na karę śmierci skazuje się ok. 4-5 proc. ludzi niewinnych. W dużej części prawicowego dyskursu pojawia się jednak gotowość do akceptacji takich nieuniknionych kosztów. Wyraził to także Krzysztof Stanowski, który z jednej strony uważa, że tę liczbę pomyłek da się zmniejszyć, ale z drugiej mówi, że nie możemy być niewolnikami tych 5 proc.

Błędne wyroki, pomyłki sądowe, fałszywe zeznania, manipulacje dowodami – wszystko to jest traktowane jako cena, którą trzeba zapłacić w imię wyższego dobra, jakim jest odstraszanie i poczucie sprawiedliwości. Te kilka procent niewinnych ofiar to po prostu statystyczny szum, skutek uboczny wojny z przestępczością – przypomina się w tym kontekście wypowiedź lorda Farquaada ze „Shreka": „Zapewne wielu z was zginie, ale jest to poświęcenie, na które jestem gotów".

To podejście dehumanizuje: życie jednostki przestaje być absolutną wartością, a staje się przedmiotem kalkulacji kosztu i korzyści. Dopóki giną inni, dopóki nie jest to nasze dziecko, nasz brat czy nasza matka, jest okej.

Społeczeństwo nie wierzy Jezusowi i sądom

Prawicowa w większości publiczność Kanału Zero dzieli papieży na tych „prawdziwych" i na „papieży-lewaków". Franciszek, który dokonał zmiany w Katechizmie Kościoła katolickiego i uznał karę śmierci za niedopuszczalną w każdych okolicznościach, jest oczywiście zaliczany do tej drugiej kategorii. Coraz częściej jednak o tę samą łatkę zaczyna się ocierać nawet Jan Paweł II – zwłaszcza gdy przypominane są jego stanowcze wypowiedzi przeciwko karze śmierci z lat 90. i początku XXI w.

Ta sama publiczność nie wierzy jednak nie tylko papieżom, ale także samemu Jezusowi i fundamentalnemu chrześcijańskiemu przekonaniu, że każdy człowiek może się nawrócić i zmienić. A to by uzasadniało karę dożywocia z szansą na zwolnienie, zamiast kary śmierci. Co więcej: idąc za Grzegorzem Braunem, ta publiczność uważa, że słowa dobrego łotra wypowiedziane na krzyżu o odbieraniu słusznej kary stanowią ewangeliczne potwierdzenie i poparcie dla kary śmierci. W ten sposób fragment, który w rzeczywistości podkreśla skruchę, miłosierdzie i zbawienie nawet w ostatniej chwili życia, jest interpretowany jako teologiczny argument za ostatecznym, nieodwracalnym wymiarem kary.

Paradoksalnie ta niewiara stała się w naszej debacie podstawą dla najbardziej przekonującego argumentu przeciwko karze śmierci. Skoro 4-5 proc. skazań to błędy, skoro Tomasz Komenda, gdyby podlegał kodeksowi karnemu przewidującemu karę śmierci, nie mógłby nawet dostać odszkodowania za zmarnowane pomyłką sądową życie, bo by nie żył, to może nie jest sensowne powierzać sądom tak nieodwracalne narzędzie?

Ten argument częściowo trafił do nieufnie nastawionych do sędziowskiej kasty widzów Kanału Zero. W końcu trudno ciągle twierdzić, że sądy są do niczego i pozwolić im zabijać. To już nawet nie kreowanie małpy z brzytwą, ale z kałasznikowem.

Społeczeństwo nie jest głuche

Publiczność debaty przed jej rozpoczęciem jasno określiła swoje preferencje: tylko 19 proc. widzów deklarowało się jako przeciwnicy kary śmierci. I choć słabo wierzymy dzisiaj w sens dyskusji i siłę racjonalnych argumentów, nie warto się poddawać. W sondzie przeprowadzonej po zakończeniu naszej rozmowy przeciwników kary śmierci było więcej – ok. 30 proc., a wiele osób w komentarzach potwierdziło zmianę zdania.

Dlaczego? Bo dostrzegło różnicę między zaspokojeniem odruchu serca, oburzeniem i emocjonalną chęcią zemsty a potrzebą systemowej i rozważnej odpowiedzi państwa na brutalne przestępstwa.

To daje nadzieję, zwłaszcza tym z nas, którzy są już sfrustrowani siłą, z jaką ludzkie umysły infekuje agresywny populizm. Warto rozmawiać – szczególnie w formatach dłuższych niż piętnastominutowe wymiany wyzwisk, promowanych przez tradycyjne media.

Ponad dwie godziny dyskusji pozwalają rozwinąć wątki, które w błyskawicznych pojedynkach na *bon moty* nawet nie zdążą zakiełkować. Dlatego potrzeba więcej długich debat, w których argumenty da się wypowiedzieć i domyśleć do końca. © MARCIN MATCZAK

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

- **SŁUPSK,** środa, 15 kwietnia, godz. 17.00, Miejska Biblioteka Publiczna (ul. Grodzka 3), „Więcej niż humanizm", spotkanie autorskie wokół książki „Ekstaza miłosiernego Samarytanina" z udziałem autora ks. prof. Andrzeja Draguły.
- **KATOWICE**, środa, 15 kwietnia, godz. 18.00, Biblioteka Śląska (sala Parnassos, Plac Rady Europy 1), rozmowa z Kaliną Błażejowską, autorką książki „Uparte serce. Biografia Haliny Poświatowskiej". Prowadzenie Wojciech Bonowicz.
- **KRAKÓW**, środa, 15 kwietnia, godz. 18.00, Piwnica Powszechnej (ul. Pijarska 5/20), spotkanie z red. Arturem Sporniakiem, „Sumienie jako najwyższy autorytet moralny w obszarze seksualności". Prowadzenie prof. Anna Niżegorodcew.
- **BIELSKO-BIAŁA**, czwartek, 16 kwietnia, godz. 17.00, Willa Sixta (ul. Adama Mickiewicza 24), spotkanie ze Zbigniewem Machejem, poetą, tłumaczem, dyplomatą, „Śląskie pogranicze: trudne dziedzictwo, sprzeczna tożsamość".

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

OGŁOSZENIE

eprasa.pl 94d9ff4ce5



OKSANA SHUFRYCH / ADOBE STOCK

Dziecko w teatrze

ANNA GOLUS

PRAWA DZIECI | W filmach promocyjnych placówek edukacyjnych bezprawnie wykorzystuje się wizerunki uczniów. Wielu nauczycieli ma już tego dość, ale boi się buntu i konsekwencji ze strony dyrekcji.

„Czy lubisz dobrą zabawę?" – pyta dziewczynka w wieku przedszkolnym, patrząc na dorosłą osobę, która stoi nad nią i nagrywa filmik przy użyciu smartfona. Dziecko siedzi na śniegu, wśród innych przedszkolaków, a dorosły podchodzi do nich i robi zbliżenia na kolejne twarze. Maluchy po kolei zadają wyuczone wcześniej pytania („Lubisz przebywać na świeżym powietrzu?", „Chcesz mieć super kolegów?"). Większość z nich nie wygląda na zadowoloną.

„Zapraszamy do przedszkola »Krasnal!« – krzyczą na koniec wszystkie dzieci. Film został opublikowany na Facebooku, a występujące w nim przedszkolaki nie są aktorami, lecz uczęszczają do reklamowanej w ten sposób niepublicznej placówki. Zwracają się do rówieśników, choć żadne dziecko w ich wieku nie powinno korzystać z tego serwisu ani podejmować decyzji o wyborze przedszkola. Ich wizerunki – i bezpłatna praca aktorska – zostały wykorzystane w celach marketingowych, na potrzeby rekrutacji, podobnie jak wizerunki wielu innych uczniów przedszkoli. Nie tylko prywatnych.

„Trwa rekrutacja do przedszkoli. W tym czasie placówki pokazują, jak rozumieją bezpieczeństwo i szacunek dla wizerunku dziecka: MASOWO używają dzieci do autopromocji: produkcji zabawnych filmików, odtwarzania viralowych trendów, stylizowania dzieci na potrzeby memicznych formatów" – napisała na FB działaczka społeczna Alina Czyżewska, podając przykład publicznej placówki w Sosnowcu, która reklamowała się przy użyciu filmu ukazującego dzieci w popularnej konwencji „gangsta".

Czyżewska jako pierwsza zwróciła uwagę na przekroczenie przez dorosłych kolejnej granicy i modę na publikowanie przez przedszkola filmików reklamowych, które wpisują się w tzw. trendy (polegające na masowym nagrywaniu treści na podstawie tego samego, popularnego w danym momencie schematu, np. układu tanecznego), i w których występują dzieci uczęszczające do promowanych w ten sposób placówek.

Nagrywamy, aż wyjdzie

Samo wykorzystywanie dzieci do produkcji takich treści nie jest niczym nowym – rodzice robią to od lat, niekiedy nie troszcząc się o ochronę nie tylko ich wizerunku, ale i godności. Przykład: „cheese challenge", popularny kilka lat temu trend polegający na rzucaniu plasterka sera na twarz niemowlęcia i nagrywaniu jego reakcji. Jednak zdaniem Czyżewskiej, obecnie za internetowymi modami podążają już nie tylko rodzice, ale też pedagodzy, którzy powinni mieć większą świadomość.

„Zgubna zabawa w nagrywanie filmików i podziwianie się na FB zaczyna się w przedszkolu. Pokazywana jest

eprasa.pl 94d9ff4ce5

dzieciom jako (...) »zdrowe«, normalne zachowanie – napisała działaczka. – A za kilka lat nauczyciele będą alarmować, kiedy te same dzieci będą szły za »trendującymi« modami na socialach, tyle że bardziej »stargetowanymi« do ich wieku. I bardziej niebezpiecznymi. Wejdą w to łatwiej i chętniej, bo są od przedszkola wytrenowane do takiej normy. Jak to możliwe, że dorośli, w tym pedagodzy i pedagożki, nie widzą tej korelacji i własnej hipokryzji?"

Czyżewska zaapelowała o zmianę prawa – wprowadzenie zakazu publikacji wizerunku dzieci do 13. roku życia przez placówki oświatowe – a jej apel spotkał się z poparciem wielu nauczycieli, którzy w komentarzach na FB i prywatnych wiadomościach dzielili się doświadczeniami.

Ewa: „W mojej grupie był chłopiec, którego rodzice nie wyrazili zgody na publikację wizerunku. O, jaka to była wojna z dyrekcją. Nie mogłam dać temu dziecku głównej roli w scenkach, bo musiałam nagrywać tak, żeby »nie przeszkadzało« w nagraniu. Dyrekcja kazała je odsuwać od zajęć, żeby rodziców w taki sposób zmusić do podpisania zgody na publikację wizerunku. Nie cierpię, gdy dzieci wkładamy w role aktorów. Bo co innego nagrywać rzeczywistość, a co innego pozowane scenki. Przecież jak filmik nie wyjdzie, to nagrywamy jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze. Aż wyjdzie".

Hanna: „Zamiast widzieć zaangażowanego w ich potrzeby opiekuna, widzą go latającego z komórką, aby wypełnić pragnienia dyrektorów. (...) musimy cykać fotki i nagrywać kilkusekundowe ujęcia, które potem to my montujemy, więc po pierwsze dziecko nie widzi twarzy nauczyciela, tylko telefon, którym nagrywa, po drugie zamiast spędzić czas z dziećmi, siedzimy w telefonie i montujemy filmiki, i to my mamy je wrzucać na Instagram i Facebook. Od dyrekcji dostajemy wytyczne i inspiracje do zdjęć i filmików. Nie do ZAJĘĆ. Do ZDJĘĆ. Naprawdę dostajemy wytyczne, co mamy nagrać, a nie co mamy zrobić z dziećmi".

Zatrzymajmy to szaleństwo

– Pracowałam w ośmiu przedszkolach i żłobkach i wszędzie było tak samo – mówi Magda, nauczycielka. – Choć sama nie udostępniam nigdzie swojego wizerunku i nie mam konta na Facebooku ani Instagramie, musiałam podpisywać zgody na upublicznianie moich zdjęć oraz filmów na stronach i w mediach społecznościowych placówek. Inaczej nie miałabym pracy. Musiałam też wykonywać i publikować zdjęcia dzieci; dopiero niedawno odmówiłam używania w tym celu prywatnego smartfona. Dyrekcja wie, że to wszystko jest niezgodne z RODO. Wszyscy to wiemy, ale co mamy zrobić? – dodaje Magda.

„Zatrzymajmy to szaleństwo!" – napisała na Facebooku Aleksandra Rodzewicz, pedagożka z Instytutu Badań Edukacyjnych, która od lat apeluje o ochronę wizerunku dzieci. I udostępniła – po zamazaniu twarzy – dwa kadry z filmu reklamującego żłobek. Na jednym widać nauczycielkę i grupkę maluchów trzymających kartkę z napisem: „Szukamy męża dla naszej pani dyrektor"; na drugim – same dzieci z kartką i napisem: „Szukamy nowych kolegów i koleżanek" (i numerem telefonu).

Gdy pedagożka z IBE zwróciła uwagę na film, został on usunięty z internetu. Niemal identyczne treści wideo nadal są jednak dostępne w mediach społecznościowych innych placówek, które skorzystały w celach marketingowych z internetowego trendu „szukamy męża dla pani". Wśród nich znajdują się również placówki prowadzone przez siostry zakonne.

Według raportu „Twarz polskiej edukacji" – przygotowanego w zeszłym roku przez Aleksandrę Rodzewicz we współpracy z Instytutem Cyfrowego Obywatelstwa i Rzeczniczką Praw Uczniowskich w Poznaniu, mec. Agatą Dawidowską – zdecydowana większość publicznych placówek edukacyjnych udostępnia w internecie zdjęcia lub materiały wideo z wizerunkami dzieci. 65 proc. ankietowanych przedszkoli, 88 proc. szkół podstawowych i 86 proc. ponadpodstawowych robi to na swoich stronach internetowych. W mediach społecznościowych: 48 proc. przedszkoli, 91 proc. szkół podstawowych i 90 proc. ponadpodstawowych. Profile prowadzą zwykle sami pedagodzy.

„Jeśli ktoś myśli, że dla nauczyciela to przyjemność, to jest w błędzie! Mnie samej odbiera to nieraz radość z tego, co robimy, bo wciąż z tyłu głowy pojawia się myśl: »trzeba robić zdjęcia«. To dodatkowy obowiązek, dodatkowa praca, niepotrzebny rozpraszacz. Marzę o chwili, w której to będzie zakazane, a ja znów będę sobie szarym szczęśliwym nauczycielem, a nie influencerem" – napisała w komentarzu jedna z nauczycielek.

Bezprawny obowiązek

– Zdarza się, że po moich szkoleniach na temat ochrony wizerunku dyrektorzy placówek zmieniają zdanie i przestają publikować materiały ukazujące dzieci – mówi Rodzewicz. – Częściej jednak twierdzą, że potrzebują wsparcia i rozwiązań systemowych, bo czują presję zarówno ze strony rodziców, jak i przedstawicieli organów nadzoru, choć żadna placówka nie ma obowiązku promowania swojej działalności.

Te placówki, które rezygnują z wykorzystywania wizerunków uczniów, niekiedy zastępują je wizerunkami... nauczycieli, którzy wchodzą w role nie tylko marketingowców, reżyserów i scenarzystów, ale też aktorów. „Szukamy męża dla mnie" – czytamy na kartkach trzymanych przez dwie nauczycielki, które tańczą w rytm skocznej muzyki i starają się uśmiechać. Zgodnie ze scenariuszem trendu, po chwili jedna z nich zauważa „pomyłkę", odwraca jedną z kartek i pojawia się komunikat: „Szukamy dzieci do naszego przedszkola".

Inny przykład: film ukazujący nauczycielki przebrane za elfy i wróżki, które kolejno prezentują kartki z informacjami o przedszkolu (np. „Tu dzieje się magia...", „Uczymy przez zabawę"), niekiedy wysyłając całusy do kamery. Niektóre z nich wyglądają na wyraźnie skrępowane.

– Nakładanie obowiązków marketingowych przez dyrekcję na osobę uczącą jest niezgodne z prawem – podkreśla Alina Czyżewska. – Nagrywanie, montowanie i wrzucanie filmów na Facebooka nie wynika ze statutowych zadań szkoły ani nie mieści się w żadnej z ustawowych funkcji placówki w systemie oświaty. Aby działania reklamowe były zgodne z prawem, pracodawca powinien podpisać z nauczycielem odrębną umowę o dzieło lub zlecenie.

Marketing nie należy do obowiązków nauczyciela. To mniej więcej tak samo, jakby kazać mu w trakcie zajęć sprzątać z dziećmi korytarz. – Zmuszanie nauczycieli do takiej pracy bez dodatkowej umowy i wynagrodzenia budziłoby zrozumiały sprzeciw i nikt nie miałby wątpliwości, że to wyzysk – uważa Czyżewska. – Ale wyzyskiem jest też wykorzystywanie uczniów do wykonywania ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ tych narzuconych nauczycielowi zadań. Zgodnie z prawem dzieci, które występują w reklamach, również powinny mieć umowy i wynagrodzenie.

Ile zarobi agencja

Dzieci i nauczyciele pracują za darmo, ale nie robią tak agencje reklamowe, które oferują usługę edumarketingu. Za jedyne 5799 zł można zamówić np. miesięczną obsługę placówki wraz ze szkoleniem nauczycieli, którzy po tym miesiącu będą kontynuować działania reklamowe – już za darmo. Usługa jest oferowana przez agencję, która „pomaga przedszkolom, szkołom i uczelniom budować silną markę, skutecznie rekrutować uczniów i budować zaufanie rodziców", i jest skierowana do placówek, które „nie mają czasu na marketing (skupiasz się na dzieciach)".

Z profesjonalnych usług korzystają prywatne i publiczne placówki. Na przykład Urząd Dzielnicy Ochota sfinansował w tym roku kampanię reklamującą publiczne przedszkola w dzielnicy. Chodzi o billboardy w okolicach przedszkoli na Ochocie: 15 niepublicznych i 20 publicznych. Pojawił się na nich osobliwy tekst: „Przedszkola prywatne – drogo i niepewnie. Publiczne – bezpiecznie i za darmo. Wybierz mądrze!". I oczywiście wizerunki dzieci.

Zapytałam Urząd Dzielnicy Ochota, czy te dzieci to aktorzy/modele (czy uczniowie ochockich przedszkoli)? Czy inspektor pracy wydał zezwolenie na ich zatrudnienie? Czy otrzymały wynagrodzenie za swe aktorstwo i za wykorzystanie wizerunku? Jaki był koszt kampanii? Nie otrzymałam odpowiedzi.

11 lutego odbyło się kolejne posiedzenie sejmowej Komisji ds. Dzieci i Młodzieży ws. ochrony wizerunku dzieci w internecie. Jedynym efektem trwających w niej od 1,5 roku analiz i dyskusji jest deklaracja Ministerstwa Sprawiedliwości, że w przygotowanym projekcie nowelizacji tzw. ustawy Kamilka „przewidziano rozwiązania, które podkreślają znaczenie ochrony wizerunku małoletniego". Planowane przepisy „wskazują wprost, że wizerunek małoletniego stanowi dane osobowe". Problem w tym, że w żaden sposób ochrony tego wizerunku nie zwiększają.

© ANNA GOLUS

Długie pożegnanie

RAFAŁ STEC

SPORT | Ekstaza ustępuje powoli melancholii: w ruchach niezniszczalnego dotąd Roberta Lewandowskiego co wrażliwsi kibice mogą już dostrzec świadectwo naszej bezbronności wobec przemijania.

Pośród żyjących to najsławniejszy obecnie Polak na planecie – znają go, w przeciwieństwie np. do Lecha Wałęsy, przedstawiciele wszystkich pokoleń na wszystkich kontynentach. To prawdopodobnie nasz najwybitniejszy piłkarz w historii. Jeden z polskich sportowców wszech czasów, idol milionów, ikona.

Idol aż do przesady

Gdy próbujemy lapidarnie przedstawić Lewandowskiego, nie unikniemy truizmów, ale pewna rzecz chyba nam umyka, w każdym razie nie całkiem ją sobie uświadamiamy. Otóż megagwiazdor Barcelony zajmuje wyjątkową pozycję wśród wszystkich poruszających masową wyobraźnię gigantów polskiego sportu, ponieważ fetowaliśmy jego wyczyny częściej i dłużej.

Byliśmy – jesteśmy – z Lewandowskim intensywniej niż z Adamem Małyszem czy Kamilem Stochem, Justyną Kowalczyk czy Igą Świątek – by pozostać w XXI wieku – i ze względu na naturę futbolowych rozgrywek, i z powodu jego bezwzględnej dla przeciwników regularności. W piłkę na szczytowym poziomie gra się przecież cały rok (wyjąwszy kilka mgnień wakacyjnych), w śniegu i skwierczącym upale, w morderczym rytmie przeładowanego do absurdu kalendarza.

Kiedy kibicowi spadnie więc z nieba rozszalały łowca goli, który strzela w Lidze Mistrzów, w rywalizacji krajowej, a także w reprezentacji; który prawie nigdy nie choruje i rwie się do walki w każdym meczu, również mimo drobnych kontuzji i bólu; który wreszcie upodobał sobie długowieczność – to właściwie nie znika nam z oczu, stając się bohaterem życia codziennego, niemal domownikiem. Poniekąd bliższym niż ubóstwiani pisarze, reżyserzy, aktorzy, muzycy.

Kapitan reprezentacji Polski spełnia wszystkie przywołane warunki aż do przesady. W chwili powstawania artykułu rozegrał w profesjonalnej karierze 1098 oficjalnych meczów, nastrzelał 749 goli, uzbierał kolekcję 32 zespołowych trofeów. I jeśli wolno pozwolić sobie na odrobinę prywaty – dla dziennikarza zobowiązanego na bieżąco relacjonować dokonania rodzimych sportowców to obłędne tempo, które narzucił sobie Lewandowski, bywało wręcz kłopotliwe. Ileż razy kronikarz może w zajmujący sposób obwieścić, że Robert wielkim poetą jest? Skąd wytrzasnąć śladową choćby oryginalność myśli, gdy superpiłkarz w ustanawianiu rekordów gna ku nieskończoności?

Mick Jagger futbolu

Po nieszczęśliwie przegranym przez Polaków barażu o mundial zatrzęsły się kibicowskie serca, bo kapitan drużyny narodowej opublikował na Instagramie fotografię, na której schodzi z boiska i podnosi dłoń, pożegnalnie pozdrawiając publiczność, a w tle leci śpiewana przez Andreę Bocellego i Sarah Brightman piosenka o wymownym, niepokojącym tytule „Time to Say Goodbye". Jedni usłyszeli w niej komunikat, że lider niechybnie porzuci reprezentację, inni wyraz smutku po utracie szansy na występ na mistrzostwach świata, dla niego zapewne ostatnich. Sam zainteresowany powiedział w telewizyjnym wywiadzie, że nie zamierza składać żadnych deklaracji dotyczących przyszłości.

W rozstanie z Lewandowskim trudno uwierzyć, podświadomie podejrzewaliśmy go raczej o nieśmiertelność

eprasa.pl 94d9ff4ce5



ALEXANDER HASSENSTEIN / GETTY IMAGES

Robert Lewandowski podczas meczu Bundesligi pomiędzy Bayernem a Wolfsburgiem, Monachium, 22 sierpnia 2014 r.

i bycie futbolowym wcieleniem – skoro już krążymy ze skojarzeniami wokół estrady – Micka Jaggera, który w wieku 82 lat wciąż koncertuje i prawdopodobnie planuje umrzeć na scenie.

Ilekroć jednak spoglądamy na Barcelonę, w której gra polski napastnik, zauważamy, że niezniszczalny gladiator niedołężnieje. Wybaczcie brutalną dosadność sformułowania, wymaga jej uczciwe oddanie realiów wyczynowego sportu, który nikogo nie wynagradza za zasługi z przeszłości. Przeciwnie, widok konającego geniusza bywa doświadczeniem przygnębiającym, świadectwem naszej bezbronności wobec przemijania. Kto nie pogodzi się z losem wystarczająco wcześnie, często na boisku cierpi, a piłka potrafi go torturować tak, jakby chciała pozbawić godności.

Przeciętniacy grają dopóty, dopóki są w stanie wypocić jeszcze jeden kontrakt, ale dla wielkich mistrzów najtrudniejszym wyzwaniem bywa podjęcie decyzji, kiedy zdjąć korki na zawsze.

Tymczasem kibice są okrutni, najokrutniejsi. Im bardziej sądzą, że wartością ponad wszystkie lub wręcz jedyną pozostaje wynik, tym trudniej im ukryć irytację, gdy dostrzegą słabość idola. I tym śmielej nawołują, by „nie rozmieniał się na drobne", raczej poszedł sobie precz.

Nawet Małysz, wielbiony jak chyba żaden polski sportowiec, w smudze cienia wielokrotnie słyszał pytanie, dlaczego nie przestanie męczyć siebie i publiczności. Pytanie zresztą nonsensowne – skoczek narciarski skacze, bo jest skoczkiem narciarskim, a kiedy wyląduje w konkursie Pucharu Świata w czwartej dziesiątce, nadal pozostaje w wąskiej elicie najznakomitszych w swojej dyscyplinie.

Nie łudźmy się

Lewandowskiego obnaża dziś już nawet przedmeczowa rozgrzewka, podczas której rusza się sztywniej i wolniej niż inni barcelończycy (bywa, że drugi najstarszy zawodnik w składzie na mecz jest młodszy od niego o ponad dekadę!). A w trakcie gry coraz częściej nie nadąża, manewruje w zwolnionym tempie, strzela gole rzadziej niż kiedykolwiek w seniorskiej karierze.

Fenomenalny sukces odniósł jako piłkarz totalny – maniacko polerujący technikę, panujący nad emocjami, prowadzący patologicznie zdrowy tryb życia, bez wytchnienia rozwijający atletyczność i sprawność – ale właśnie bezpowrotnie gubi dziś ostatni atut, organizm przegrywa z upływem czasu. Cóż, sportowcy umierają młodo. Już po trzydziestce przypomina im się, że nadciąga schyłek, a w pobliżu czterdziestki, jeśli wciąż pozostają wśród wyczynowców, traktuje się ich jak starców, choć w istocie kończą kariery w kwiecie wieku, w pełni sił witalnych, gdy niemal całe życie przed nimi.

Nie łudźmy się, wszystko, co najwspanialsze w futbolu, Lewandowski ma za sobą. Już nigdy nie przyłoży czterema bramkami Realowi Madryt, jak w półfinale Ligi Mistrzów w 2013 r.; nie wbije pięciu goli w dziewięć minut, jak w Bundeslidze w 2015 r.; nie poczuje zapachu polskiego medalu na imprezie mistrzowskiej rangi, jak podczas Euro 2016; nie pocałuje najcenniejszego pucharu w futbolu klubowym w glorii najjaśniejszej gwiazdy na stadionie, jak w 2020 r.; nie będzie paradował w czołówce plebiscytu Złota Piłka, jak w 2021 r.

Kibicowska ekstaza ustępuje powoli melancholii, trzeba się teraz ćwiczyć w docenianiu okruchów, wzlotów rzadszych i mniej spektakularnych. I nadal przeżywać jego hipnotyzującą podróż. Było, jest i będzie intrygująco – ta biografia nie zawiera rozdziałów do zapomnienia. ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

Boniek w jego wieku...

↦ Patrzyliśmy zafascynowani, jak Lewandowski dojrzewa w Dortmundzie u fantastycznego wychowawcy Jürgena Kloppa. Jak przejmuje władzę w Bayernie Monachium, futbolowym przedsiębiorstwie wyrachowanym i bezlitośnie pozbywającym się postaci niewystarczająco wybitnych. Jak obala pomnik mitycznego Gerda Müllera. Jak błyskawicznie, bez okresu przejściowego, adaptuje się do specyficznego ekosystemu Barcelony, żądającej od piłkarzy nieskazitelnej maestrii. Jak staje się wzorem profesjonalizmu dla tamtejszej młodzieży – i jak akceptuje malejącą rolę w drużynie. Teraz następuje epilog – niekoniecznie krótki, spodziewajmy się pożegnania rozciągniętego w czasie. Zobaczymy, jak Lewandowski się starzeje, będziemy starzeć się wspólnie.

Nigdy dość przypominania: Zbigniew Boniek w jego wieku od blisko sześciu sezonów odpoczywał na emeryturze. Nie trzeba zresztą zaglądać do starożytności sprzed powstania Ligi Mistrzów, narażając się na zarzut ahistorycznego porównywania nieporównywalnych epok. Na horyzoncie wciąż majaczą nam przecież sylwetki Cristiano Ronaldo i Leo Messiego, czyli bodaj jedynych współczesnych piłkarzy, których bez cienia wątpliwości wypada zaklasyfikować jako wybitniejszych od Polaka, kończącego w sierpniu 38 lat.

Tyle że Portugalczyk w tym samym momencie kariery ledwie powłóczył nogami w Manchesterze United, zresztą tonącym w studziennym kryzysie, i ewakuował się do ligi saudyjskiej. Natomiast Argentyńczyk już po 36. urodzinach poleciał do USA, gdzie uprawia się futbol na chyba jeszcze niższym poziomie. Obaj abdykowali z rywalizacji na szczytach dla spokojnego truchtania w egzotyce, a kontakt z elitą miewają już tylko w rozgrywkach drużyn narodowych.

Lewandowski tymczasem wciąż rzuca wyzwanie najlepszym z najlepszych. Wraz z Barceloną mknie ku obronie tytułu mistrzowskiego w lidze hiszpańskiej, ucieka Realowi Madryt, a ostrożnie gospodarujący jego siłami trener wystawia go w podstawowym składzie w niemal wszystkich najbardziej prestiżowych meczach, także w Lidze Mistrzów. To ostateczny dowód na utrzymującą się przynależność Polaka do ścisłej czołówki.

Prowadzący Barcelonę Hansi Flick ufa weteranowi właśnie w sytuacjach krytycznych, rozstrzygających, w zderzeniu z potentatami. Równocześnie propozycję kontraktu dla Lewego (ten katalański wygasa w czerwcu) rozważają szefowie firm o statusie Juventusu czy Milanu. Wszystko to dzieje się w czasach, gdy pośród zatrudnianych przez renomowane kluby graczy ofensywnych tłoczą się wyłącznie młodzi lub nieprzyzwoicie młodzi zawodnicy.

Kibice są okrutni, najokrutniejsi.

Im bardziej sądzą, że wartością ponad wszystkie lub wręcz jedyną pozostaje wynik, tym trudniej im ukryć irytację, gdy dostrzegą słabość swego idola.

Portret ze skazą

Nie jest Lewandowski herosem bez skazy. Z czasem jego pokaźny elektorat negatywny raczej się rozrastał, a sceptykom stale przybywało powodów, żeby wyrażać wątpliwości.

Wykładowczyni nieistniejącej już Wyższej Szkoły Edukacji i Nauk Społecznych w Łodzi publicznie zarzuciła mu, że kupił dyplom, i że „zdał" u niej egzaminy, choć nigdy do nich nie przystąpił. To poważne oskarżenie, a jednak minęły już dwa lata i do sądu nie wpłynął żaden pozew o zniesławienie.

To nie jedyna rysa. W ubiegłym roku kapitan reprezentacji wybierał sobie mecze, w których miał ochotę zagrać dla Polski. Wcześniej również wywołał furię rodaków, gdy najpierw pertraktował z premierem Morawieckim w sprawie osławionych rządowych premii za wyjście z grupy na katarskim mundialu, a następnie pogrążał się na konferencjach prasowych, podając sprzeczne ze sobą wersje. Wygłaszając kuriozalne oświadczenia, zwyczajnie ściemniał.

Wciąż trwa też niesmaczna szarpanina o pieniądze z Cezarym Kucharskim, byłym menedżerem piłkarza – i niezależnie od wyroku sądowego, który jeszcze nie zapadł, nie przynosi mu ona chluby. Potajemne nagrywanie rozmów z Kucharskim budzi okropne skojarzenia z obyczajami znanymi z brudnej politycznej walki.

Szkodzą wreszcie wizerunkowi Lewandowskiego epizody na dobrą sprawę niewinne, jak żonglowanie piłką w pałacu prezydenckim, w towarzystwie Andrzeja Dudy. Pamiętajmy jednak, że nadpiłkarz poza boiskiem nie jest nadczłowiekiem, ale jednym z nas, wpisującym się zarówno w stereotyp cwaniaka, jak i w trawiącą kraj wojnę polsko-polską, która nie pozwala na zachowanie neutralności w żadnych okolicznościach i prawie każdemu działaniu przypisuje wymiar partyjny. Zostaje nam więc czysty sport – wyprane z ideologii zmagania na murawie.

Najważniejszy dziadek

Wspomnieliśmy już, że niewiele zjawisk w futbolu sprawia tyle przykrości, co obserwowanie udręki starych mistrzów, którzy odchodzą zbyt późno i przeobrażają się w karykaturę własnej legendy – ale Lewandowski trzyma fason. Nie starzeje się brzydko, lecz ładnie, a niewykluczone, że będzie kończył pięknie, nawet jeśli poleci do Arabii Saudyjskiej, gdzie stanie oko w oko z Ronaldo, lub do Stanów Zjednoczonych, gdzie ligę uświetnia Messi.

Gdyby natomiast pozostał w europejskiej elicie, powinniśmy chyba po raz kolejny zebrać się do patriotycznego zrywu – ulubiony polski sport, prawda? – i krzyknąć w stronę międzynarodowej opinii publicznej, że wśród bezluku rozdawanych piłkarzom wyróżnień brakuje hołdów składanych weteranom. Skoro na każdym turnieju nagradza się młodych, skoro wymyślono statuetkę Golden Boya wręczaną najzdolniejszemu graczowi poniżej 21. roku życia, to wypada wreszcie uhonorować najbardziej wytrwałych. Np. podczas gali Złotej Piłki, FIFA czy UEFA wzywać na scenę najlepszego piłkarza z ukończonymi 35. latami, niegdyś wyznaczającymi granicę, po przekroczeniu której senior przemienia się w oldboya.

Nie dość, że idea wydaje się postępowa, zgodna z trendem zwalczania ejdżyzmu, to jeszcze może sprzyjać polskiemu interesowi narodowemu, którego nie zaneguje żadna strona politycznego sporu. Finałowa teza zabrzmi chyba niezbyt kontrowersyjnie – wyjąwszy bramkarzy, wiosną 2026 r. Lewandowski jest najbardziej znaczącym dziadkiem w wielkim futbolu.

© RAFAŁ STEC

eprasa.pl 94d9ff4ce5

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie



REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

eprasa.pl 94d9ff4ce5

OLGA

Drenda: *Gdzie jest się*



„Fotografowanie śniadań” – tak lekceważąco wyrażali się niektórzy, gdy rozpowszechniły się kieszonkowe aparaty cyfrowe, a potem fotografia mobilna. Szybko przyczyniło się to do wyrobienia nowego, powszechnego nawyku spontanicznego rejestrowania życia, a czasem budowania sobie drugiego, równoległego w obrazach: tego „dla wspomnień”. Godne zachowania stawały się dzięki temu nie tylko chwile w utartym mniemaniu wyjątkowe, ale wszystko dookoła. „Nic mnie nie obchodzą cudze śniadania!”, powtarzali ludzie, którym nie podobał się ten zwyczaj i których zdaniem nie wszystko było zdjęcia godne. Narzekali na nadprodukcję i zalew obrazów. A może nawet, to grzech najgorszy, ktoś się chciał swoim śniadaniem pochwalić.

Bardzo lubię te zdjęcia. I śniadania, i połowę czyjegoś czoła w kadrze, i rozmazane światło latarni nocą, nieudane makro – chybione próby zrobienia portretu trzmielowi – i widok na morze z pochyłym horyzontem. Lubię starą, „niewyjątkową” fotografię, z czasów, gdy kliszę starano się oszczędzać na specjalne okazje, na jubileusz czy wakacje – a mimo to ktoś zrobił zdjęcie zwyczajnego podwórka, jabłek na ceracie. Podczas wycieczki do Krakowa – obok obowiązkowych kadrów z Wawelu i Rynku, jakiś niepozorny, może niewyraźny widok złapany po drodze, może kawałek graffiti na murze, może czyjaś kurtka. Ale z przekonania o zalewie obrazów po pewnym czasie zostaje niewiele, zaledwie jakiś osad. Urządzenia, którymi je wykonano, mają krótkie życie, podobnie strony internetowe i serwisy hostingowe, którym powierza się swoje pliki. Dane cyfrowe ulatniają się jak kamfora.



OLGA DRENDA

Śniadać należy porządnie

W czasach kliszy, gdy fotografowanie i wywoływanie zdjęć wymagało więcej wysiłku i pieniędzy, Amerykanin Stephen Shore wpadł na pomysł, by utrwalać krajobraz przemysłowy, zmieniany ręką człowieka, i fotografować go jak pejzaż górski. Ponieważ trudno na takie wyprawy wybierać się bez śniadań, rejestrował także to, co zjadał w różnych barach po drodze. Efekt to niezmiernie wciągająca kolekcja zdjęć tostów, bułek, kaw; mówią bowiem o czymś więcej niż tylko o tym, co zjadł Shore. Którędy i dlaczego prowadziły trasy, których być może już nie ma; co uchodziło za smaczne i pożywne, ile kosztował posiłek na kieszeń przeciętnego podróżnika, od jakiej kawy zaczynano dzień. Takie pozornie błahe rzeczy, które wydają się mniej godne uwiecznienia niż powiedzmy widok słynnej góry o świcie – ale później, gdy chcemy dowiedzieć się po latach, jak żyli i jacy byli ludzie, to właśnie takie banalne obrazy mówią nam najwięcej – bo tosty Shore’a to śniadania jadane w świecie, który już nie istnieje.

Czasami takie małe obrazy to jedyna pamiątka i dowód jakiegoś „się”: tego, jak się żyło, jak się jadało, jak wyglądał przeciętny dzień, biurko ucznia, kolacja rodziny, czekanie na przystanku. Owo „się” to wata, która wypełnia przestrzeń między Wydarzeniami, i to, co robimy w oczekiwaniu na Wydarzenia, które przecież nadchodzą raczej z rzadka. Choć i o nich można opowiedzieć przez to, co wpada gdzieś w kąt oka: walizka, którą zabieramy do szpitala, rozkład jazdy pociągów w nowym mieście po przeprowadzce, mycie naczyń po pierwszym samodzielnym posiłku dziecka.

Większość ludzkiego życia, a można wręcz buńczucznie powiedzieć, że większość dziejów cywilizacji to właśnie „się”. Dwudziestowieczni historycy starają się rekonstruować jego zawartość poprzez księgi sądowe. Archeolodzy niejednokrotnie muszą rozkopywać zawartość prastarej toalety (bo tam przedmioty codziennego użytku zachowują się w szczególnie dobrym stanie). Te nadmiarowe, niby niepotrzebne zdjęcia pozwalają zetknąć się z czyjąś codziennością w sposób przystępniejszy i może nieco bardziej higieniczny.

Teraz najpopularniejszym formatem są krótkie filmy, niestety często jeszcze mocniej skazane na żywot jętek jednodniówek niż fotografie. Dawniej były domeną domowych pasjonatów, którzy podążali za bliskimi z ciężką kamerą przy oku (ich wysiłek upamiętnia teraz doroczny Home Movie Day, gdzie domowe archiwa pokazuje się w kinach). Teraz przemykają pospiesznie przez ekrany smartfonów i na razie denerwują swoją hałaśliwą wszechobecnością, ale już staram się myśleć o nich inaczej, żeby nie zostać tym marudą antyśniadaniowym. Kiedyś będą cenne, bo zdjęcie nie rejestruje urywka rozmowy nad talerzem kanapek. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

OPP



Zespół „Tygodnika Powszechnego” w redakcji na ul. Dworskiej 1c w Krakowie, 27 lutego 2026 r. Fotografowała Grażyna Makara.

Za nami 4000 numerów „Tygodnika Powszechnego”.
Kolejne tysiące stworzymy dzięki Twojemu wsparciu.

Przekaż 1,5% podatku Fundacji Tygodnika Powszechnego
i twórz „Tygodnik” razem z nami.

Naprawdę.

t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

TYGODNIK POWSZECHNY

KRS 0000 125 605

PIT rozliczony? Sprawdź inne formy wsparcia >>

www.tygodnikpowszechny.pl/wspieraj

eprasa.pl 94d9ff4ce5

OPINIE

TA BIEDNA MĘSKOŚĆ

Przemilczane nierówności, równouprawnienie, które zaszło za daleko, dyskryminacja mężczyzn... Michał Gulczyński skutecznie mebluje męskie głowy. Przyjrzyjmy się jego metodzie.

WOJCIECH ŚMIEJA

W czasach, gdy programy partyjne ograniczają się do rolek na społecznościówkach, a wyobraźnią społeczną rządzą influencerzy, którzy złożone kwestie tłumaczą w 30 sekund, należy z uznaniem przyjąć, że w Stowarzyszeniu na Rzecz Chłopców i Mężczyzn zadano sobie trud wypracowania intelektualnego fundamentu działalności organizacyjnej. Podjął się go współzałożyciel Stowarzyszenia, dr Michał Gulczyński.

Ten politolog legitymujący się dyplomami znakomitych europejskich uczelni (doktorat na Uniwersytecie Boccioniego w Mediolanie, studia na UW, Freie Universität w Berlinie i Kolegium Europejskim w Natolinie) manifest ruchu przedstawił na 525 stronach, z których ponad sto to przypisy. Mimo to, jak uczciwie zastrzega, nie mamy tu do czynienia z pracą naukową. „Mężczyźni. O nierówności płci" to książka upowszechniająca stanowisko autora i – szerzej – Stowarzyszenia.

Gulczyński zasłynął w 2021 r. raportem „Przemilczane nierówności", wskazującym na dolegliwości związane z byciem nieuprzywilejowanym mężczyzną w Polsce. Pojawienie się raportu, firmowanego przez Klub Jagielloński, wywołało poruszenie: z dnia na dzień zaczęto mówić i pisać o mężczyznach w zasadzie wszędzie. Miarą sukcesu powołanego wkrótce potem Stowarzyszenia jest to, że w tym roku organizuje swój trzeci Kongres. Liczba jego członków rośnie, a skuteczność lobbingu zasługuje na uznanie: w wyborach prezydenckich 2025 r. o męskich problemach musiał wypowiedzieć się właściwie każdy kandydat i kandydatka.

Książka to rozwinięcie tez raportu ze wszystkimi tego konsekwencjami – zamyka okres formacyjny ruchu i buduje jego tożsamość.



Gra pozorów

Trudno oczywiście odmówić Gulczyńskiemu trafności wielu diagnoz i sugestii pozytywnych rozwiązań. Wysyłanie na prowincję „androbusów" albo działania służące ograniczeniu dostępności alkoholu są słuszne i pożądane. Nie ma też nic złego w zwracaniu uwagi na niepokojące dane demograficzne (w Polsce różnica długości życia między kobietami i mężczyznami wynosi prawie 7,5 roku, w Szwecji czy Holandii to ledwie trzy lata), statystyki samobójstw (8 na 10 prób podejmują mężczyźni) czy

eprasa.pl 94d9ff4ce5

problemy chłopców z czytaniem, przekładające się na niższe wyniki egzaminacyjne. Spraw do załatwienia jest mnóstwo i cenię to, że autor je podnosi.

Mam jednak poczucie, że nie robi tego bezinteresownie i że sposób, w jaki to robi, powinien budzić niepokój. Dlatego napiszę o jego książce krytycznie. Jest to potrzebne zwłaszcza dlatego, że szybkie media w rodzaju Kanału Zero podchwytują opowieść Gulczyńskiego jako „neutralną", „umiarkowaną", „wyważoną".

Zapatrzeni w Amerykę

W książce „Po męstwie" dominujące w danej epoce wyobrażenia o męskości opisałem jednym słowem-kluczem. Dla dwudziestolecia wybrałem honor, dla PRL – awans, dla transformacyjnej III RP – sukces. W epilogu zwracałem uwagę, że narracja męskości sukcesu wyczerpała się na początku drugiej dekady XXI w., a na jej miejsce nie powstała żadna o porównywalnej sile oddziaływania. W tę pustkę wszedł właśnie Michał Gulczyński, proponując termin „dyskryminacja". Wszedł i zdobywa zasięgi, twierdząc, że współczesna Polska staje się „piekłem mężczyzn".

Na naszym gruncie koncept jest oryginalny i wpisuje się w trend, do którego wrócę, ale zarówno w wymiarze diagnozy, jak i praktyki Gulczyński kopiuje amerykański pierwowzór: założony mniej więcej w tym samym czasie American Institute for Boys and Men, twórczo rozwijający idee znane wcześniej z publikacji konserwatywnego i powiązanego z Partią Republikańską think tanku Heritage Fundation.

Subtelniej od Czarnka

„Potrzebujemy nowej narracji o chłopcach i mężczyznach", pisze Gulczyński. I dostarcza tej narracji. Warto zobaczyć, jak jest skonstruowana i czym ryzykujemy, łatwo jej ulegając. Jeśli jesteśmy wobec niej nieco bezradni, to właśnie dlatego, że nie przypomina tradycyjnych narracji backlashowych.



MEEM / ADOBE STOCK

Głosicielami tych ostatnich są np. Przemysław Czarnek i Grzegorz Braun, którzy uważają, najkrócej mówiąc, że kiedyś było lepiej, ale przyszedł feminizm i wszystko zepsuł. Trzeba po prostu wrócić do „starych dobrych czasów", gdzie rodziny były silne i wielodzietne. Taką narrację kupuje pewien segment polskiego społeczeństwa – starszy i słabiej wykształcony.

Ale Gulczyński szuka odbiorców wśród młodszych i lepiej wykształconych odbiorców. Jemu również chodzi o backlash, lecz bardziej wyrafinowany i gotowy do pewnych koncesji z emancypacją kobiet. Dzieje się tak m.in. dlatego, że „nowa narracja o mężczyznach" dokonuje wrogiego przejęcia języka i strategii feminizmu. Tę ostatnią widać w tym, że Kongres Mężczyzn w jakimś sensie kopiuje działania Kongresu Kobiet.

Konduktor bez posiłku

Jeśli zaś chodzi o język, to pierwszym i podstawowym przejęciem jest hasło dyskryminacji mężczyzn. Gulczyński przywołuje wiele statystyk i zjawisk z obszaru edukacji, zdrowia, pracy i systemu emerytalnego, ojcostwa, wykluczenia. Niestety, dopuszcza się przy okazji uproszczeń, co pokażę na jednym przykładzie.

Otóż zwraca on uwagę (w ślad za „Gazetą Wyborczą"), że konduktorom PKP nie przysługuje posiłek, podczas gdy ich koleżankom konduktorkom już tak. Przyjmijmy, że to rzeczywiście przykład nierówności, ale żeby orzec, czy w PKP rzeczywiście mężczyźni są dyskryminowani, musielibyśmy przeanalizować szereg danych o strukturze zatrudnienia, ścieżkach awansu, procesie rekrutacji, systemie wynagrodzeń itp. Obawiam się, że gdybyśmy to zrobili, teza o dyskryminowaniu konduktorów byłaby trudna do obronienia (choć, rzecz jasna, uważam, że i panom należy się posiłek regeneracyjny).

Przywoływanie wyrywkowych danych bez kontekstu i podpinanie ich pod tezę nosi nazwę *cherry picking* i doskonale sprawdza się w różnego rodzaju denializmach, zwłaszcza klimatycznym („mroźna zima w Polsce = ocieplenie klimatu to ściema").

↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5



Michał Gulczyński
MĘŻCZYŹNI. O NIERÓWNOŚCI PŁCI
Wydawnictwo Port, Warszawa 2026

Patriarchat to nie wytrych

↦ Gulczyński lubi przejmować sformułowania rozpoznawalne dla teorii feministycznej, jak „gotowi na zmianę" (bell hooks) czy „nowy kontrakt płci" (Małgorzata Fuszara), odwracając ich pierwotne znaczenia. To również strategia znana konserwatywnej prawicy, co pokazuje m.in. Naomi Klein w „Doppelgängerze". Gulczyński jest zresztą szczery w jej realizowaniu, gdy w swoim wywodzie przywołuje też ceniony i rozpoznawalny zestaw pojęć solidarnościowych. Apelując o „męską solidarność", przywraca historyczne wyobrażenie wspólnoty walczącej z imperium i radzi, w ślad za Kuroniem, by nie palić komitetów, ale zakładać własne.

Gulczyński naturalizuje terminy, których używania nie rekomendował – zgodnie z opinią WHO – nawet rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek, np. „alienacja rodzicielska". Tym samym stwarza nową rzeczywistość pojęciową, alternatywną wobec obowiązującej w świecie instytucjonalnym. Równocześnie jednak jest w tym konstruowaniu nowego języka wybiórczy. Jeśli mówi o tym, że utrzymywanie patriarchatu niesie z sobą problemy i obciążenia dla samych mężczyzn, zwłaszcza tych z klas nieuprzywilejowanych, posługuje się formułą „tak zwane koszty patriarchatu".

Ruch mężczyzn jako *doppelgänger* (sobowtór) ruchów kobiecych przechwytuje więc ich terminologię, ale robi to selektywnie: to, czego przejąć się nie udaje, ma zniknąć. Tak jest właśnie z pojęciem „patriarchatu", rzekomo niefunkcjonalnym „wytrychem". Nie dziwię się: gdyby je przyjąć, należałoby również uznać, że najbardziej uprzywilejowani mężczyźni (powiedzmy, że z listy 500 najbogatszych „Forbesa") bezwzględnie wykorzystują te i tych, którzy znajdują się niżej w hierarchii, toteż dyskryminującymi mężczyzn byliby... mężczyźni. W koncepcji Gulczyńskiego natomiast główną przyczyną dyskryminacji mężczyzn jest to, że transfery socjalne i usługi przejmowane są przez kobiety (np. w postaci wcześniejszego wieku emerytalnego, przeciw któremu zresztą protestował Kongres Kobiet).

Kto dyskryminował w Srebrenicy

Jednym z powszechnie przyjętych w akademickich studiach nad mężczyznami (*masculinity studies*) pojęć jest „męskość hegemoniczna". Oznacza ono pewien „typ idealny" męskości, na tyle atrakcyjny, że „zwykli faceci" próbują go wcielać w życie, choć z reguły nie są w stanie tego zrobić. Taki ideał reguluje społeczne emocje, zarówno pozytywne, jak negatywne, a jego rewersem są różne formy marginalizacji i podporządkowania, a także pospolitej frustracji mężczyzn.

Gulczyński nie przeprowadza krytyki tego pojęcia: po prostu każe nam uwierzyć, że jest wytrychem i niczemu nie służy. Nie pasuje do opowieści o mężczyznach dyskryminowanych.

By pokazać, jak to działa w praktyce, pochylmy się nad jednym zdaniem. Oto drastycznym dowodem na to, że mężczyźni „mają gorzej", jest masakra w Srebrenicy. Jak pisze Gulczyński: „Mordowano wyłącznie chłopców i mężczyzn – ze względu na ich pochodzenie etniczne, religię i właśnie płeć". Autor trzeźwo sytuuje płeć na trzecim miejscu wśród przyczyn mordu, ale używa formy nieosobowej „mordowano". Cóż, inaczej musiałby napisać, że mordercami byli również mężczyźni, i to tacy, którzy walczą o hegemonię na danym obszarze. Nie zwyrodnialcy, lecz ojcowie rodzin, patrioci, chrześcijanie, w większości niespecjalnie uprzywilejowani. Uznanie tego faktu komplikowałoby narrację o dyskryminacji mężczyzn.

Zamiast tego Gulczyński lubi powtarzać tezę, że mężczyźni uosabiają „przemilczany problem nierówności płci". Twierdzi, że mówienie o tym było dlań ryzykowne – mamy więc niezbędny dla dyskursu współczesnej prawicy element spiskowy. Od czasu do czasu okrasza też wywód nieweryfikowalnymi anegdotami o tym, jak „wielokrotnie doświadczył wykluczenia i agresji".

Czy państwo ma twarz kobiety

By wyjaśnić przyczyny dotychczasowego niewysłuchania mężczyzn, Gulczyński sięga do zgrabnego cytatu z „Myszeidy" Krasickiego: „Mimo tak wielkie płci naszej zalety, / My rządzim światem, a nami kobiety", co wprawdzie ogrzewa moje polonistyczne serce, ale sprawia, że całkowicie nie wierzę w zapewnienia, że chce zakończyć „polaryzację płci", a jego „nowa narracja" nie jest skierowana przeciw kobietom.

Oczywiście, autor stara się nie być w sposób bezpośredni antykobiecy, ale buduje świat przedstawiony, w którym polityki równościowe UE obsługują tylko kobiety. Dla młodego mężczyzny „państwo ma twarz kobiety, nauczycielki, pani z urzędu lub opieki społecznej albo sędzi". Niepokój autora budzą mizandryczne nastolatki i radykalizacja dziewcząt w sieci (tak, to problem równie poważny jak incele i manosfera albo faceci od masakr kampusowych!). Jak często u Gulczyńskiego – część problemów jest faktyczna, ale ich interpretacja i skalowanie są co najmniej problematyczne.

Przyjrzyjmy się pozornie marginalnemu, ale w istocie centralnemu problemowi z jego wywodem. Otóż wedle Gulczyńskiego za „przemilczanymi nierównościami" stoi korporacyjna zmowa akademiczek zajmujących się *gender studies*. Pisze tak: „W badaniach nad płcią ewidentnie brakuje mężczyzn". Wynika to, jego zdaniem, „także z hermetyczności poszczególnych środowisk i tradycji badawczych".

Te złe akademiczki

Mamy tu do czynienia z kilkupoziomową manipulacją.

Po pierwsze każdy, kto zajmuje się problematyką płci w polskiej akademii, potrafi wskazać kilkanaście nazwisk badaczy-mężczyzn. Niektórzy, jak prof. Zbyszko Melosik czy prof. Jacek Kochanowski, to osobowości znane z mediów.

Po drugie, Gulczyński zakłada istnienie jakiegoś esencjalizmu postaw i poglądów – tak jakby badacz-mężczyzna musiał z racji posiadania pary chromosomów XY odrzucać feminizm, gender czy queer i w polu akademickim legitymizowałaby go płeć, a nie dorobek badawczy. Absurdalność tej myśli ujawni analogia – to tak, jakby mówić, że polonistyką zajmować powinni się tylko Polacy.

Trzecia manipulacja polega na imputowaniu hermetyczności środowisk badawczych (jak wiemy od autora: sfeminizowanych). No cóż, faktycznie ktoś kiedyś mógł nie przyjąć referatu dr. Gulczyńskiego, uznając, że np. w przedstawionym przez niego konspekcie porządek esencja-

eprasa.pl 94d9ff4ce5

lizmu płciowego miesza się z konstruktywizmem płciowym. Tyle że to dość powszechne zjawisko w świecie akademii i mnie też się zdarzało; po prostu musimy z tym – jako uczeni – żyć, że odrzucono nasz referat. Zresztą (pozwolę sobie na złośliwość), jeśli ktoś twierdzi, że „już nawet niemowlęta przejawiają skłonność do tradycyjnych ról płciowych", to rzeczywiście mamy tu do czynienia z nielichym poplątaniem porządków.

Czemu służy ta potrójna manipulacja? Gulczyński wielokrotnie podkreśla swoje równościowe przekonania i odrzuca polaryzację płci jako wymysł medialny. Bardzo dba o to, żeby swoje poglądy przedstawiać jako umiarkowane i rozsądne, mówi, że chce „zatrzymać rozjazd płci". Problem w tym, że aby ów centryzm uwiarygodnić, podpowiada czytelnikom wizję świata, w której mamy do czynienia z jednej strony z groźną i agresywną manosferą i rzeszami sfrustrowanych inceli, z drugiej zaś znajdują się instytucje realizujące profeministyczną agendę, wspierane przez „hermetyczne" akademiczki z wydziałów *gender studies* (w Polsce nie ma żadnego, ale to nie szkodzi).

Ten piękny kongres

Receptą na tę hermetyczność („przemilczany problem nierównowagi płci na konferencjach, gdzie ok. 90% uczestników to kobiety") jest właśnie Kongres Mężczyzn, o którym pisze jako o przedsięwzięciu wzorcowym przez to właśnie, że niespętanym przez polityczną poprawność, akademickie koterie, a nawet teoretyczną spójność: „...uznajemy różnorodność za wartość. Znajdujemy miejsce i dla teoretyka queer dr. Michała Bomastyka, i dla Mężczyzn św. Józefa. Zazwyczaj działania zapraszanych przez nas gości nie mają prawicowych czy lewicowych barw – osoby te reprezentują harcerstwo, podejmują walkę z samotnością, zapobiegają uzależnieniom i samobójstwom, pomagają bezdomnym... Dobre, potrzebne działania na rzecz mężczyzn nie muszą być w żaden sposób ustosunkowane do feminizmu czy problemów kobiet. Nie muszą też być osadzone w teoriach o męskości".

Zostawmy na boku fakt, że kongresy organizacji to nie konferencje naukowe – te ostatnie często rzeczywiście są hermetyczne i skupione wokół określonych metodologii czy szkół badawczych. Taka jest ich specyfika, o czym Gulczyński wie, ale jego czytelnicy już niekoniecznie, więc może im wizję skostniałej i wrogiej akademii sprzedawać bez ryzyka.

Na nierównym boisku

W Polsce różnica długości życia wynosi 7,4 roku, na Łotwie prawie 10, a w Szwecji i Holandii ok. 3 lat. Światowe wskaźniki szczęścia pokazują, że najszczęśliwsze są kraje takie jak Finlandia, Dania, Szwecja, Norwegia czy Holandia. Z pewnością na to szczęście wpływa wiele czynników, ale tym, co powinno zwrócić naszą uwagę, jest fakt, że te same kraje sytuują się najwyżej pod względem poziomu równości płci.

Polska w światowym wskaźniku tejże zajmuje 51. miejsce, w Europie też nie błyszczymy. W unijnym rankingu równouprawnienia zajmujemy zazwyczaj miejsce w drugiej dziesiątce (np. 18. w 2023 r.). Mimo tych niespecjalnie progresywnych danych, to właśnie w polskim społeczeństwie w ostatnich latach najbardziej w świecie wzrosło przekonanie, że równouprawnienie zaszło za daleko na korzyść kobiet – według raportu King's College i Ipsos ten wzrost w ciągu ostatnich 7 lat sięgał 18 proc. odpowiedzi. Czy samo wzrosło, czy jest podszeptywane różnymi kanałami?

Najkrócej mówiąc, choć boisko jest wciąż przechylone na korzyść mężczyzn, to i tak uważamy, że przechył jest za mały, i coraz mniej chcemy go wyrównywać. W żadnym z równościowych i szczęśliwych krajów tych poziomów nie wywalczyły organizacje i stowarzyszenia działające w formule propagowanej przez Gulczyńskiego. Przeciwnie, polityki wzmacniania „męskiego pierwiastka" charakterystyczne są dla ustrojów autorytarnych (Rosja, ostatnio także USA) czy technofeudalnych korporacji (Musk czy Zuckerberg, podkreślający, że potrzebujemy więcej „męskiej energii w biznesie").

Nie mam odpowiedzi, co robić z problemami chłopców i mężczyzn we współczesnym świecie i w Polsce. Wiem jednak, że uwierzenie Michałowi Gulczyńskiemu może nas słono kosztować. Zdanie z jego książki: „Nie wystarczy, że mężczyźni *zaczną płakać* – trzeba ich też zacząć słuchać" brzmi niepokojąco dwuznacznie.

© WOJCIECH ŚMIEJA

Autor jest literaturoznawcą, profesorem Uniwersytetu Śląskiego. Zajmuje się gender studies, wydał m.in. książkę „Po męstwie. Historia polskiej męskości w XX wieku".



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 94d9ff4ce5

ŚWIAT

POWRÓT ROSJI

Mimo trwającej na Ukrainie wojny
bojkot Rosji jest coraz bardziej dziurawy.
Przywróceniu jej do grona pełnoprawnych państw
sprzyja sytuacja w świecie, w tym przychylność ekipy Trumpa.

FILIP RUDNIK



eprasa.pl 94d9ff4ce5

Sztuka i sport, zwykło się mówić, powinny być apolityczne – i trudno debatować ze słusznością tej tezy. W idealnym scenariuszu sportowe potyczki i dzieła artystyczne powinny sprawiać przyjemność milionom widzów, bez dzielenia tej radości między grupy narodowe. Duma, wzbudzona u rodaków artysty bądź sportowca, powinna być zaś emocją pozytywną.

W praktyce jednak „apolityczność" tych światów to nad wyraz często retoryczny wytrych, z pomocą którego próbuje się forsować partykularne interesy. Na domiar złego posługują się nim ci, którzy otwarcie depczą uniwersalistyczne idee, jakie mają przyświecać choćby ruchowi olimpijskiemu – jak prawa człowieka, równość, zasady *fair play*.

W ostatnich miesiącach swoje starania na tym polu intensyfikują Rosjanie. Pod hasłem „neutralności" próbują przerwać izolację trwającą niekiedy od 2014 r. – od zaboru Krymu i agresji w Donbasie. Mogą w tym liczyć na rzesze przychylnych decydentów na Zachodzie – w tym na Donalda Trumpa, jego administrację i otoczenie.

Przełom po latach

„Sport jest dla wszystkich" – orzekł w lutym Paolo Zampolli, specjalny wysłannik Trumpa ds. Globalnych Partnerstw (prywatnie to on zaznajomił kiedyś obecnego prezydenta z jego przyszłą żoną Melanią). Tak Zampolli skomentował fakt udziału Rosjan w Zimowych Igrzyskach Paraolimpijskich we Włoszech.

Włoska paraolimpiada była dla Rosji przełomem. Po raz pierwszy od 2014 r., od igrzysk w Soczi, rosyjskim sportowcom zezwolono na udział pod własną flagą w imprezie o takim formacie. Odebrano im możliwość posługiwania się trikolorem już po słynnej aferze dopingowej z Soczi.

Potem, w 2022 r., Międzynarodowy Komitet Olimpijski zawiesił w ogóle Rosyjski Komitet Olimpijski w prawach członka w ramach retorsji za pełnoskalową inwazję na Ukrainę. Formalnym powodem był fakt włączenia przez Rosjan do swego komitetu struktur sportowych z ukraińskich regionów, które Putin nielegalnie anektował we wrześniu 2022 r.

Rosyjscy sportowcy podczas ceremonii otwarcia Zimowych Igrzysk Paraolimpijskich Mediolan-Cortina 2026. Werona, 6 marca 2026 r.

MARCO MANTOVANI / GETTY IMAGES

Lata absencji były bolesne. Triumfy na olimpiadach są kluczowe dla rosyjskiego poczucia sprawczości, są źródłem prestiżu. Pamiętająca czasy sowieckie rywalizacja sportowa z USA przetrwała do dziś. Dla Rosjan wciąż jest istotne, czy są w stanie pokonać odwiecznych amerykańskich rywali, a dziś także „towarzyszy" z Chin.

Rosyjski lobbing

Nieobecność bolała tym bardziej, że nastąpiła krótko po igrzyskach w Soczi, będących ukoronowaniem władzy przedinwazyjnego Putina. 12 lat temu Rosjanie zdobyli tam najwięcej medali – zgodnie z życzeniem dyktatora i dzięki systemowi dopingu.

Początkowo w reakcji na izolację Moskwa próbowała organizować alternatywny świat, ale z marnym skutkiem i bez przekonania. Rosyjską wersją olimpiady miały być Światowe Igrzyska Przyjaźni oraz Igrzyska BRICS (tj. grupy krajów głównie z Globalnego Południa). Ale pierwsze się nie odbyły, a drugie przybrały karykaturalną formę – w części dyscyplin rosyjscy sportowcy nie mieli z kim rywalizować.

Na koniec okazuje się, że te wysiłki były jednak niepotrzebne. Widać dziś bowiem jak na dłoni, że Rosjanie – dzięki ciągłemu lobbingowi i wyczuciu czasu – powoli odzyskują pozycję, dziurawiąc międzynarodowy bojkot.

Jeszcze przed włoską paraolimpiadą reprezentantów Rosji dopuszczono – pod własną flagą – do udziału w międzynarodowych turniejach judo i taekwondo. Teraz, wraz z paraolimpiadą, przywrócenie pełni praw do występu w szeregu dyscyplin to dla Rosjan jaskółki nadziei zwiastujące dalsze sukcesy.

Dziś Michaił Diegtiariow, minister sportu i szef rosyjskiego komitetu olimpijskiego, otwarcie wyraża nadzieję, że niebawem jego sportowcy mogą spodziewać się przywrócenia ich praw przez MKOl.

Logika usprawiedliwień

Dążeniu do zdejmowania zakazów towarzyszą argumenty o ich bezcelowości, które podnoszą nie tylko Rosjanie. Wkład w forsowanie tego przekazu wniósł także szef FIFA – ten sam Gianni Infantino, który przed laty odebrał z rąk Putina rosyjski Order Przyjaźni w ramach podziękowania za pomoc przy organizacji mundialu w Rosji.

Na początku tego roku Infantino stwierdził, że zawieszenie Rosji w rozgrywkach piłkarskich „nic nie dało", a jedynie przyczyniło się do „większej frustracji i nienawiści". Jego zdaniem umożliwienie „chłopcom i dziewczętom z Rosji" gry w piłkę w innych częściach Europy pomogłoby krzewić pryncypia ważne dla futbolu, jak wzajemne zrozumienie.

Trudno pojąć logikę takiego rozumowania. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę to, co zdaje się być celowo przemilczane. Przekonywanie, że należy przywrócić Rosję do światowych rozgrywek, pomija przecież cały kontekst sytuacji.

Tak jakby wykluczenie Rosjan było sednem problemu, który zjawił się za sprawą jakiegoś zrządzenia losu. Jakby codzienne naloty na ukraińskie miasta, codzienna śmierć obrońców na froncie i cywilów były nieistotnym tłem, niewartym wzmianki.

„Niewinni" artyści?

Prócz paraolimpiady Rosjanie w tym roku wrócą też na weneckie Biennale Sztuki. Ich pawilon – zaprojektowany przez tego samego architekta, który stworzył moskiewskie mauzoleum Lenina – nie był wykorzystywany przez rosyjskich artystów od 2022 r.

Zdaniem Michaiła Szwydkoja, wysłannika Kremla ds. współpracy międzynarodowej, Rosjanie jednak nigdzie nie wracają, bo ich sztuka zawsze stanowiła nieodłączną część globalnej cywilizacji. Szwydkoj z satysfakcją zauważa, że próby „cancelowania" rosyjskiej kultury przez zachodnie elity spaliły na panewce – i organizatorzy Biennale wyrazili zgodę na udział artystów z Rosji.

Wystawa w rosyjskim pawilonie, nosząca tytuł „Drzewo zakorzenione w niebie", ma według Szwydkoja przypomnieć, że „wieczność przeważa nad chwilowymi zmartwieniami, a kultura nad polityką". Co, żachnął się wysłannik, nie wszyscy „są w stanie zrozumieć".

Kreml intensywnie eksploatuje przekaz, który usłyszeć pragnęłoby wielu: że sport czy sztuka są „poza polityką". To jego mantra. Na arenie światowej stara się on usilnie, by zatrzeć związek między władzami Rosji a artystami i sportowcami, na pozór niewinnymi.

Problem w tym, że naiwnością – bądź złą wolą – jest sądzić, że występy bądź ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ wydarzenia współorganizowane przez rosyjskie państwo są apolityczne i niewinne.

Nadzór totalitarny

Poglądy pojedynczych artystów czy sportowców – nawet jeśli nieprawomyślne względem linii Kremla – nie mają tu w istocie znaczenia. W dzisiejszej Rosji, coraz bardziej totalitarnej i wciąż toczącej wojnę, życie społeczne jest pod coraz ściślejszą kontrolą reżimu, a skrawków prywatności jest coraz mniej.

Wręcz trudno sobie wyobrazić, aby w tak newralgicznych obszarach rosyjskiego *soft power* – wszak i w sporcie, i w sztuce manifestuje się, chcąc czy nie chcąc, rosyjską potęgę – Kreml pozwolił na swobodę. Z konieczności trzymania pieczy nad wizerunkiem Rosji bierze się strukturalny nadzór państwa nad tymi obszarami.

Widać to na przykładzie pawilonu w Wenecji. Kuratorką rosyjskiej wystawy jest Anastasia Karniejewa, córka wiceprezesa Rostechu, państwowej firmy zbrojeniowej. Karniejewa współpracuje ściśle z wnuczką Sergieja Ławrowa, szefa MSZ – razem prowadzą w Moskwie firmę, która promuje rodzimą sztukę.

Równie klarowny jest związek reżimu ze sportem. Znaczna część rosyjskich sportowców zdobywa pierwsze szlify w klubach, które są związane ze strukturami władzy (CSKA w nazwie oznacza afiliację wojskową, Dynamo – policyjną). Dość powiedzieć, że zwycięzca srebrnego medalu w judo w najwyższej kategorii wagowej w zeszłorocznym Grand Slam w Abu Zabi, Tamierłan Baszajew, ma rangę starszego sierżanta w armii.

Czas, pieniądze, Trump

Ten wewnątrzrosyjski kontekst ginie jednak pośród intensywnego lobbingu Rosjan. Ich nieobecność w międzynarodowych gremiach boli przecież wielu. Nie jest tajemnicą, że obecności Rosji na wielkich wydarzeniach towarzyszą wielkie pieniądze. A przecież imprezy muszą na siebie zarabiać.

Na korzyść Putina gra więc i ludzka natura, i czas – uwaga świata jest coraz mniej zainteresowana wojną Rosji przeciw Ukrainie. Przykrywają ją inne konflikty – teraz atak Izraela i USA na Iran oraz globalny kryzys energetyczny. Towarzyszy temu często pytanie o skuteczność sankcji uderzających w Rosję. Wykluczenie jej z mundialu czy olimpiad nie zdołało bowiem wpłynąć na kalkulację Putina, który dalej niszczy ukraińskie miasta.

Moskwie sprzyja też administracja Donalda Trumpa, która – choćby słowami cytowanego Zampolliego – wprost daje „zielone" światło dla anulowania bojkotu. Nie można przy tym pozbyć się wrażenia, że prezydent USA jest coraz bardziej skłonny, by rozłączyć to, co Kreml nazywa „kwestią ukraińską", od normalizacji relacji USA–Rosja.

Należy więc spodziewać się coraz szerszej obecności Rosjan – niezależnie, czy będzie to się podobać Europie. Bez dyplomatycznego „współczucia" wobec Moskwy ze strony Waszyngtonu działacze sportowi i kulturalni zapewne nie byliby tak skorzy do przywracania Rosji do grona pełnoprawnych uczestników życia międzynarodowego.

Świat drży, Putin korzysta

Rosjanie są mistrzami kuszenia, a w przypadku ekipy Trumpa udało im się zidentyfikować te „przyciski", które trzeba tu nacisnąć. Nie bez znaczenia jest jednak fakt, że Amerykanie własnoręcznie zwiększają siłę rosyjskiej argumentacji.

Izolację Rosji osłabiają dziś wysokie ceny surowców – efekt ataku Izraela i USA na Iran. Waszyngton już w marcu częściowo zdjął sankcje na rosyjską ropę, co pozwala Putinowi zarabiać i finansować swoją wojnę. Im bardziej desperacko świat będzie szukać dostaw ropy i gazu, tym bardziej kuszące będą rosyjskie oferty.

Niezależnie od tego, czy rozejm na Bliskim Wschodzie okaże się trwały i jaki będzie finał tego konfliktu, Moskwa zaprezentowała się na jego tle jako stabilny dostawca, mogący zrekompensować rynkową niepewność wobec przede wszystkim krajów azjatyckich.

To wzmacnia siłę głosu tych, którzy chcą całościowego przywrócenia statusu Rosji. Pamięć o tym, jak Putin wielokrotnie szantażował Europę dostawami surowców, schodzi tutaj na dalszy plan.

Geopolityczna bezkarność

Szczególnie niepokojące jest to, że unieważnianie izolacji Rosji – czy to na obszarze sportowo-kulturalnym, czy ekonomicznym – dokonuje się bez jakiejkolwiek, najmniejszej nawet perspektywy zakończenia jej agresji przeciw Ukrainie. Tymczasem przyzwolenie na powrót Rosjan w chwili, gdy na Ukrainę codziennie spadają bomby, jedynie utwierdzi reżim Putina w przekonaniu, że kilka lat poniewierki ostatecznie się opłaciło. Że w Europie można prowadzić wojnę bez obaw o długoterminowe potępienie.

Następna olimpiada jest planowana za dwa lata w Los Angeles. Jest oczkiem w głowie Trumpa. Także tutaj udziału rosyjskich sportowców – biorąc pod uwagę obecną dynamikę – nie można wykluczyć. Tym bardziej że ich przyjazd może, w percepcji administracji prezydenta USA, podwyższyć rangę wydarzenia.

Wszystko to jedynie wzmacnia na Kremlu poczucie geopolitycznej bezkarności. To zaś będzie mieć długofalowe skutki na całym świecie.

© FILIP RUDNIK

Putin odcina sieć Rosjanom

OD POCZĄTKU pełnoskalowej inwazji Kreml zintensyfikował działania dla uzyskania pełnej kontroli nad rosyjskim internetem. Władze nie tylko cenzurują treści i ścigają nieprawomyślnych użytkowników (słynne procesy karne za lajki pod postami opozycyjnych polityków), ale blokują też dostęp do sieci w wybranych regionach i zakłócają pracę konkretnych aplikacji i serwisów.

W MARCU od mobilnego internetu odcięto punktowo mieszkańców Moskwy, którzy na blisko trzy tygodnie musieli przypomnieć sobie o życiu offline, przez korzystanie z papierowych map czy odtwarzaczy MP3.

KREML uzasadnia restrykcje względami bezpieczeństwa, choćby atakami ukraińskich dronów. W rzeczywistości władze chcą odizolować rodzimy segment internetu od globalnej sieci, uniemożliwiając tym samym informacyjną ingerencję z zewnątrz.

JEDNOCZEŚNIE nadzór nad przestrzenią cyfrową ma działać prewencyjnie, zapobiegając społecznej samoorganizacji bez zgody Kremla. W ten sposób władze eliminują jeden z ostańców relatywnej swobody w Rosji.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

debata POWSZECHNA

KRAKÓW wspólnota kultury

29 KWIETNIA
w Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki
(Pl. Szczepański 3a, Kraków)
odbędzie się debata
„Kraków – wspólnota kultury. Biznes, kultura i technologia"

Czy miasto może być jednocześnie centrum biznesu, laboratorium technologii i żywym organizmem kultury? Kraków od lat udowadnia, że tak. Kolejna odsłona Debaty Powszechnej to spotkanie ludzi, którym zależy na tym, aby tę tezę potwierdzić.

Zapraszamy do rozmowy o tym, jak sztuka, przedsiębiorczość i nowe technologie mogą się nawzajem wzmacniać – zamiast ze sobą konkurować. W obliczu automatyzacji, kryzysu zaufania do mediów i rewolucji wywołanej przez sztuczną inteligencję pytania o przyszłość sektora kreatywnego stają się pytaniami o przyszłość nas wszystkich.

Podczas debaty porozmawiamy o:

Nowym mecenacie – kto dziś powinien finansować kulturę? Czy tradycyjne dotacje publiczne wystarczą, czy przyszłość leży w crowdfundingu, inwestycjach społecznych i zaangażowaniu biznesu?

Mediach i ekonomii uwagi – jak algorytmy zmieniają jakość publicznej rozmowy i czy możemy odbudować zaufanie do mediów w czasach, gdy granica między informacją a dezinformacją jest coraz trudniejsza do uchwycenia?

Kulturze po algorytmie – sztuczna inteligencja tworzy obrazy, muzykę i teksty. Czy to zagrożenie dla twórców, czy otwarcie na zupełnie nowe możliwości?

Krakowie jako laboratorium przyszłości – co dzieje się tu i teraz: miejskie inicjatywy, które łączą technologię, biznes i lokalną kreatywność w jeden ekosystem.

DEBATA POWSZECHNA TO CYKL OTWARTYCH SPOTKAŃ,
W KTÓRYCH KAŻDY GŁOS SIĘ LICZY. PRZYCHODŹ Z PYTANIAMI.

Wydarzenie jest otwarte dla publiczności – wystarczy się zarejestrować
https://evenea.pl/pl/wydarzenie/debatapowszechna

ORGANIZATOR: TYGODNIK POWSZECHNY
PARTNER GŁÓWNY: Kraków

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK Trzeciego Wieku

KONFERENCJA DLA AKTYWNYCH SENIORÓW

8 MAJA 2026 | NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY
(KRAKÓW, AL. JANA PAWŁA II 232) | START: GODZ. 9.30

REJESTRACJA I SZCZEGÓŁY: EVENEA.PL

KONFERENCJA TYGODNIK TRZECIEGO WIEKU to wydarzenie tworzone z myślą o osobach dojrzałych – aktywnych, ciekawych świata, chcących rozwijać się na własnych warunkach.



Fake newsy, deepfake'i, oszustwa w sieci – czy wiesz, jak się przed nimi bronić?
Dołącz do konferencji Tygodnik Trzeciego Wieku i odkryj świat mediów od kuchni razem z dziennikarzami „Tygodnika Powszechnego"! Spotkanie poprowadzą doświadczeni redaktorzy i eksperci.
A na zakończenie – wyjątkowy koncert Jacka Wójcickiego, ikony krakowskiej Piwnicy pod Baranami.

ORGANIZATOR: TYGODNIK POWSZECHNY

Blisko 600 uczestników. Rzetelna wiedza. Żywa rozmowa. I coś więcej niż notatki.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

Autostrada do Transylwanii



JAN POCHEĆ Z RUMUNII

RUMUNIA | Z jednej strony park w Bukareszcie imienia Donalda Trumpa. Z drugiej – niemieckie wozy pancerne. Oraz rodzimy dług. O rumuńskiej dyskusji nad programem SAFE i chwiejącymi się sojuszami.

Jest drugim największym po Polsce beneficjentem unijnego programu SAFE. O ile dla Polski przeznaczono z tego programu prawie 44 mld euro, o tyle budżet Rumunii zasili ponad 16,5 mld euro. Otwiera to szansę na modernizację armii, ale wymaga jednocześnie od rządu Bukaresztu zręcznego manewrowania – pomiędzy Brukselą a Waszyngtonem.

Natomiast wśród rumuńskich firm zbrojeniowych ta gigantyczna inwestycja budzi zarazem nadzieję, jak też niepokój – przedsiębiorstwa walczą o to, aby nie zostać pominiętymi przy podziale unijnych środków.

OBRONNE PRIORYTETY | Przypomnijmy: SAFE, czyli *Security Action for Europe*, to program nisko oprocentowanych i długoterminowych pożyczek, zainicjowany przez Komisję Europejską, którego celem jest wzmocnienie zarówno potencjału obronnego krajów Unii, jak też europejskiego przemysłu zbrojeniowego.

W Rumunii środki zostały podzielone między trzy ministerstwa. Resort obrony otrzymał do dyspozycji 9,5 mld euro, za które postanowił zrealizować 21 projektów. Priorytetem jest obrona powietrzna, w tym antydronowa i antyrakietowa. Z kolei Ministerstwo Transportu i Infrastruktury wyda 4,2 mld euro na budowę dwóch autostrad – i to właśnie te inwestycje wzbudzają tutaj najwięcej emocji.

Będąc w Rumunii, trudno oprzeć się wrażeniu, że kraj potrzebuje jeszcze większych nakładów finansowych na drogi, szczególnie te szybkiego ruchu. Zarówno mniejszym miejscowościom, jak i wsiom brakuje przede wszystkim obwodnic i chodników, gdyż cały ruch osobowy i ciężarowy przebiega przez ich centra.

KWESTIA ODPORNOŚCI | Jednak dzięki środkom z tutejszego Krajowego Planu Odbudowy, a teraz SAFE, wiele się w tej materii zmienia lub ma się zmienić. I tak, zadaniem autostrady A7 ma być transport ciężkiego sprzętu oraz wojsk na północ, do przejścia granicznego z Ukrainą w Sirecie. Z kolei droga A8, inaczej „Autostrada Unii", ma połączyć położone przy mołdawskiej granicy Jassy z Transylwanią.

Rumunia już jest największym partnerem handlowym dla Mołdawii, a w obliczu planów dołączenia Kiszyniowa do Unii wymiana dóbr będzie tylko rosła. Lepsze połączenie drogowe ma wyeliminować „wąskie gardło".

Ostatnia transza, czyli 2,8 mld euro, trafi do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz innych służb. Zdecydowano się bowiem na przeznaczenie sporej ilości środków na obronę cywilną. Pociąg medyczny mogący pomieścić do trzystu pacjentów (również tych w stanie krytycznym) czy łodzie poszukiwawczo-ratownicze typu SAR – to tylko część z zakupów.

Od początku pełnoskalowej rosyjskiej inwazji przeciw Ukrainie wiele mówi się o roli, jaką w obronie państwa pełnią cywile. Rumunia, inwestując w ten rodzaj odporności, chce pokazać Europie, że odrobiła ukraińską lekcję.

GŁOSY SCEPTYKÓW | Nie jest jednak tak, że w rumuńskim społeczeństwie, jak też w samym rządzie nie ma znaków zapytania odnośnie do europejskiej pożyczki. Rumunia boryka się dziś z rosnącym długiem publicznym, który w 2019 r. wynosił jeszcze 35 proc. w stosunku do PKB, a w ciągu kolejnych pięciu lat wzrósł o 20 punktów procentowych. Spowodowało to wszczęcie procedury nadmiernego deficytu przez Radę Unii Europejskiej. Negatywnie na finanse państwa wpływa również jedna z największych w Unii „luka VAT-owska".

Wszystko to sprawia, że obok akceptacji widać niepokój: czy kraj stać na kolejny kredyt, który w większości miałby zasilić armię.

Mimo jego korzystnych warunków (maksymalne oprocentowanie to 3 proc., odległe terminy spłaty), zmusza on do zakupu sprzętu, który w 65 proc. ma europejskie pochodzenie. Okoliczność ta, mająca stanowić impuls dla przemysłu europejskiego i rumuńskiego, jest zarazem wodą na młyn eurosceptyków.

CO ZROBI TRUMP? | Tych zaś w Rumunii nie brakuje. Nacjonalistyczna partia AUR – czyli Sojusz na rzecz Jedności Rumunów – na której czele stoi George Simion, postrzega europejski program zbrojeń jako prowokowanie Rosji i narażanie się Stanom Zjednoczonym, które mogą nie

eprasa.pl 94d9ff4ce5



ROBERT GHEMENT / EPA / PAP

Amerykański wojskowy śmigłowiec Black Hawk w bazie lotniczej Mihail Kogălniceanu nad Morzem Czarnym. Rumunia, 25 listopada 2025 r.

dostrzegać interesu w obronie Rumunii, jeśli ta przestałaby kupować amerykańską broń.

Rumuni przeżyli już swoje pierwsze chwile grozy w październiku 2025 r., kiedy to USA zmniejszyły swój kontyngent w bazie lotniczej Mihail Kogălniceanu z 1,7 tys. do około tysiąca żołnierzy.

W związku z tym rumuński rząd próbuje lawirować między współpracą w sferze obronności z Amerykanami a Unią Europejską – na zasadzie „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek". Symbolem próby przypodobania się obecnej administracji w Białym Domu stał się park w Bukareszcie, który będzie nazwany parkiem Donalda Trumpa.

Gdy prezydent USA zdecydował się na atak na Iran, Rumunia zapewniła wsparcie logistyczne dla amerykańskiej operacji „Epicka Furia" – jednocześnie zaznaczając, że nie angażuje się w działania ofensywne oraz że jest otwarta na europejską współpracę.

RHEINMETALL PODNOSI CENĘ | Jednak gdy przyjdzie już do zakupów nowego uzbrojenia, europejską solidarność może czekać poważny test.

Za sposób rozdysponowania tych środków w Rumunii odpowiada międzyinstytucjonalna grupa robocza, w skład której wchodzą członkowie MON, MSW, MSZ oraz służb wywiadowczych. Na końcu tego procesu znajduje się Naczelna Rada Obrony Kraju, na której czele stoi prezydent.

W ramach tak rozbudowanej procedury zdecydowano się już na zakup m.in. 298 bojowych wozów piechoty KF-41 Lynx, produkcji niemieckiego koncernu Rheinmetall. Kontrakt miał opiewać na 3 mld euro, jednak na początku kwietnia producent zaproponował ceny o ponad 30 proc. wyższe, co przełożyło się na wzrost kosztów aż o miliard euro.

Szef resortu obrony Radu Miruță zadeklarował, że „nie ustąpi" i nie zgodzi się na podwyżkę. Rheinmetall wie, że Rumunia ma czas na podpisanie umowy do 31 maja (później procedura zakupów ze środków SAFE się komplikuje), w związku z czym producent może narzucać presję na Bukareszt, któremu kończy się czas na negocjacje.

PRZEMYSŁ SIĘ BURZY | Co istotne, przedmiotem kontraktu nie są wyłącznie same pojazdy, ale również pakiet inwestycji w kraju. Koncern miał wybudować centrum serwisowe wozów na terenie Rumunii oraz fabrykę amunicji, co zapewniłoby niezależność operacyjną.

Jednak dla wielu rumuńskich firm zbrojeniowych plany te są źródłem frustracji. Jak podkreśla na łamach agencji Mediafax Răzvan Pîrcălăbescu, prezes OPIA (to zrzeszenie producentów sprzętu wojskowego w Rumunii), rodzime firmy nie zostały nawet zaproszone do rządowych konsultacji dotyczących udziału w programie SAFE.

Pîrcălăbescu, jednocześnie dyrektor Romarmu (największego państwowego holdingu zbrojeniowego w kraju), nie kryje rozczarowania działaniami rządu. Zwraca uwagę, że jeśli unijne środki trafią wyłącznie do zagranicznych koncernów, które po kilku lub kilkunastu latach mogą po prostu opuścić tutejszy rynek, to nie wygenerują one żadnej wartości dodanej dla gospodarki.

W efekcie Rumunia zostanie ze zobowiązaniem finansowym, które będzie musiała spłacać przez kolejne 30-40 lat, nie mając z tego tytułu zysku dla rodzimego przemysłu i dla rozwoju ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ technologicznego. Właśnie taki scenariusz budzi dziś największe obawy w społeczeństwie.

DRUGIE DNO | Jak jednak zauważa Răzvan Corneci, rumuński dziennikarz (na YouTubie publikujący pod pseudonimem „Sartowski"), problem ten ma głębsze korzenie.

W rozmowie Corneci wskazuje na brak spójnej strategii władz i na pogłębiające się rozdarcie między USA a Europą. – Unia Europejska od dawna potrzebowała planu w obliczu coraz bardziej nieprzewidywalnych i agresywnych Stanów. Można traktować to więc jako pierwszy krok w drodze do uniezależnienia się od USA – przekonuje Corneci.

Dziennikarz uważa, że w Rumunii istnieje wprawdzie szerokie społeczne poparcie dla rozwoju własnego przemysłu, w tym wojskowego, oraz zwiększania roli Rumunii na rynku europejskim. – Z drugiej jednak strony widzimy brak jedności wśród naszych elit, z których większość nadal upatruje strategię obrony kraju w utrzymywaniu bliskich relacji z administracją Trumpa i demonstrowaniu wobec niej swojej lojalności – krytykuje Corneci.

I zaznacza: – Jeśli dodać do tego brak przejrzystości wydatków, brak uczciwej konkurencji przy zawieraniu kontraktów i krótkowzroczność związaną z cyklami wyborczymi, otrzymujemy przepis na katastrofę.

TROCHĘ OPTYMIZMU | Corneci obawia się, że jeśli Rumuni nie zainwestują we własny przemysł zbrojeniowy, to SAFE może okazać się niewykorzystaną szansą. Zamiast wzmocnić trwale zdolności obronne kraju, program pozostawi po sobie jedynie dług obciążający przyszłe pokolenia.

Răzvan Corneci zapewnia jednak, że stara się zachować optymizm: – Wierzę, że przynajmniej bliskie partnerstwo z naszymi ukraińskimi sojusznikami może zaowocować lepiej wyszkoloną armią, dostosowaną do współczesnego pola walki. Oraz że ukraiński opór nie załamie się i wciąż będzie odsuwać zagrożenie militarne ze strony Rosji. © JAN POCHEĆ



Miejsce pamięci poświęcone żołnierzom poległym w wojnie rosyjsko-ukraińskiej na placu przed wejściem do greckokatolickiej Katedry Podwyższenia Krzyża Świętego. Użhorod, 5 kwietnia 2026 r.

Zakarpacki azyl

TEKST I ZDJĘCIA JULIUSZ PIELICHOWSKI Z UŻHORODU

UKRAINA | Przed rosyjską inwazją Użhorod liczył nieco ponad 100 tys. mieszkańców. Dziś jest ich dwa razy więcej. Położone na Zakarpaciu miasto stało się schronieniem dla ludzi uciekających przed wojną.

O świcie rozlega się bicie dzwonów. Pół godziny później, przed siódmą, przejeżdżam przez kilka wsi dzielących mnie od słowacko-ukraińskiej granicy. Nieliczni o tej porze ludzie zbierają się niespiesznie do świętowania Wielkanocy. Miejscami okolica wydaje się niemal wyludniona. Po polu przechadza się stado – zapewne migrujących – żurawi. Niebo bezchmurne. Słońce oślepia. Jest cicho i spokojnie.

Sytuacja zmienia się parę kilometrów przed niewielką miejscowością Vyšné Nemecké. Mijam pięć czy sześć policyjnych radiowozów na poboczu. Także ruch się zagęszcza. Gdy docieram do przejścia granicznego, dołączam do kilkuset osób, które w Niedzielę Wielkanocną chcą przedostać się na drugą stronę jednej z najpilniej strzeżonych granic Unii Europejskiej.

Samochód zostaje po słowackiej stronie. Ruszam w stronę pieszej odprawy. Dwadzieścia kilka busów i co najmniej drugie tyle aut osobowych na ukraińskich tablicach oczekują na kontrolę. Jeden z kierowców mówi, że mam szczęście. Pieszych odprawiają od ręki. Przed autami co najmniej pół dnia stania.

Nowe porządki

Jeszcze cztery lata temu, tuż za przejściem granicznym, oczom przyjezdnych ukazywał się górujący nad okolicą od lat 70. XX w. pomnik sowieckich „wyzwolicieli Ukrainy". Dziś prawie nie ma po nim śladu. Usunięty został w listopadzie 2022 r. Są plany, by w jego miejscu stanął monument poświęcony ukraińskiej 128. Zakarpackiej Brygadzie Górskiej. Jak dotąd jednak wzrok napotyka pustkę i ślady

eprasa.pl 94d9ff4ce5

niechcianej, odrzuconej wersji przeszłości.

Użhorod, miasto historyczne, położone jest kilka kilometrów dalej w malowniczej rozległej dolinie. Na rogatkach, raptem dwieście, może trzysta metrów od granicy, powstało niedawno duże i ogrodzone płotem osiedle „Sherwood". Do potencjalnych mieszkańców zaleca się obietnicami elitarności i luksusu. Na parkingu wzdłuż ulicy niemal same drogie auta. W mieście będzie ich jeszcze więcej. Przeważają tablice charkowskie i kijowskie.

To jeden ze znaków rozpoznawczych dzisiejszego Użhorodu. Jak kilka godzin później powie mi Nastia, studentka miejscowego uniwersytetu, „rdzennych" mieszkańców taki stan rzeczy, łagodnie rzecz ujmując, irytuje. Większość nie mogłaby pozwolić sobie na tak drogie auta. Z kolei ceny nieruchomości wzrosły do poziomu, który jest poza zasięgiem młodych.

Wraz z napływem rzeszy uchodźców z innych regionów, życie tego prowincjonalnego miasta zmieniło się nie do poznania.

Użhorodzkie sakury

O dziewiątej otwierają się sklepy. Do centrum największego ośrodka na ukraińskim Zakarpaciu prowadzi szeroka aleja. Po gwarze i zamieszaniu, jakie dały się odczuć na granicy, w mieście jest spokojnie, choć wyczuwalne jest też pewne napięcie.

Do mijanych mężczyzn raz po raz podjeżdżają patrole policji. Sprawdzają dokumenty. Nikogo to nie dziwi. W mieście nie brakuje uchylających się od służby wojskowej. Jak się dowiaduję, od pewnego czasu jest to w Użhorodzie – jak w całej Ukrainie – element życia codziennego. Nie wszystkim jednak się to podoba. Niekiedy przypomina to polowanie, mówi mi Anton, który wyprowadza psa na poranny spacer.

Pojawiają się pierwsze wiśniowe drzewka ozdobnej odmiany sakura. Na kwiecień i pierwszą połowę maja przypada czas ich kwitnienia. Co roku przyciągają – właściwie przyciągały – tysiące turystów nie tylko z Ukrainy, ale też z zagranicy, w tym z Japonii, skąd pochodzą te efektowne rośliny.

Właśnie z nich najbardziej słynie w świecie Użhorod, tonący każdej wiosny w różu kwitnących kwiatów. Odtąd będą mi tu towarzyszyć na każdym kroku.

Nad miastem górują wieże kilku świątyń. Użhorod zamieszkany jest zarówno przez katolików (obrządku rzymsko- i greckokatolickiego), jak też wiernych Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego. W zeszłym roku wszyscy świętowali Wielkanoc razem. W tym roku dla części mieszkańców dzisiejsza niedziela, 5 kwietnia, jest Świętem Wjazdu Pańskiego do Jerozolimy. Im bliżej rzeki i starego miasta, tym więcej na ulicach ludzi ubranych odświętnie.

Miasto-schronienie

Wśród tych, którzy Wielkanoc będą obchodzić w niedzielę 12 kwietnia, jest Wiktoria, rodowita Użhorodzianka. Nie tylko mówi doskonale po angielsku, ale zna też polski. Nie jest to znajomość wyniesiona z domu, lecz efekt kilkuletniej nauki polskiego jako drugiego języka obcego w miejscowej szkole.

Gdy pytam o powody, dla których zdecydowała się na naukę polskiego, mówi, że jej krewna jakiś czas temu zamieszkała na stałe w Polsce. Dla wielu młodych tutaj język polski jest realną, świadomie wybieraną alternatywą dla niemieckiego czy włoskiego.

Wiktoria potwierdza, że życie w Użhorodzie w ostatnich latach zmieniło się diametralnie. Jak mówi, ciche, nieco zapomniane miasto nie do końca było przygotowane na napływ rzeszy uchodźców z terenów objętych działaniami wojennymi. Ale, dodaje, przecież nikt nie mógł się spodziewać, że wojna będzie trwać tak długo.

Wiktoria przyznaje, że wielu jest już po prostu zmęczonych niekończącym się stanem nadzwyczajnym. Mówi, że nauczyła się niczego nie planować. W głosie 20-latki przez moment słychać smutek.

Wojna odległa, wojna bliska

Szybko wracamy do rozmowy o praktycznym wymiarze życia w mieście, którego mieszkańcy zdają sobie także sprawę z moralnego obowiązku, jaki na nich ciąży względem tych, którzy w wojnie stracili wszystko.

– To, czego doświadczamy, to tylko mało istotne uciążliwości. Nikt z nas tutaj nie wie, co to znaczy, jak na twój dom spadają bomby – mówi Wiktoria.

Użhorod jest także miejscem rekonwalescencji dla wielu żołnierzy, którzy powracają z frontu. W miejscowym szpitalu prowadzona jest klinika neurologiczna. Na jej parkingu można zobaczyć mężczyzn w mundurach z zabandażowanymi głowami, palących papierosy i grzejących się w wyjątkowo mocnym jak na początek kwietnia słońcu.

W mieście co rusz trafiam na miejsca pamięci, poświęcone poległym żołnierzom pochodzącym z Zakarpacia. – Wojna może się tutaj wydawać czymś nierealnym. A jednak nie sposób o niej zapomnieć. Chyba już nigdy – dodaje Wiktoria.

Ukraińcy i Węgrzy: relacje nieproste

Użhorod zamieszkuje spora mniejszość węgierska. Akurat w dniu mojej wizyty dochodzi do kolejnej eskalacji napięcia na linii Budapeszt–Kijów.

Tym razem związane jest to z oskarżeniami o rzekomą próbę sabotażu infrastruktury gazowej na granicy serbsko-węgierskiej. Serbski wywiad wojskowy informuje 5 kwietnia o ujawnieniu na północy kraju materiałów wybuchowych, mających ponoć posłużyć do wysadzenia gazociągu, którym rosyjski gaz płynie do Węgier.

Viktor Orbán, prowadzący kampanię przed najtrudniejszymi dla niego wyborami parlamentarnymi, wprost oskarża Ukrainę o próbę „odcięcia Europy od rosyjskich dostaw surowców energetycznych". Tak mocny sygnał z Budapesztu odebrany zostaje jako próba wzmocnienia nastrojów nacjonalistycznych wśród Węgrów zamieszkujących zachodnie rubieże Ukrainy. W większości od lat konsekwentnie popierają oni w wyborach Fidesz.

Jednak na ulicach Użhorodu nie sposób doszukać się śladów konfliktu, jaki z premedytacją sufluje węgierski obóz władzy. Z katolickiego Kościoła św. Jerzego na starym mieście, do którego tradycyjnie uczęszczają użhorodzcy Węgrzy, wylewa się świętujący tłum i zgodnie miesza się z wiernymi, którzy zmierzają do położonej na wzgórzu, kilkaset metrów dalej, greckokatolickiej Katedry Podwyższenia Krzyża Świętego.

Już z oddali słychać zachwycający śpiew chóru z katedry. Spływa miękko na wąskie uliczki w dole.

Wiktoria potwierdza, że na co dzień podziały narodowościowe, zwłaszcza wśród młodych, nie są źródłem nieporozumień. Wielu jej przyjaciół to Węgrzy. ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ – To głównie domena polityków – mówi. – Starają się nas podzielić, jak wszędzie.

Czy wojna coś tu zmieniła, na gorsze lub na lepsze? Wiktoria kręci głową: – Mieszkańcy miasta żyją ze sobą w zgodzie.

W cieniu historii

Gdy przyglądam się potem ludziom spacerującym w niedzielne popołudnie nad rzeką, nietrudno w to uwierzyć. W tłumie słychać różne języki. Tuż nad Użem uwagę przyciąga Jesion Masaryka – pamięć po 20-letnim epizodzie w historii miasta, gdy w latach 1919-38 znajdowało się w granicach Pierwszej Republiki Czechosłowackiej.

Wcześniej przez setki lat należało do Królestwa Węgier, a przed I wojną światową do Węgier w składzie podwójnej monarchii Austro-Węgier.

Dziś monumentalne drzewo, posadzone ku pamięci pierwszego prezydenta tamtej Czechosłowacji, stanowi część słynnej, ponoć najdłuższej w Europie Alei Lipowej – zasadzonej w 1928 r., ciągnącej się wzdłuż brzegu rzeki na odcinku przeszło dwóch kilometrów.

Ale na początku kwietnia to drzewka wiśniowe są w centrum uwagi spacerowiczów. Pod każdym odbywają się niekończące się sesje fotograficzne. W mieście panuje świąteczna, niemal beztroska atmosfera.

Jedynie gdzieniegdzie wzrok zatrzymuje się na namalowanych sprejem, od szablonu, czarnych podobiznach karabinu maszynowego. Gdyby nie one i wszechobecne ukraińskie barwy narodowe, rzeczywiście można by zapomnieć, że u wschodnich granic tego samego kraju od 2014 r. toczy się krwawa wojna, od lat czterech już na pełną skalę.

Z Legnicy do Użhorodu

Przekraczam rzekę i udaję się w stronę Placu Petőfiego, kolejnego węgierskiego tropu na mapie wielonarodowej przeszłości regionu. Dziś to popularne miejsce spotkań młodzieży.

Na środku placu znajduje się jeszcze jedno miejsce pamięci o poległych. Z rozpiętych na stelażach banerów spoglądają na przechodniów twarze – młode, w średnim wieku. Tuż obok kwitnie sakura. Chyba jedyna, pod którą nikt dziś nie robi sobie zdjęć.



Prawosławna Cerkiew Chrystusa Zbawiciela w Użhorodzie, 5 kwietnia 2026 r.

Na ulicach Użhorodu nie sposób doszukać się śladów konfliktu, jaki z premedytacją sufluje węgierski obóz władzy.

Zaglądam do pobliskiej kawiarni. Po kilku słowach oczy Serhija, mojego rozmówcy, prowadzącego ten niewielki lokal przy placu, rozświetlają się: – Urodziłem się w Legnicy – mówi. Nieco zbity z tropu, z małostkową podejrzliwością dopytuję o szczegóły. – W 1981 r., w czasie Solidarności – dodaje z triumfalnym uśmiechem.

Serhij opowiada historię swoich rodziców, zawodowych żołnierzy, stacjonujących w bazie wojsk sowieckich w Legnicy. Tam przyszedł na świat. Z czasów Solidarności, rzecz jasna, nic nie pamięta. Ale zna je z opowieści matki. Jako syn wojskowych dorastał zarówno w Polsce, jak i w Kraju Zabajkalskim. Jak trafił do Użhorodu? – Sam go wybrałem. Dobrze się tu żyje.

Tam walczę, tu odpoczywam

W drodze powrotnej myślę o tym, co powiedział Serhij. Z jego perspektywy napływ uchodźców do miasta z pewnością jest korzystny. Ale kto wie, czy pod jego słowami, koniec końców, nie podpisałoby się także wielu innych – dawnych i nowych – mieszkańców Użhorodu.

Być może jest on dziś jednym z naprawdę niewielu miejsc w Ukrainie, o których można powiedzieć, że dobrze się w nich żyje – mimo piekła wojny, która raz za razem ukazuje swoje bezwzględne oblicze. O której, jak mówiła Wiktoria, nie sposób zapomnieć też tutaj, w zakarpackim azylu. Chyba już nigdy.

W pobliżu mostu łapię kontakt wzrokowy z żołnierzem w mundurze, czekającym przed sklepem. Jesteśmy w podobnym wieku. Mówię, że przyjechałem z Polski. Pyta, czy jestem na urlopie. Nieco zaskoczony, wykonuję kilka nieokreślonych gestów. Kiwa głową, jak gdyby lepiej ode mnie rozumiał, co mam na myśli. – Tam walczę z szahedami – mówi. – Tutaj odpoczywam.

Brzemię pamięci

Idę w stronę granicy okrężną drogą, prowadzącą przez wzgórze cmentarne górujące od północy nad starym miastem. Z daleka rzuca się w oczy morze ukraińskich flag.

Wiele mogił jest nowych. Czytam zapisane cyrylicą nazwiska: ukraińskie, węgierskie. Po raz kolejny tego dnia patrzę na zdjęcia ludzi, których już nie ma. Wyobrażam ich sobie w cywilnych ubraniach. Niektórzy z nich zrobiliby dziś na tle rozkwitających wiśni zdjęcie – być może sobie, a najpewniej tym, których kochali.

Powyżej cmentarza poległych w wojnie, która właśnie się toczy, znajduje się kolejny – żołnierzy Armii Czerwonej. Myślę o przygranicznym, usuniętym pomniku pamięci „wyzwolicieli Ukrainy". Niektóre napisy i tu zostały skute. W cmentarnej ciszy odzywają się tylko ptaki.

Do granicy mam jakieś trzy kilometry. Gdy ją przekroczę, z Ukrainy do Unii Europejskiej, formalnie czas cofnie się dla mnie o godzinę. To dużo, myślę.

Tymczasem światło dnia powoli słabnie. Za godzinę różowe kwiaty wiśni na jakiś czas znowu spowije nadciągający od wschodu mrok.

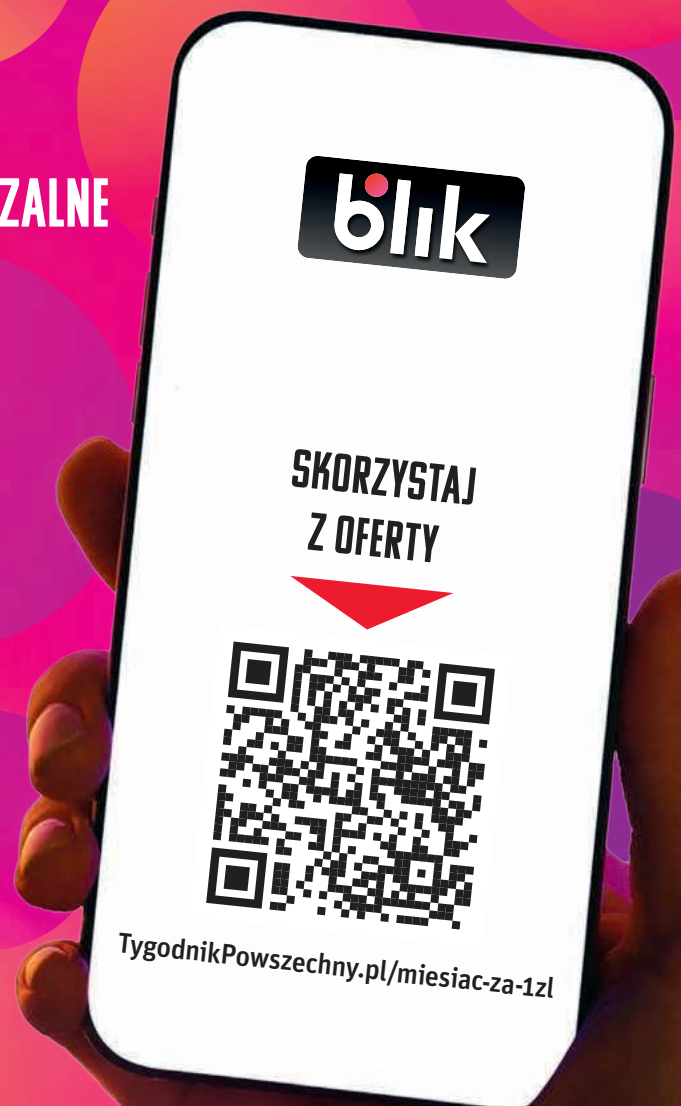
© JULIUSZ PIELICHOWSKI

eprasa.pl 94d9ff4ce5

TYGODNIK POWSZECHNY

ZGARNIJ MIESIĄC PRENUMERATY CYFROWEJ ZA 1 ZŁ

WYBIERZ NOWOŚĆ!
PŁATNOŚĆI POWTARZALNE
BLIK



Oferta dla nowych subskrybentów „Tygodnika Powszechnego”.
Sprawdź dostępność i warunki świadczenia usługi w ofercie swojego banku lub regulaminie usług bankowych.
Sprawdź regulamin promocji.

PKO Bank Polski, Santander Bank Polska, ING Bank Śląski, Bank Millennium, Spółdzielcza Grupa Bankowa, Nest Bank, Alior Bank, Credit Agricole

Płatności powtarzalne BLIK zapewnia platforma zevio

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 94d9ff4ce5

WIARA

MESJASZ TRUMP

Leon XIV krytykuje bałwochwalstwo prezydenta USA, ten nazywa go słabym papieżem. Co leży u źródeł konfliktu? W jaki sposób religia wpływa na politykę amerykańską – i odwrotnie?

PIOTR POPIOŁEK



KENNY HOLSTON / THE NEW YORK TIMES / POOL / AFP / EAST NEWS

„Zostałeś zdradzony, aresztowany i fałszywie oskarżony. To scenariusz znajomy, który ukazał nam nasz Pan i Zbawca" – mówiła do Donalda Trumpa pastorka Paula White-Cain podczas wielkanocnego spotkania w Białym Domu, porównując prezydenta USA do Jezusa. Dodała: „Ze względu na jego zwycięstwo i Ty będziesz zwyciężał we wszystkim, do czego przyłożysz ręce".

Obecny był przy tym m.in. bp Robert Barron, członek powołanej przez Trumpa rok temu Komisji Wolności Religijnej, a zarazem jeden z najbardziej znanych katolickich hierarchów, wspierający aktualną administrację i nieukrywający swoich konserwatywnych poglądów. Za udział w wielkanocnym spotkaniu i brak reakcji na przemówienie White-Cain (a wręcz oklaskiwanie go) spadły nań głosy krytyki. W podobnej sytuacji znalazł się inny katolicki i konserwatywny influencer Matt Walsh, samozwańczy wojownik w „wojnie kulturowej".

Wojna dwóch Rzymów

Z europejskiej perspektywy takie zachowanie pastorki White-Cain może szokować. Coraz bardziej uderzająca staje się też rozbieżność między narracją Białego Domu, odwołującą się do języka religii w uzasadnianiu kampanii wojennych czy antymigracyjnych, a nauczaniem pierwszego papieża z Ameryki Północnej.

Podczas corocznego, styczniowego spotkania z korpusem dyplomatycznym Leon XIV wygłosił przemówienie oparte na myśli św. Augustyna, wyrażonej w „Państwie Bożym", która wykazuje różnice pomiędzy Królestwem Bożym a państwem ziemskim.

Papież zwracał uwagę na zagrożenia płynące z idealizacji tego drugiego, co prowadzi do nacjonalizmu i gloryfikowania przywódców politycznych. Wskazywał na wiele paralel między upadkiem Cesarstwa Rzymskiego a dzisiejszymi czasami. Zwrócił uwagę na odejście od języka dyplomacji na rzecz języka siły i przemocy: „Wojna znów jest w modzie, a zapał wojenny staje się coraz powszechniejszy". Przypominał, w jakim celu powołano ONZ i uchwalono prawa międzynarodowe i prawa człowieka.

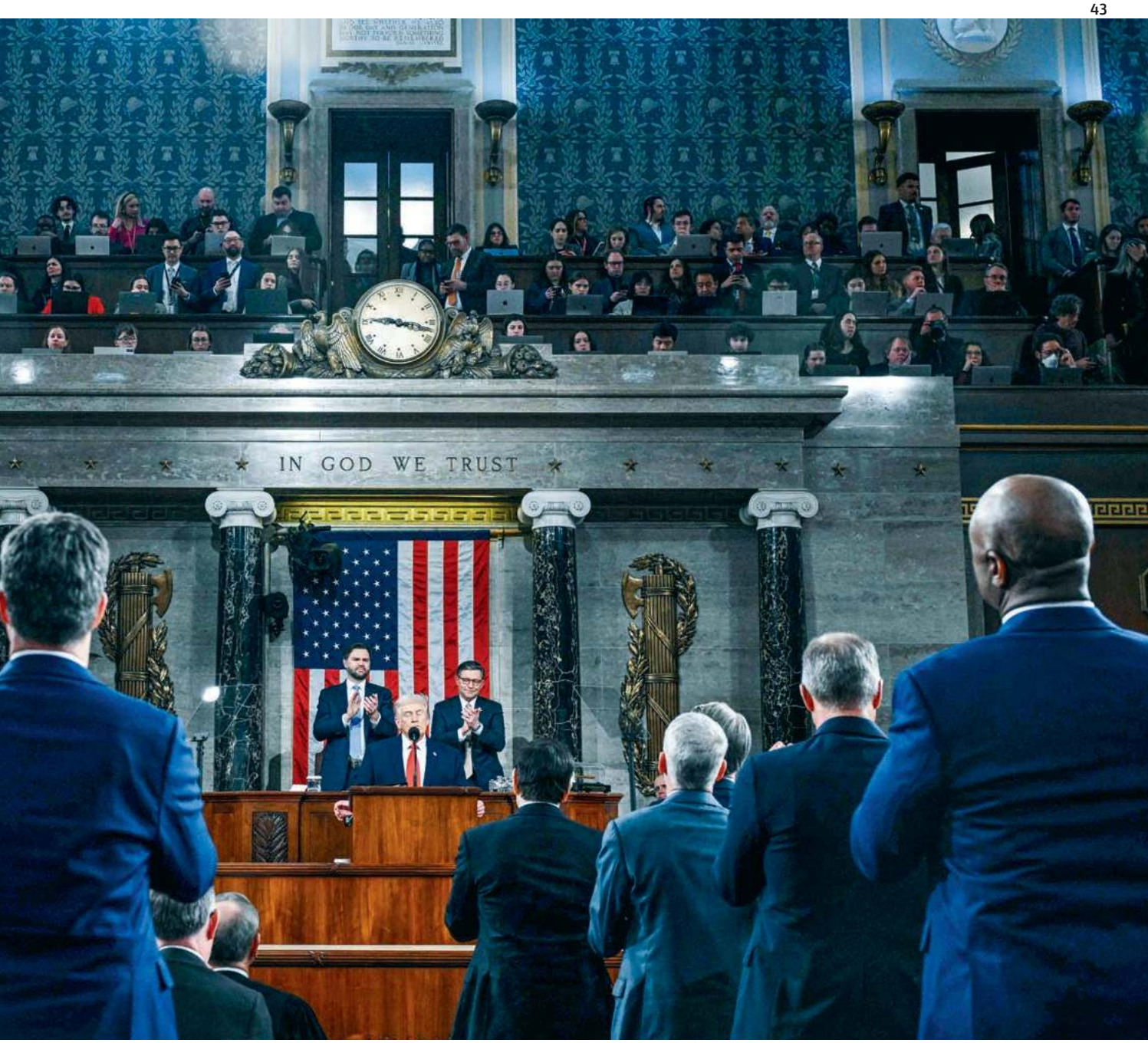
Nie spodobało się to przedstawicielom USA. Jak doniosły w ubiegłym tygodniu media, ambasador Stolicy Apostolskiej w USA, kard. Christophe Pierre, został 22 stycznia wezwany na spotkanie w Pentagonie, gdzie zakomunikowano mu, że „Stany Zjednoczone mają siłę militarną pozwalającą im robić to, co chcą na świecie. A Kościół katolicki niech lepiej wybierze ich stronę" (doniesienia, że jeden z urzędników Pentagonu miał podczas spotkania użyć przykładu niewoli awiniońskiej jako subtelnej groźby skierowanej do papieża, zostały przez Watykan zdementowane).

Nieświęte przymierze

Kłopot z Leonem mogą mieć przede wszystkim katolicy obecni w administracji Trumpa. Wiceprezydent J.D. Vance i sekretarz stanu Marco Rubio lubią podkreślać swoją przynależność do Kościoła. Ten pierwszy, neofita, zapowiada właśnie książkę o swoim nawróceniu („Communion: Finding My Way Back to Faith", czyli: Komunia: znajdując moją drogę powrotną do wiary). Jak godzą wierność nauczaniu papieża z lojalnością wobec wojowniczego szefa?

Napięć pomiędzy administracją Trumpa a Kościołem katolickim jest oczywiście więcej. W Wielki Piątek po raz pierwszy nie zorganizowano dla kato-

eprasa.pl 94d9ff4ce5



Donald Trump wygłasza orędzie o stanie państwa na Kapitolu pod inskrypcją „W Bogu pokładamy ufność", Waszyngton, 24 lutego 2026 r.

likόw nabożeństwa w Pentagonie – miały je tylko wspólnoty protestanckie (administracja tłumaczyła, że katolicy i tak w tym dniu nie mają mszy św.).

Podczas „różańca w intencji pokoju", zorganizowanego w ostatnią sobotę (11 kwietnia) w Bazylice św. Piotra papież napominał, że kto naprawdę chce pokoju, „nie zabija i nie grozi śmiercią" ani nie „wciąga w mowę śmierci świętego Imienia Boga". A gdy dodał, że „śmierci służy ten, kto odwrócił się plecami do Boga żywego, aby z siebie samego i ze swej władzy uczynić bożka niemego, ślepego i głuchego, któremu składa się w ofierze wszelką wartość i domaga się, by cały świat ugiął przed nim kolano" – mało kto miał wątpliwości, jakich władców tego świata ma na myśli.

Słowa: „Dość bałwochwalstwa samego siebie i pieniądza! Dość epatowania siłą! Dość wojny!" spotkały się niemal z natychmiastową reakcją Donalda Trumpa, który już następnego dnia skrytykował Leona XIV za kiepską politykę zagraniczną i słabość wobec przestępczych reżimów w Iranie i Wenezueli. I pewnie na tym się nie skończy.

Powrót do sacrum

Ale przecież język religijny nie od dziś jest obecny w amerykańskiej polityce. Po zamachach na World Trade Center Jürgen Habermas zwrócił uwagę, że wbrew przekonaniom o triumfie świeckości ortodoksyjna religijność nie zniknęła i nie można jej sprowadzać jedynie do wymiaru prywatnego. W sławnym wykładzie frankfurckim, wygłoszonym ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5



MARIO TAMA / GETTY IMAGES

Pete Hegseth, sekretarz obrony („minister wojny"), Kalifornia, 18 października 2025 r.

Gdy Pete Hegseth mówi w kontekście wojny z Iranem: „Pan moje ręce zaprawia do walki", **ignoruje całą chrześcijańską tradycję,** która ten fragment psalmu rozumie w kontekście walki z grzechem.

↦ niedługo po 11 września, stwierdził, że żyjemy w społeczeństwie „postsekularnym", a nie świeckim.

Zwykle uważa się, że właśnie wtedy – po 11 września 2001 r. – religia z impetem wróciła do dyskursu publicznego. Że muzułmański fundamentalizm zakończył okres świeckości i sekularnej wyobraźni na Zachodzie, który wtedy zrozumiał rolę religii w kreowaniu rzeczywistości. To nieprawda. Religijne imaginarium było wciąż obecne, nie tylko po stronie fundamentalistycznych muzułmanów, „wstecznych" i „nieucywilizowanych". Także po stronie chrześcijańskiej, choć może dla wielu było to niezauważalne, bo zespoliło się z zachodnim, świeckim stylem życia. Znajdziemy je przecież także w narracji poprzednich prezydentów USA.

Święta wojna

W XX w. odwołania do religii natężyły się wskutek konfliktu ze Związkiem Radzieckim, zwłaszcza w okresie zimnej wojny. Wtedy właśnie nastąpiło tzw. czwarte Wielkie Przebudzenie – masowy powrót Amerykanów do chrześcijaństwa. Wielką rolę odegrał w tym Billy Graham – kaznodzieja mówiący nie tylko o konieczności osobistego nawrócenia i ponownych narodzin w Duchu Świętym, ale potępiający komunizm jako „religię szatana" i chwalący konserwatywny amerykański sposób życia – w tym indywidualizm i kapitalizm – jako spójny z chrześcijaństwem.

Do języka apokaliptycznego odwoływał się Ronald Reagan, nazywając „komunistyczną i ateistyczną" Rosję „Gogiem" (w nawiązaniu do Księgi Ezechiela i Apokalipsy). Podobną narrację przyjął George W. Bush, ewangelikalny protestant, gdy w 2003 r. mówił do Jacques'a Chiraca o wojnie z Irakiem jako spełniającym się biblijnym proroctwie, określając sytuację na Bliskim Wschodzie „działaniami Goga i Magoga". Zdezorientowany prezydent Francji miał zadzwonić do Federacji Protestanckiej z prośbą o wyjaśnienie zagadki (ci z kolei zadzwonili do prof. Thomasa Römera, specjalisty od Starego Testamentu z Uniwersytetu w Lozannie, od którego znamy całą tę historię).

Co pokazuje, że język religijny w polityce to coś więcej niż retoryka i instrumentalizacja Biblii. To także symbolika i wyobrażenia oddziałujące na rzeczywistość.

Bóg tak chce

Narracja obecnej administracji USA jest kontynuacją tego kierunku. Śledząc materiały udostępniane przez Biały Dom i Departament Wojny (jeszcze do niedawna nazywany Departamentem Obrony), możemy zobaczyć, jak mocno są okraszone symboliką religijną i cytatami biblijnymi.

Przoduje w tym Pete Hegseth, sekretarz obrony („minister wojny"), który jest członkiem ultrakonserwatywnej i patriarchalnej Wspólnoty Reformowanych Kościołów Ewangelikalnych (CREC). W swoich przemówieniach odwołuje się nieustannie do Boga i Biblii, a dla pracowników departamentu organizuje comiesięczne nabożeństwa.

Może wydawać się dziwne, że jako ewangelikalny protestant jest jednocześnie miłośnikiem średniowiecznych krucjat i wytatuował sobie krzyż jerozolimski wraz z zawołaniem krzyżowców „Deus vult" („Bóg tak chce"). Jest też autorem książki „American Crusade" (2020), w której wzywa do walki z wrogami Ameryki – lewicą i islamem.

W niedawnym wywiadzie telewizyjnym na temat wojny z Iranem Hegseth mówił: „walczymy z religijnymi fanatykami, którzy chcą mieć dostęp do broni nuklearnej, by zacząć religijny Armagedon". A podczas marcowego nabożeństwa w Pentagonie modlił się: „Niech każda kula znajdzie swój cel we wrogach prawości i naszego wielkiego narodu", prosząc dla amerykańskich żołnierzy o „mądrość w podejmowaniu każdej decyzji, wytrwałość w nadchodzącej próbie, niezłomną jedność oraz przytłaczającą brutalność w działaniu przeciwko tym, którzy nie zasługują na litość". I wzywał Boga, by „połamał zęby bezbożnym" i „rozproszył ich jak plewy na wietrze".

Teologia sukcesu

Skąd ten język i te postawy? Zrozumienie amerykańskiej religijności, która kształtowała się w specyficznych historycznych okolicznościach, może być trudne dla europejskich chrześcijan – tak katolików, jak i protestantów.

Zacznijmy od tego, że jej publiczny odbiór kształtowany jest przez ewangelikalizm – nurt w protestantyzmie, obejmujący liczne wspólnoty i nieodnoszący się do jednej tradycji. Jego zwolennicy kładą

eprasa.pl 94d9ff4ce5

nacisk na osobistą relację z Jezusem, lekturę Pisma Świętego, nowe narodzenie w Duchu Świętym i indywidualne zbawienie. Jak zauważa historyczka Katherine Kelaidis, biblijny literalizm i emocjonalna pobożność sprawiają, że ewangelikalizm jest bardziej popularny wśród ludzi uboższych i mniej wykształconych – w kontraście do głównych tradycji protestanckich, które mają bardziej rozbudowaną myśl teologiczną.

Według najnowszych statystyk wspólnoty niezależne w amerykańskim protestantyzmie (tzw. *non-denominationals*) wzrosły z 3 proc. w latach 70. do 30 proc. w 2025 r. Stało się to kosztem tradycji protestanckich tzw. głównego nurtu – luteranów, baptystów, a zwłaszcza metodystów, którzy wcześniej stanowili 22 proc. wszystkich protestantów w USA (dziś jest ich zaledwie 8 proc.).

Dla amerykańskiego ewangelikalnego protestantyzmu charakterystyczne jest odwoływanie się do tzw. teologii sukcesu, czyli wiary w to, że Bóg wynagradza nas już w świecie doczesnym. Dlatego pastorzy-milionerzy nie muszą się obawiać krytyki ze strony wiernych – pieniądze i władza (w tym polityczna) są widzialnymi owocami Bożego błogosławieństwa.

Prof. Kevin Kruse z Uniwersytu w Princeton, badacz historii politycznej USA, zauważa, że w amerykańskim społeczeństwie doszło wręcz do utożsamienia chrześcijaństwa z konserwatywnym stylem życia, przywiązaniem do indywidualizmu i kapitalizmu oraz niechęcią do idei solidarności i polityki prospołecznej. Z tego też powodu Amerykanie nie mają problemów z religijnym usprawiedliwianiem swego ekspansjonizmu.

Chrześcijański syjonizm

Przy okazji wojny z Iranem w USA dochodzi też do głosu ruch chrześcijańskiego syjonizmu. Z ust pastorów co chwilę można słyszeć, że Bóg będzie błogosławił tym, którzy błogosławią Izrael, a złorzeczył tym, którzy mu złorzeczą (por. Rdz 12, 3 – błogosławieństwo Abrahama). Syjonistyczne chrześcijaństwo nie tylko podkreśla nieodwołalność Bożego wybrania Żydów (z czym zgadza się również teologia katolicka), ale kładzie też nacisk na konieczność odbudowy państwa Izrael. Na początku marca kaznodzieja John Hagee, założyciel Christians United for Israel, mówił w jednym z kazań, że „wszechmogący Bóg przybywa na pole bitwy, a wrogowie Syjonu i wrogowie Stanów Zjednoczonych mogą być zniszczeni na jego oczach".

Warto dodać, że w świetle ewangelikalnej teologii taka pozycja Izraela wcale nie jest oczywista. W XIX w. zrodził się w jej łonie nurt zwany dyspensacjonalizmem (wiara w to, że dzieje zbawienia dzielą się na wyraźne epoki), który zakładał zniszczenie Izraela i konieczność jego odbudowy (by spełniło się biblijne proroctwo). Dyspensacjonaliści wierzyli, że po odnowieniu Izraela nastąpi kolejny okres ucisku – Antychryst zaatakuje go ponownie i rozegra się kulminacyjna bitwa Armagedonu. Wtedy powróci Chrystus i zacznie się nowe millenium Jego panowania, a Żydzi albo rozpoznają Chrystusa jako mesjasza, albo zginą.

Taka teologia stała się bardzo popularna dzięki wydaniu Biblii z przypisami Scofielda (fundamentalisty i dyspensacjonalisty) oraz popkulturze, np. książkom z serii „Dzień Zagłady" czy „The Late Great Planet Earth".

W literalnym odczytaniu ksiąg prorockich i Apokalipsy oraz dzieleniu historii na epoki, świat stworzony przez Boga jest całkowicie niezależny od nas, a plan dla niego został już przygotowany. Dlatego troska o przyszłość wydaje się nie mieć już znaczenia. Skoro ostatecznie nic nie zależy od człowieka, po co martwić się takimi rzeczami jak choćby globalne ocieplenie?

Biblijny fundamentalizm

Historycznie rzec ujmując, protestantyzm amerykański, zwłaszcza w ewangelikalnym wydaniu, w zasadzie zawsze charakteryzował się antykatolicyzmem. Także opisywany tu biblijny fundamentalizm, oparty na subiektywnej i wyrywkowej lekturze Pisma, trzyma się z dala od tradycji egzegetycznych, które w ostatnim wieku zadomowiły się w Kościele katolickim, interpretującym Pismo Święte nie tylko w oparciu o tradycję i Magisterium, ale też z wykorzystaniem metod krytycznych. Zresztą podobnie jak katolicy postępują protestanci głównego nurtu: ich interpretacja też nie jest czysto indywidualna i oderwana od tradycji Kościoła.

Literalizm biblijny (dosłowna interpretacja) objawia się także w zrównywaniu Starego Testamentu z Nowym, odmiennie niż w sięgającej starożytności tradycji, głoszącej, że Stare Przymierze znajduje wypełnienie w Jezusie Chrystusie, a przeszłe wydarzenia należy czytać jako zapowiedzi Ewangelii.

Gdy w Niedzielę Palmową papież głosił, że Jezus jest Królem Pokoju i nie słucha modlitw ludzi wzywających do wojny, lecz je odrzuca (w duchu katolickiej nauki na temat wojny sprawiedliwej), ewangelikalni influencerzy i pastorzy w kontrze przytaczali cytaty ze Starego Testamentu, że Bóg sam wzywa do świętej wojny, i porównywali Trumpa do króla Dawida.

Podobnie robi Pete Hegseth, gdy w kontekście wojny z Iranem przywołuje Psalm 144 („Pan moje ręce zaprawia do walki, moje palce do wojny"), ignorując w zasadzie całą chrześcijańską tradycję, sięgającą ojców Kościoła, która ten fragment rozumiała w kontekście walki z grzechem.

Trudno oczywiście powiedzieć, czy Hegseth rzeczywiście wierzy w to, o czym mówi. Być może jest to jedynie religijne rozgrywanie republikańskich wyborców. W każdym razie nie posługuje się żadną tradycyjną hermeneutyką teologiczną, tylko wybiera z Biblii wyłącznie te fragmenty, które retorycznie pasują do jego przekazu i mają go wzmacniać.

Chrześcijański nacjonalizm

Jednakże nawet w konserwatywnej, międzywyznaniowej koalicji, skupionej wokół Białego Domu, zaczynają pojawiać się pęknięcia.

Wiele kontrowersji wywołało zaproszenie pastora Douga Wilsona (założyciela wspólnoty CREC, do której należy Hegseth) na wspólne nabożeństwo w Pentagonie. Wilson to nie tylko chrześcijański nacjonalista i postmillenarysta (wierzący, że większość przepowiedni z Apokalipsy już się dokonała), ale też otwarty zwolennik systemu patriarchalnego (uważa, że kobiety nie powinny zajmować stanowisk przywódczych, jest też przeciwnikiem 19. poprawki do Konstytucji, która przyznaje kobietom prawa wyborcze) oraz wprowadzenia kar za homoseksualizm.

Wolność religijna jest – zdaniem Wilsona – powiązana wyłącznie z amerykańską myślą protestancką i dlatego powinna dotyczyć tylko wspólnot tego wyznania. Publiczne przejawy religijności innej niż chrześcijaństwo protestanckie – np. uroczyste obchody ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ świąt hinduskich, muzułmańskich czy katolickich (procesje eucharystyczne czy używanie wizerunków Maryi i świętych) powinno być zakazane jako bałwochwalstwo – twierdzi pastor. Przestrzeń publiczna jest państwowa, a Stany Zjednoczone są państwem protestanckim, w związku z czym nie powinny pozwalać na demonstracyjne promowanie religii niechrześcijańskich i katolicyzmu, których miejsce jest jedynie w sferze prywatnej.

Do podziałów wśród zwolenników Trumpa dochodzi też z powodu syjonizmu – głośne było usunięcie z Komisji Wolności Religijnej influencerki Carrie Prejean Boller, która obarcza Żydów winą za śmierć Jezusa (bo przecież tak jest napisane w Biblii), a wspiera ją w tym także Tucker Carlson, znany publicysta i propagator MAGA.

Konflikt teologiczny

Jak widać, konflikty, których jesteśmy świadkami, rozgrywają się nie tylko na poziomie politycznym, ale też teologicznym. W przekonaniu ewangelikalnych pastorów MAGA prezydent Trump jest figurą mesjańską, dlatego można mu wybaczyć osobiste przewinienia. Jest narzędziem w rękach Boga i jego osobiste grzechy – niewierność małżeńska, rozwiązłość, wybuchowy charakter, wulgarność czy kłamstwa – w żaden sposób nie kalają jego misji. Ma zbawić nie tylko Amerykę, ale też świat w myśl idei dyspensacjonalizmu.

Franklin Graham, syn wspomnianego Billy'ego, największego ewangelizatora i kaznodziei w historii USA, jest przekonany, że to sam Bóg umieścił Trumpa w Białym Domu. W niedawnym liście do prezydenta napisał: „ważne jest, byś wiedział z całą pewnością, że twoja dusza jest bezpieczna i spędzi wieczność w obecności Boga".

Taka retoryka, idąca w parze z religijnym fundamentalizmem, to spory problem dla katolików (ale też dla wielu protestantów głównego nurtu, np. afroamerykańskich baptystów). Zwłaszcza tych, którzy widzą w Ewangelii przesłanie miłości – wyrażające się podejściem prospołecznym, które jest całkowicie sprzeczne z prawicową, konserwatywną i kapitalistyczną wizją amerykańskiego chrześcijaństwa.

© PIOTR POPIOŁEK

Charyzmatycy XXI wieku

PAULINA MODEL

DUCHOWOŚĆ | Czy są możliwe wspólnoty charyzmatyczne nowoczesne i zarazem duchowo bezpieczne? Można zaobserwować działania w tym kierunku.

Przed krakowską publicznością wychodzi szczupły, dobrze ubrany mężczyzna. Zanim zabrzmią pieśni uwielbienia, zdąży zacytować Kartezjusza i Chestertona. Johannes Hartl – tuz niemieckiego ruchu charyzmatycznego pokazuje, jak robić Kościół dziś: nowocześnie i z pamięcią popełnionych błędów.

Zrodzony z amerykańskich przebudzeń i napędzany zielonoświątkową energią ruch charyzmatyczny to fenomen chrześcijaństwa żywego i biblijnego. Przyciąga tłumy szukające czegoś więcej niż tradycji: autentycznej relacji z Jezusem, wspólnotowego uwielbienia i namacalnej obecności charyzmatów. Czy to wystarczy, by tworzyć zdrowy Kościół?

Importowane kryzysy

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie liczba nadużyć i wątpliwych fenomenów, które ten ruch wydał i które z amerykańskiego gruntu przeszły do Europy.

„Wygodnie mi było dostrzegać tylko pozytywy: wielotysięczne megakościoły, tysiące misjonarzy, pomoc materialną, muzykę gospel. Ale zamykałem oczy na skandale seksualne i finansowe lub coraz bardziej chore teologie, które tam były od lat i zaczęły docierać do nas" – napisał w swoich mediach społecznościowych Tomasz Żółtko, protestancki muzyk. Te skandale były tematem licznych dziennikarskich śledztw. Tylko pierwszy kwartał 2026 r. przyniósł sprawę Shawna Bolza z Bethel Church, dopuszczającego się tzw. innych czynności seksualnych i fałszowania proroctw. Na gruncie polskim mieliśmy z kolei pierwszy przypadek kanonicznego ukarania świeckiego lidera, Jacka Weigla.

Choćby na tych przykładach widać, jakie są kluczowe zarzuty wobec charyzmatyków: zbyt silna rola liderów, co może prowadzić do nadużyć władzy, kontrowersyjne nauczanie, brak finansowej transparentności.

Bożyszcza tłumów generują zyski i przyciągają ludzi, a jednocześnie podlegają słabej lub żadnej kontroli. A jeżeli nawet, to ciała kontrolne nierzadko są z nimi zaprzyjaźnione i ignorują zgłaszane krzywdy w imię „większego dobra".

Pieniądze i teologie

Dr Ewelina Berdowicz, religioznawczyni zajmująca się naukowo przemocą duchową, wskazuje na problematyczne kwestie związane z pieniędzmi: – Czy jest szansa na normalną wspólnotę charyzmatyczną? Nie sądzę, bo dopóki to przynosi profity, zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie chciał zrobić na tym biznes. John Wimber, ojciec neopentakostalizmu, jaki dziś znamy, dzięki głoszeniu swoich nauk osiągnął znaczne korzyści majątkowe. Spotykałam się też z sytuacjami, kiedy odejście z ruchu oznaczało utratę pracy albo mieszkania.

Często u podłoża tych problemów leży kontrowersyjna teologia. Na przykład „ewangelia sukcesu", która uznaje powodzenie materialne za wyraz Bożego błogosławieństwa, a kłopoty ze zdrowiem, niepełnosprawność czy ubóstwo za efekt grzechu lub opętania. Albo „teologia dominacji", mówiąca o konieczności odzyskania przez chrześcijan wpływu na społeczeństwo, co się przekłada na związki z politykami czy światem biznesu. Albo fundamentalizm, literalna lektura Biblii, kreacjonizm, dyskryminacja kobiet, potępianie osób LGBT+. Albo pandemoniczny obraz świata, postrzeganie siebie w ciągłej walce duchowej, przekonanie, że diabeł może dostać się do człowieka przez

eprasa.pl 94d9ff4ce5



KAMIL JASIŃSKI DLA „TP"

Irmina Wolniak, „pastorowa od emocji" z wiernymi Kościoła Radość w Gdańsku. Kwiecień 2024 r.

liczne „furtki", np. słuchaną w młodości muzykę Behemota czy wizytę babci u wróżki czterdzieści lat temu.

Wątpliwości może też budzić muzyka uwielbieniowa, nastrojowa i potencjalnie manipulacyjna, opieranie duchowości na widowiskowych elementach czy nadużycia w uznawaniu ponadnaturalnych charyzmatów i fenomenów.

Można pytać o „gesty prorocze", jak walenie diabła w mordę (Apostoł Tomasz Dorożała), o „chrześcijańskie demoniczne gabinety psychologiczne" (Revival Church), o ogłaszanie nad swoimi kartami bankowymi napływu pieniędzy w imię Jezusa (pastor Jakub Kamiński), o pastorów, którzy zdradzają żony i nie uważają tego za przeszkodę w kontynuowaniu swojej służby.

Kultura Edenu

Czy w takim razie dziś, w Polsce, da się budować zdrowe wspólnoty, świadome problemów przeszłości, uczące się na nich, proponujące prewencję i konstruktywne nauczanie? Ale też zachowujące wszystkie walory tego ruchu? Bo przecież tych też nie można mu odmówić. W końcu nie bez powodu ruch charyzmatyczny uważany jest za jedną z najprężniej rozwijających się gałęzi chrześcijaństwa: wyciąga ludzi z nałogów, przemienia ich życie, daje pokrzepienie i oparcie.

Johannes Hartl stworzył własną odpowiedź: autorski koncept eklezjalny *Eden Culture*, który opiera się na relacjach, sensie i pięknie. Jako literaturoznawca, filozof i teolog katolicki, Hartl często sięga do Dostojewskiego czy Heideggera. Takim językiem mówiło dotąd mało charyzmatycznych liderów. Teolożka, ks. dr Maria Hinsenkamp, dostrzega w nim jednak podwójne kodowanie: język piękna i filozofii jest „dla świata", by pokazać atrakcyjność chrześcijańskiej wizji, a język walki duchowej – dla środowiska charyzmatycznego.

Nela Zommer z Kościoła Echo w Szczecinie podkreśla rolę relacji i dbanie o ich jakość we wspólnocie: – Jedną z naszych głównych misji jest łączenie ludzi z Bogiem poprzez zmianę wizerunku Boga, Jezusa i Kościoła w Polsce. Jak się to realizuje w praktyce? Na przykład przez troskę o wygląd przestrzeni na nabożeństwo, jedzenie, dobrą kawę, odpowiednią komunikację w social mediach, aż po „Kościół dziecięcy", z nabożeństwami dostosowanymi do ich wieku.

Dla Marcina Iskrzyckiego z parafii w Wiśle-Malince, która ma wyraźniejszy niż większość luterańskich parafii rys wielbieniowy, ważna jest realizacja pasji poprzez pracę: – Parafia w Malince była pierwszym miejscem, gdzie 27 lat temu, jako młody człowiek, mogłem się zaangażować w pracę techniczną, nagłośnienie, zespół muzyczny. To jest chyba jedna z najskuteczniejszych metod zachęcania ludzi do Kościoła: dać im się zaangażować, by nie byli tylko odbiorcami.

Prewencja i ochrona

W dobie chaosu i samotności nowoczesna wspólnota, która daje poczucie sensu, sprawczości i głębsze relacje, brzmi jak pomysł na Kościół XXI wieku. Ale budowanie go bez zabezpieczeń przed zagrożeniami to stawianie domu na piasku.

Pierwszym poziomem bezpiecznego Kościoła jest transparencja: jasne i znane każdemu zasady, za których nieprzestrzeganie można każdego pociągnąć do odpowiedzialności i wiadomo, jak to zrobić. Kolejnym mogłaby być edukacja: liderów, by wiedzieli, kiedy ich komunikat zawiera elementy presji, i wiernych, by byli w stanie wyłapać manipulacje.

Przykłady dobrych praktyk można mnożyć, pamiętając, że wciąż nie są one powszechne.

W Niemczech, po opublikowaniu niezależnych raportów dotyczących pedofilii, Kościoły – tak katolicki, jak i ewangelickie – zaostrzyły swoje standardy ochrony. Założony przez Johannesa Hartla Dom Modlitwy w Augsburgu dodatkowo wprowadził własne regulacje, np. obowiązek organizowania na czas każdego wydarzenia specjalnego punktu, w którym można zgłaszać wszystkie nieprawidłowości, czy szkolenia z zakresu nadużyć duchowych dla członków zespołu.

Jak jest w Polsce

– Trochę przespaliśmy te lata, kiedy skandale przewalały się przez Kościół katolicki, a my udawaliśmy, że u nas ich nie ma – mówi Marcin Iskrzycki z Malinki. – Dlatego sprawa wykorzystania seksualnego przez duchownego naszego Kościoła spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Okazało się, że nadużycie władzy w kontekście dzieci nie jest związane wyłącznie z celibatem lub jego brakiem, że to jest bardziej skomplikowane.

Dziś w Polsce można sięgnąć do publikacji „Jak chronić dzieci", wydanej przez Kościół Ewangelicko-Augsburski, czy też skorzystać z kursu SAFEGUARDING na temat bezpieczeństwa w Kościele, przygotowanym przez międzynarodowe grono katolików. Szkolenia oferuje także Alians Ewangeliczny, zrzeszający Kościoły ewangelikalne. Wszystkich ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ obowiązuje też prawo państwowe, w tym kontekście tzw. ustawa Kamilka, choć tempo jej wdrażania (i chęci) są w Kościołach różne.

Kościół rzymskokatolicki opracował również dokumenty dotyczące *stricte* praktyk wspólnot charyzmatycznych, np. dotyczące zakazu „spowiedzi furtkowej" czy konieczności jasnego oddzielenia modlitwy o uwolnienie od oficjalnego obrzędu egzorcyzmu. Papież Franciszek wprowadził też kadencyjność liderów stowarzyszeń świeckich, by zapobiegać kultowi jednostki i monopolizacji władzy.

Zdrowsza kultura

O podobne ustalenia trudniej w polskim świecie protestanckim, co nie oznacza, że taki namysł nie istnieje.

Nela Zommer podaje przykład dobrej, choć nieujętej na piśmie praktyki ze swojej wspólnoty: – Żadne pierwsze spotkanie z osobą płci przeciwnej, która chce dołączyć do Kościoła, nie odbywa się jeden na jeden. A każdy pastor czy pastorka ma nad sobą zwierzchnika lub zwierzchniczkę.

Na rzecz duchowości zdrowej emocjonalnie działa Irmina Wolniak, „pastorowa od emocji" z Kościoła Radość w Gdańsku. W social mediach i podczas szkoleń zwraca uwagę na osobiste relacje („Bóg nie jest twoim przemocowym rodzicem", „Klaps to grzech") i wybory, ale odnosi się też do kwestii systemowych, wskazując przykłady manipulacji („Duch Święty mi powiedział") czy szkodliwość narracji łączących depresję z grzechem.

Problem toksycznego przywództwa omawia też w serii filmów Łukasz Kupczyński, lider Wspólnoty Górna Izba w Gorzowie Wielkopolskim. Na kanale Szkółka Niedzielna dla Niedopasowanych punktuje zbyt szybkie przywracanie drapieżców seksualnych do służby w Kościele, budowanie narracji wybielającej oprawców czy obwiniającej osoby doświadczające przemocy.

Liderzy i charyzmaty

– Do nadużyć dochodzi, kiedy szukamy znaków, a nie Jezusa – mówi Karol Sobczyk ze wspólnoty Głos na Pustyni. – Co nie oznacza, że nie chcemy, aby On działał. Wręcz przeciwnie. Ale jeśli ktoś mi dziś powiedział podczas spotkania, że Pan właśnie uleczył jego permanentnie bolące plecy, to poczekałbym 3 tygodnie ze świętowaniem tego faktu we wspólnocie.



PAULINA MODEL

Johannes Hartl

Johannes Hartl, katolicki teolog z Augsburga, **stworzył projekt eklezjalny Eden Culture**, który chrześcijańską wizję wspólnoty opisuje językiem literatury i filozofii.

To może być cud, ale może też być wynikiem emocji albo efektem placebo. Jako psycholog zwracam na to uwagę. Są osoby, które tak bardzo chcą znaleźć się w centrum uwagi, że potrafią zobaczyć cuda tam, gdzie realnie ich nie ma. Dlatego weryfikacja i obiektywizacja powinny być istotnym elementem troski wspólnoty – żebyśmy byli w tym świecie widziani jako naprawdę uczciwi i wiarygodni.

Karol jest głównym liderem swojej wspólnoty, ale zespół liderski Głosu na Pustyni tworzy kilka osób. – Jestem przekonany, że zdrowe przywództwo jest zespołowe. Nie może spoczywać na barkach jednej osoby. Konsultacje, szkolenia i superwizja to bardzo cenne praktyki.

– Ostatni synod zielonoświątkowy wprowadził wymóg posiadania przez pastorów wykształcenia kierunkowego. Regularnie organizujemy konferencje „Krytyczne wyzwania duszpasterskie", gdzie porusza się tematy m.in. seksualności czy depresji. W pierwszy weekend po Wielkanocy odbyło się Psycho Forum z tematami takimi jak przemoc psychiczna i zdrowe granice. Ruch zielonoświątkowy nie jest już aintelektualny – zauważa dr Andrzej Migda z Wyższej Szkoły Teologiczno-Społecznej w Warszawie, badający ruchy pentakostalne i posługujący w jednym z nich.

Finanse i transparentność

Kościoły podlegają regulacjom finansowym czy prawa pracy, choć nie zawsze widać to w praktyce (umów o pracę z organistą wciąż ze świecą szukać).

Marcin Iskrzycki z Wisły-Malinki mówi o kilkuetapowej kontroli finansów, która nie raz pozwalała wyłapać nieprawidłowości. Jawność finansowa jest też w Echo, gdzie raz na rok odbywa się prezentacja raportu na specjalnym spotkaniu.

W Głosie na Pustyni każda osoba ma partycypacyjny wpływ na finanse. – Jeżeli jesteś w służbie uwielbienia, masz wpływ na wydatki, które tam są realizowane – mówi Karol Sobczyk. – Każdy lider dwa razy w roku tworzy przestrzeń dla rozmowy z członkami swojej służby o tym, co jest potrzebne. Transparentność wydatków daje poczucie bezpieczeństwa. Niektórzy się z nas śmieją, bo płacimy ZAiKS. Owszem, liturgiczne wykonania utworów są zwolnione z opłaty, ale ja pytam: co z innymi sytuacjami? Płacimy tantiemy, bo uważamy, że chrześcijanie powinni być pierwsi w standardach.

Co dalej

Czy charyzmatycy nauczyli się czegoś po licznych, ujawnionych nadużyciach?

– Młodzi przyjdą do Kościoła, który będzie bezpieczny – mówił Johannes Hartl podczas krakowskiej konferencji.

– Jesteśmy wciąż na początku drogi – zauważa jedna z osób, z którą rozmawiam. - Często brakuje świadomości i edukacji. Zdarza się narracja „u nas nie ma tego problemu". Bywa, że wspólnota chce coś zmienić, ale pastor się sprzeciwia. Wielu liderów odbiera uwagi do ich pracy jako osobistą krytykę.

Ktoś inny dodaje: – Charyzmatycy wpadają w pułapkę myślenia, że to, co Boże, nie może prowadzić na manowce. A przecież większość sprawców wygląda na bardzo pobożnych ludzi.

We wspólnotach charyzmatycznych wzrasta świadomość zagrożeń, ale brakuje narzędzi radzenia sobie z nimi i sposobów zapobiegania. Jednocześnie tradycyjne Kościoły mogłyby się uczyć od charyzmatyków choćby gościnności i szukania form bliższych młodym ludziom. W jednych i drugich nie brak natomiast ludzi, którzy marzą o zdrowych wspólnotach. I robią wszystko, by były możliwe także w długodystansowej perspektywie.

© PAULINA MODEL

eprasa.pl 94d9ff4ce5



DOMENA PUBLICZNA

Pieter Lastman, „Jonasz i wieloryb", 1621 r., Muzeum Kunstpalast w Düsseldorfie

Cud Jonasza

KS. BIASGIU VIRGITTI, BIBLISTA:

BIBLIA | Do skomplikowanych misji Bóg wybiera skomplikowane postaci. Dlatego zainteresował mnie Jonasz – bo stawia opór woli Bożej i jest naprawdę uparty.

ANNA GARYCKA: „Naród niewierny trwoży się, przestrasza / Na cud Jonasza" – śpiewamy w polskich kościołach w okresie wielkanocnym. Kim był Jonasz?

KS. BIASGIU VIRGITTI: To jedyny prorok biblijny, do którego porównuje się sam Jezus. Mówi o sobie: „Oto tu jest coś więcej niż Jonasz". Nie porównuje się do Zachariasza czy do Jeremiasza. Nie mówi: „Oto tu jest coś więcej niż Izajasz". Tylko Jonasz. Opowieść o Jonaszu to historia krótka i prosta.

Jest człowiekiem, który wiecznie ucieka – unika konfliktów, wymija się od swoich odpowiedzialności. Oczywiście Jezus nie identyfikuje się z oporem, jaki Jonasz stawia Bogu, tylko z jego przepowiadaniem. Dlatego mówi: „Oto tu jest *coś więcej* niż Jonasz", bo jedynym punktem, w którym różni się od Jonasza, jest to, że nie stawia oporu Bogu.

W tym samym fragmencie Ewangelii Jezus mówi, że żaden znak nie będzie im dany, poza znakiem Jonasza. Na czym polegał ten „cud Jonasza"?

Mówimy o najbardziej spektakularnym epizodzie z życia tego proroka.

Jonasz został połknięty przez wieloryba i przeżył trzy dni w jego brzuchu. Ale i w opowieści Jonasza, i w Ewangelii Łukasza najważniejsze nie są te trzy dni i trzy noce w brzuchu wieloryba – czy w grobie – tylko samo prorokowanie, którego zasięg był niewiarygodny. O to chodziło Jezusowi. W tradycji Izraela cała historia jest wyolbrzymiona, by uczynić z niej paradygmat prorokowania, czyli misji, jaką Bóg przewidział dla swojego ludu.

W obliczu bardzo krótkiego przepowiadania Jonasza – mówi zaledwie pięć słów – mamy od razu radykalną odmianę w życiu mieszkańców Niniwy, począwszy od króla Niniwy, jego dygnitarzy, przez obywateli, a skończywszy na zwierzętach. Miasto jest przeolbrzymie, ale co ważne, nawraca się w całości, czyli mamy do czynienia ze stuprocentowym sukcesem.

Jezus mówi: jeśli Jonasz, który był oporny wobec woli Bożej, dokonał takiego cudu, to o ileż bardziej Ja, który przybyłem, by wypełnić wolę Bożą, przynoszę nawrócenie i zbawienie dla was wszystkich, od największego do najmniejszego.

Czy opowieść o Jonaszu nawiązuje do wydarzeń historycznych, czy jest to tylko fikcja literacka?

Trzeba dokonać rozróżnienia między konstrukcją opowiadania a rzeczywistością historyczną. Prorok o imieniu Jonasz prawdopodobnie istniał i jest możliwe, że został wysłany do Niniwy. Ale sama księga Jonasza jest jak bajka. To gatunek literacki, w którym jest dużo przesady: tutaj wszystko jest bardzo duże, bardzo piękne, bardzo mocne, mamy wielką rybę, wielki wiatr, wielką burzę, ogromne miasto i... ogromne grzechy. Wszystko jest przesadzone. Ta przesada ma swój cel: przygotowuje odwrót sytuacji. ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ Tak jak balon, który dmuchamy, dmuchamy, aż wreszcie pęka. Opowiadanie skonstruowane jest na przesadzie, by stworzyć w słuchaczu oczekiwanie na zwrot sytuacji.

I to się dzieje: na słowa Jonasza miasto się nawraca, a Bóg okazuje mu miłosierdzie zamiast kary.

Jonasz jest na Niego za to wściekły. Więc żeby i on mógł wreszcie zrozumieć, czym jest miłosierdzie, Bóg zezwala na uschnięcie drzewka rycynowego, które dostarczało Jonaszowi cienia. Gdy ten znów się gniewa, Bóg mówi: „Tobie żal krzewu, którego nie uprawiałeś i nie wyhodowałeś. A czyż Ja nie powinienem mieć litości nad Niniwą, wielkim miastem?".

Wybrał Ksiądz Księgę Jonasza na temat swojej pracy doktorskiej. Utożsamia się Ksiądz trochę z tym prorokiem?

Oczywiście. Mam trudny charakter, jestem raczej bezpośredni – to pewnie moje korsykańskie geny... W zeszłym roku poproszono mnie, bym został duszpasterzem skautów. Ja, który nigdy nie byłem skautem i nie mam zielonego pojęcia o skautingu!

Krzywiłem się strasznie na tę misję, bo wiedziałem, że będzie wymagała ode mnie nauczenia się nowych metod, zmiany sposobu myślenia itd. A tak naprawdę nie chciałem się w nią angażować, bo wiedziałem, że w pierwszej kolejności będzie wymagała ode mnie osobistego nawrócenia. Ale ostatecznie podjąłem zadanie i wszystko przebiegło dobrze.

Bóg powołuje najbardziej opornych?

By dopełnić skomplikowanych misji, Bóg wybiera skomplikowane postaci! Dlatego właśnie Jonasz mnie zainteresował – bo stawia opór woli Bożej i jest naprawdę uparty. Myśli: jeżeli pójdę nawoływać mieszkańców Niniwy do nawrócenia, a oni się nie nawrócą, to zostanę uznany za fałszywego proroka. Z drugiej strony, jeśli się nawrócą, to nie będzie już żadnego usprawiedliwienia dla mojego własnego braku nawrócenia. Więc Jonasz się wiecznie wymiguje, co mnie również często się zdarza.

Bycie księdzem to dla mnie nieustanne nawracanie się, bo w zderzeniu z rzeczywistością wciąż mam wiele wątpliwości i wahań. Jako człowiek, podobnie jak Jonasz, wolałbym, żeby Niniwa za swoje grzechy została doszczętnie zniszczona. Kropka. Tymczasem powołany jestem do przekazywania miłosierdzia Bożego i życzliwości.



MATERIAŁY PRASOWE

BIASGIU VIRGITTI (ur. 1980) – ksiądz diecezji paryskiej, liturgista i biblista. Wykładowca w Wyższym Instytucie Liturgicznym w Paryżu oraz na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Za pracę doktorską „Opowieść Jonasza w liturgii łacińskiej" otrzymał w 2021 r. prestiżową Nagrodę Henriego de Lubaca.

Posługa kapłańska to też nawoływanie do nawracania.

To prawdziwe wyzwanie: jak przyciągnąć uwagę ludzi, zwłaszcza kiedy oni wcale nie mają ochoty słuchać? Bo posługa kapłańska to niesienie Ewangelii osobom, które nie zawsze chcą ją otrzymać. Wierny, który przychodzi na niedzielną mszę – jakikolwiek jest jego wiek czy poziom wykształcenia – nie musi mieć żadnej wiedzy. Najważniejsze, by dostrzegł i przyjął tajemnicę paschalną, tajemnicę zmartwychwstania, do której jest zaproszony i w której uczestniczy. Głoszenie Słowa Bożego podczas liturgii jest pierwszym etapem, który ma mu w tym pomóc.

A jakie są kolejne?

Potem dochodzi do zapytania samego siebie: czego szukam w moim życiu, jakiej mądrości? I co proponuje mi dzisiaj Bóg? Przechodzimy od poszukiwania mądrości do otrzymania mądrości w Jezusie Chrystusie. Historia Jonasza mówi: mieszkańcy Niniwy byli w stanie się nawrócić.

Stąd pytanie: czy ja zdaję sobie sprawę, że Pan Bóg i mnie nawołuje do nawrócenia? Czy przyjmuję Jego prawdę także w takich wydarzeniach, które niekoniecznie mi się podobają?

W tradycji żydowskiej czytanie Księgi Jonasza przewidziane jest na najważniejszy dzień w roku, Dzień Pojednania, czyli święto Jom Kipur.

W Talmudzie, czyli księdze interpretacji żydowskiej Starego Testamentu, najmocniejszym przykładem nawrócenia, pokuty i postu są właśnie mieszkańcy Niniwy. Ciekawe, że modelem nawrócenia nie są dla narodu wybranego Żydzi, tylko poganie.

Jak już mówiłem, całe opowiadanie o Jonaszu zbudowane jest na kontrastach i przesadzie. Jonasz jest kontrastem dla mieszkańców Niniwy, ale też dla marynarzy, na których statku próbuje uciec. Marynarze się modlą, a on wcale nie prosi Boga o ratunek, tylko z nonszalancją mówi: „Wrzućcie mnie do morza". Kontrast widać również pomiędzy pięcioma słowami Jonasza a pięcioma milionami aktów nawrócenia u mieszkańców Niniwy.

Przykład Jonasza ma pokazać, że nawrócenie, akceptacja woli Bożej to dla człowieka duży problem.

Opowieść o zatwardziałych sercach?

Historia, która z jednej strony mówi mi, że nie jestem zdolny się nawrócić, ale także, że nawrócenie jest możliwe jako łaska, która może mi być dana bardzo szybko. W opowieści znajdujemy różne typy ludzkie czy nawet zwierzęce, różne postawy, z którymi słuchacz lub czytelnik może się utożsamić. Bo przecież identyfikujemy się z postaciami biblijnymi, nawet jeśli nie są pozytywne. Zwłaszcza że jak dobrze się przyjrzeć, to one nigdy nie są stuprocentowo pozytywne.

Abraham na początku niechętnie podchodzi do woli Bożej, podobnie Mojżesz, nie wspominając już o królu Dawidzie, który wielokrotnie błądzi! W Nowym Testamencie Szymon Piotr zapiera się Jezusa. Biblia pokazuje nam postacie zawsze w pełnym wymiarze, ludzi z ich słabościami. Nikt nie jest ideałem, nieskazitelny. Człowiek słucha Boga w swej słabości.

Dlatego możemy się identyfikować z Jonaszem zarówno w jego ucieczce przed zadaniem, jak i w jego przemianie. Zwłaszcza że nawet jego opór nie stał się przeszkodą dla nawrócenia Niniwy. Słuchając Słowa Bożego w takim kluczu, każdy może się identyfikować z postaciami biblijnymi, a zwłaszcza z ich przemianą. © Rozmawiała ANNA GARYCKA

eprasa.pl 94d9ff4ce5

O. WACŁAW

Oszajca:
Pomysł na życie



„Wiecie – mówi Piotr Apostoł – że z waszego odziedziczonego po przodkach głupiego postępowania zostaliście odkupieni”. Z tego jednak nie wynika, że w jakimś określonym momencie staniemy się całkowicie „nowym stworzeniem” niby woda na weselu w Kanie Galilejskiej. Ta zdolność do głupiego postępowania, spadek po Adamie i Ewie, po ich synach Kainie i Ablu, rozwijany przez następne pokolenia, który dzisiaj daje się również nam we znaki i aż dziw, że wciąż z tej umiejętności głupiego postępowania chętnie korzystamy. Wciąż do więzień wracają ci, którzy byli przekonani, że w ich wykonaniu zbrodnia doskonała jest możliwa. Głupie postępowanie bierze więc swój początek w głupim myśleniu.

Że taka jest ludzka kondycja, miał ostrą świadomość Paweł z Tarsu, a to już świadczy, że dar mądrości nie był mu obcy. „Nie rozumiem tego, co czynię – pisze w Liście do Filipian. – Nie czynię bowiem tego, co chcę, ale czynię to, czego nienawidzę (...) Wiem, że we mnie (...) nie mieszka dobro, ponieważ w mojej mocy jest pragnienie dobra, ale nie jego wykonanie. Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię zło, którego nie chcę”.

Zwykło się mówić, że ten głupi pomysł na życie to wynalazek Adama i Ewy. Nie zapominajmy jednak, że mamy tam jeszcze węża, a co bardziej zastanawiające, mamy też aniołów, a nie kto inny, tylko oni wynaleźli ten bezbożny sposób na życie. Różnie różni tłumaczą, dlaczego tak się stało, ale najwięcej daje do myślenia obecność w tym wszystkim Boga. To w jego obecności, w bliskości niedającej się wyobrazić, owo zło zaistniało. A jeśli tak, to śmierć, największy wróg i hańba ludzkiego życia, niekoniecznie musi być postrzegana jako Boże przekleństwo i produkt grzechu. Skoro zło aż tak blisko stoi Boga, który Jest, bo jest Miłością, to może śmierć nie jest przekleństwem, a błogosławieństwem? Nic to nowego, skoro w najciemniejszą noc dziejów ludzkości, w rocznicę śmierci Jezusa, skazańcy na śmierć, to znaczy my mamy odwagę wychwalać grzech i skutek, jaki on powoduje: „O, szczęśliwy grzechu, który zasłużył na tak wielkiego Odkupiciela”. Dzisiaj, którego obecność sygnalizuje stół, chleb, wino, woda, oliwa i posilający się ludzie. Definiuje nas bowiem nie zdolność czynienia zła, ale przy całej naszej słabości umiejętność dzielenia się chlebem. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Po co bierzmowanie?



Wiosenny kalendarz każdego biskupa: od Wielkiej Nocy do wakacji dzień w dzień bierzmowanie. Po co? Jaka w tym nadzieja? Nadzieję wypowiada Jezus w dniu wniebowstąpienia (zob. Łk 24, 46-49), kiedy mówi do uczniów: „Tak jest napisane: Mesjasz będzie cierpiał i trzeciego dnia zmartwychwstanie; w imię Jego głoszone będzie nawrócenie i odpuszczenie grzechów wszystkim narodom, począwszy od Jerozolimy. Wy jesteście świadkami tego. I oto Ja ześlę na was Obietnicę mojego Ojca. Wy zaś pozostańcie w mieście, aż będziecie przyobleczeni mocą z wysoka”. Uczniom (nam!) Jezus zleca misję. Wyraźnie jednak zakazuje podejmowania jej („pozostańcie w mieście!”) bez otrzymania Ducha Świętego. Dlaczego?

Ponieważ ich misja ma być przede wszystkim świadectwem, jak sam mówi. Otóż, świadectwo jest szczególnym przekazywaniem prawdy. Świadkiem jest nie ten, kto potrafi przemawiać zgodnie ze wszystkimi kanonami retoryki, ale ktoś, kto całą swoją osobą i działaniem tak dalece przylgnął wewnętrznie do prawdy, iż widać ją z niego. Nie musi głosić prawdy; on/ona po prostu „jest z prawdy” (zob. J 18, 37). To właśnie sprawia w człowieku Duch Święty. On nas „doprowadza do pełnej prawdy”, gdyż – jak objaśniał to św. Grzegorz Wielki – jest naszym „Nauczycielem wewnętrznym”, czyni naszym wewnętrznym przekonaniem to, co usłyszeliśmy. Nauczyciele mówią do naszych uszu; Duch sprawia, że prawdę przyjmujemy do serca! Wtedy nasze słowa nie rozjeżdżają się z naszym wnętrzem. Każde nasze nauczanie może mieć charakter świadectwa.

Może, ale nie musi... Potrzebny jest jeszcze właściwy motyw, który, znów, jest w nas dziełem Ducha Świętego. To właśnie kryje się w określeniu „moc z wysoka”. Jaką mocą jest Duch Święty? W tajemnicy wewnętrznego życia Trójcy Duch Święty jest osobową Miłością. Miłość jest jedyną mocą ewangelizacji! Na pewno nie siła, nie przymus, nie prawo... Nie nawraca i nie oferuje odpuszczenia grzechów dowodzenie własnych „racji” albo metodyczny protest („znak sprzeciwu”) przeciwko wszystkiemu, co się nie schodzi z naszą wizją rzeczywistości. To może dostarcza nam satysfakcji, ale nie przynosi dobra innym. Prośmy o Ducha Świętego dla tych, którzy przystępują do bierzmowania; prośmy o moc świadectwa rodzącego się z naszej wewnętrznej prawdy. Prośmy o skuteczność świadectwa! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

NAUKA

MÓZG TO NIE RZECZ

IAIN MCGILCHRIST, PSYCHIATRA, NEUROPSYCHOLOG, FILOZOF:

Straciliśmy zdolność do korzystania z intuicji właściwych prawej półkuli mózgu. Wydają się kolidować z tym, co mówi lewa półkula: więcej, szybciej, lepiej.

MICHAŁ ŁUCZEWSKI: Kilka godzin myślałem, jak się przygotować do naszej rozmowy. Myślałem, by dokończyć lekturę „The Matter with Things", wymyślić więcej pytań. Ale poszedłem spać.

IAIN MCGILCHRIST: Świetnie. To właśnie powinieneś był zrobić.

Twojej książki nie da się tak po prostu przeczytać. Z nią trzeba się mocować. Połączenie „Władcy pierścieni", „Fenomenologii ducha" i „Summy teologicznej". To jedyny tego typu znany mi traktat, który łączy w jedną całość analizę mózgu, świata i Boga. W dodatku z ponad trzema tysiącami przypisów do artykułów naukowych, najważniejszych poetów i klasycznych dzieł filozoficznych albo literackich.

Dlatego od razu ci podpowiedziałem, żebyś skupił się na podsumowaniach, którymi kończę każdy rozdział.

To taka gra z czytelnikiem?

Bo w podsumowaniu rozdziału o autyzmie i schizofrenii przeczytałem, że muszę jednak ten rozdział przeczytać w całości. A w epilogu książki upewniasz się, że przeszedłem przez wszystkie poprzednie rozdziały. Nie chcesz ujawniać konkluzji komuś, kto nie poznał całego wnioskowania. To tak, jakby rozpocząć lekturę kryminału od ostatniego rozdziału i rozwiązania zagadki.

Zgadza się. Cieszę się, że odczytujesz tę książkę jako rodzaj gry. Albo długiej podróży, która ma trzy poziomy: neuropsychologię, epistemologię i metafizykę. Czyli: w jaki sposób nasze mózgi kształtują rzeczywistość, w jaki sposób w ogóle możemy cokolwiek poznać i jaka jest natura rzeczywistości i kosmosu. Ale to nie jest podróż liniowa. Nie zmierzamy drogą postępu do jakiegoś jednego celu. To podróż po spirali, znana dawnym, mądrzejszym niż nasza kulturom.

Jak na obrazie „Drabina Jakuba" Williama Blake'a.

Uwielbiam go. Wszystkie przedstawienia Drabiny Jakuba, jakie kiedykolwiek widziałem, ukazują prostą drabinę wznoszącą się ku niebiosom. Ale wizja Blake'a ukazuje spiralne schody, które wiją się ku górze tak daleko, jak sięga nasz wzrok. Dusze wstępują do nieba, aniołowie schodzą w dół. To obraz rozwoju duchowego. To samo miał na myśli T.S. Eliot w słynnym zakończeniu „Czterech kwartetów": „Kresem wszelkich naszych poszukiwań / Będzie dojście tam, skąd wyruszyliśmy / I poznanie tego miejsca po raz pierwszy". Mówiąc „po raz pierwszy", miał na myśli, że nie wracasz dokładnie do miejsca, od którego zaczynałeś – wracasz do niego na innym poziomie. Wyższym, więc możesz spojrzeć w dół i zrozumieć miejsce, z którego wyszedłeś.

Z jakiego miejsca Ty wyszedłeś?

Pochodzę z rodziny, która wysoko ceniła naukę, a jednocześnie fascynowała mnie sztuka i poezja, odkąd tylko byłem w stanie coś z niej zrozumieć. W moim życiu najistotniejsze były dwa pytania: naukowe – jaka jest natura mózgu – i pytanie o życie duchowe. Moi przyjaciele i mentorzy radzili mi, żebym się tymi sprawami nie zajmował. Ale widocznie mam w sobie jakąś nutę przekory, bo były to dla mnie rzeczy tak ważne, że nie mogłem się nimi nie zająć. Co ciekawe, moja rodzina w ogóle nie była religijna. Do kościoła poszedłem po raz pierwszy dopiero w liceum. I tam nagle zobaczyłem coś, czego wcześniej nie znałem: niezwykłą moc chrześcijańskiego mitu. Używam tego słowa bez sugerowania, że skoro mit, to nie jest prawdziwy. W najważniejszym sensie, patrząc na jego zdolność poruszania serca człowieka, jest on głęboko prawdziwy. Idąc na Oksford, zamierzałem studiować teologię, a potem wstąpić do zakonu. Nie sądzę, żebym był dobrym mnichem, choć być może pomogłoby mi to stać się lepszym człowiekiem.

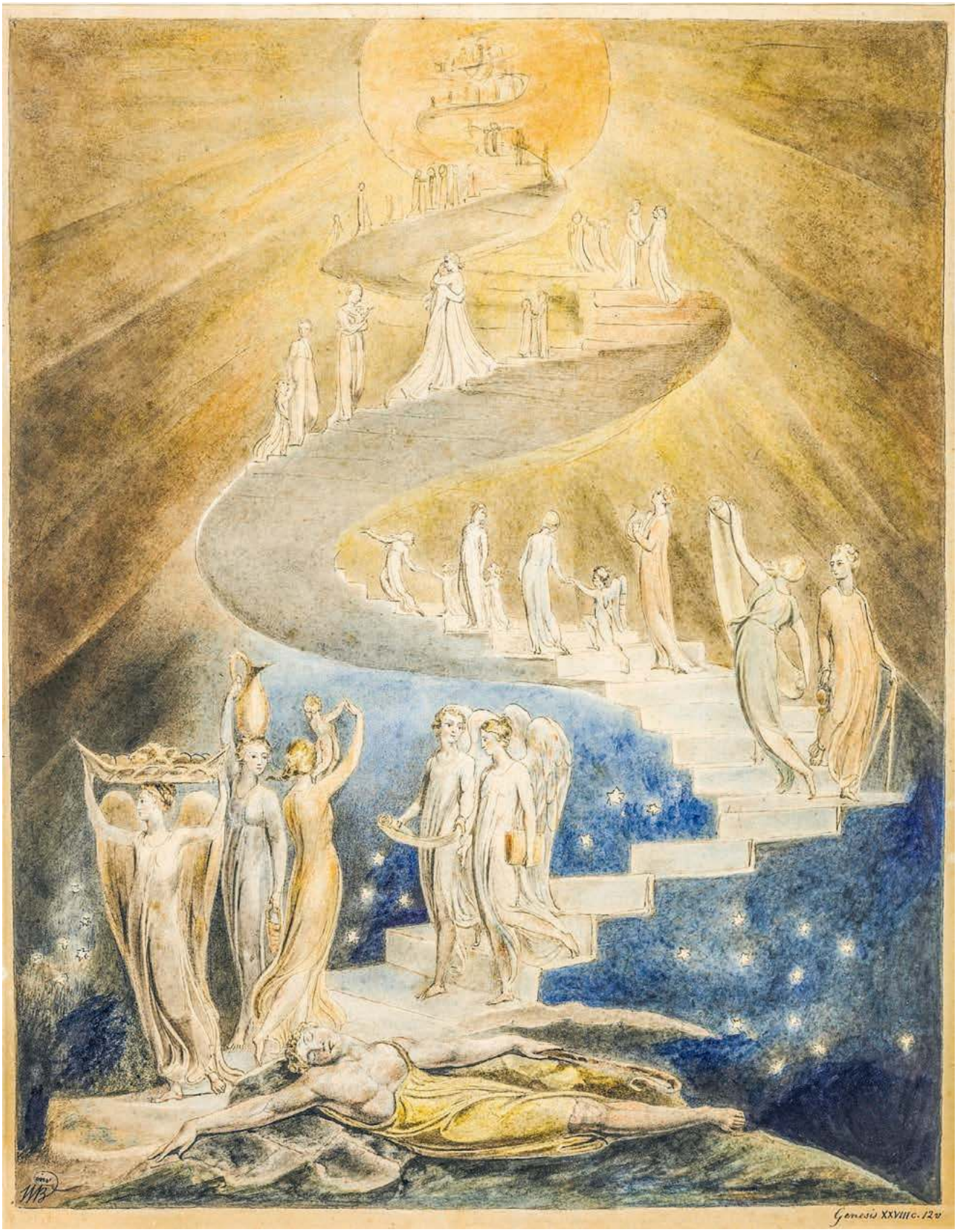
Twoja książka „The Matter with Things" jest próbą odpowiedzi na te dwa najważniejsze pytania.

Tytuł celowo gra na pewnej dwuznaczności. Angielski idiom *What's the matter with things* jest nie tylko pytaniem, jak się rzeczy mają, ale także sugestią, że coś jest nie tak, że nasze sprawy idą w złym kierunku.

A idą?

Świat nowoczesny skupia się właśnie na tytułowych „rzeczach", bardzo silne jest dziś przekonanie, że rzeczywistość składa się wyłącznie z materii. A materią się manipuluje, rzeczy się używa. W świecie rzeczy najwyższą wartością ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5



THE BRITISH MUSEUM / BE&W

„Wszystkie przedstawienia Drabiny Jakuba, jakie kiedykolwiek widziałem, ukazują prostą drabinę wznoszącą się ku niebiosom. Ale wizja Blake'a ukazuje spiralne schody, które wiją się ku górze tak daleko, jak sięga nasz wzrok. Dusze wstępują do nieba, aniołowie schodzą w dół. To obraz rozwoju duchowego".
William Blake, „Drabina Jakuba", ok. 1799-1806.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ stają się władza i kontrola. To niezwykle dekadenckie i w gruncie rzeczy – smutne. W innych kulturach i czasach ludzie rozumieli wagę wartości dobra, piękna i prawdy. Dziś coraz bardziej się od tego oddalamy.

O dominacji rozumu instrumentalnego, o coraz większej roli używania, posiadania, zamiast bycia, słyszymy od dekad. Pisał o tym choćby Henri Bergson.

W All Souls College poznałem Leszka Kołakowskiego, najwybitniejszego znawcę Bergsona, choć wtedy o tym nie wiedziałem. W Oksfordzie nikt wtedy nie mówił ani o Bergsonie, ani o Heideggerze, ani o Merleau-Pontym, ani o Schelerze, którzy są tak dla mnie ważni, więc nie pomyślałem nawet, że Kołakowski mógł go znać! Kołakowski był dla nas wielką postacią. Miałem świadomość, jaką rolę odegrał w sferze publicznej i w filozofii politycznej w Polsce. Pamiętam go stojącego w *common room, r*ozmawiającego, śmiejącego się, palącego papierosy i opierającego się o laskę, którą nosił jak królewskie insygnium. Był życzliwy, ale też w wielu sprawach dość surowy. Człowiek wiary, ale i krytyk wiary. Połączyły nas niemieckie papierosy Roth-Händle – maksymalna ilość smoły, bez filtrów, absolutnie szkodliwe i absolutnie aromatyczne. Razem je smakowaliśmy.

Ale nie rozmawialiście wtedy o lateralizacji mózgu?

Dopiero później odkryłem, że Kołakowski odwołując się do Bergsona, wskazywał wiele fundamentalnych rozróżnień, które określały jego sposób myślenia, choć przecież nie mógł wiedzieć, że to pochodne lateralizacji mózgu. Bergsonowski podział na intelekt i intuicję, tak dobrze opisany przez Kołakowskiego, odpowiada jeden do jednego podziałowi na lewą i prawą półkulę. Intelekt, jak lewa półkula, porządkuje rzeczywistość zgodnie z potrzebami życia. Jest przede wszystkim instrumentem przetrwania i postępu w umiejętnościach technicznych. Sprowadza różnice jakościowe do różnic ilościowych, nowe zjawiska do starych schematów, to, co jednostkowe, do tego, co powtarzalne i abstrakcyjne, czas do przestrzeni, przepływ życia do mechanicznych momentów. Natomiast intuicja, jak prawa półkula, sięga istoty rzeczywistości w jej niepowtarzalności, dynamice, celowości i sensie.

Tego nie mogłeś mu jeszcze powiedzieć...

Bo sam tego jeszcze nie wiedziałem. Poświęciłem na badanie mózgu ostatnie 30 lat. Neuronauki od początku cierpiały na tę samą iluzję, na którą dziś cierpi świat – wszystko traktowały jako rzecz. Badacze mózgu traktowali go jak maszynę, a nie organizm. Zadawali pytanie: co robi mózg? Co robią półkule? Bo to jedyne, co liczy się w maszynie – co robi.

A jakie pytanie należało zadać?

W czasie studiów medycznych zafascynowany byłem kilkoma pytaniami. Dlaczego w ogóle mózg jest podzielony na dwie półkule? Przecież jego siła polega na tworzeniu połączeń. A jednak wszystkie znane nam mózgi, nie tylko ludzkie, ale i zwierząt, są podzielone. Po drugie: dlaczego półkule są asymetryczne? Gdyby chodziło tylko o potrzebę większej przestrzeni, mózg rozszerzałby się równomiernie po obu stronach. Ale nie – istnieją fundamentalne, strukturalne i funkcjonalne asymetrie między półkulami. Po trzecie, dlaczego dwie półkule mózgu spaja pasmo włókien zwane *corpus callosum* – ciało modzelowate – którego funkcja w dużej mierze polega na hamowaniu przepływu informacji między półkulami. Owszem, przekazuje informacje, ale tylko niewielki procent neuronów faktycznie przechodzi przez to spoidło do drugiej półkuli.

Jaka jest odpowiedź?

Ogólny obraz, jaki mi się wyłonił, był taki: musi istnieć coś zasadniczo różnego w półkulach, skoro są podzielone w ten sposób, skoro wzajemnie bardziej się hamują niż wzmacniają, skoro są asymetryczne. Kiedy byłem na studiach medycznych, wszyscy uważali, że lewa półkula jest ważniejsza. Nazywano ją główną półkulą ze względu na jej związek z językiem i inteligencją, prawą – „niemą" – uznawano za półkulę służebną. Dlatego uznano, że lewa półkula jest niezawodna, racjonalna, można na niej polegać. Natomiast prawa półkula – ach, pełna pomysłów i wyobraźni, umie malować ładne obrazki.

Pamiętam też, że na studiach kłóciliśmy się o „płeć mózgu".

Tego typu pop-psychologia brała się właśnie z tego pogardliwego wyobrażenia półkul. Prawa miała być „kobieca", a ta poważna, lewa – „męska".

Dla mnie najważniejsze w Twojej teorii nie jest rozróżnienie funkcji obu półkul, tego, co one widzą, ale jak postrzegają rzeczywistość. A więc różne typy uwagi. To całkowicie zmienia naszą perspektywę patrzenia na mózg.

Lewa półkula jest kluczowa dla ruchów prawej ręki oraz do chwytania rzeczy, a więc zdobywania ich i używania. A więc też do pojmowania rzeczywistości, w sensie: uchwycenia czegoś, by tego użyć. Zadaniem lewej półkuli jest też lokalizowanie rzeczy, których potrzebujemy – jedzenia, gałązek do budowy gniazda, kijów do budowy chaty. Rzeczy, których potrzebujemy i których używamy do manipulowania światem. Właściwy lewej półkuli typ uwagi jest wycinkowy, skupiony na używaniu, sprowadzeniu tego, co nieznane, do tego, co znane. Problem polega na tym, że jeśli skupisz się tylko na tym, co już znasz, przegapisz wszystko inne, także drapieżnika, który może cię zaatakować właśnie wtedy, gdy jesz lunch. Sam możesz stać się lunchem.

Z taką wycinkową uwagą żadne zwierzę nie mogłoby długo przetrwać.

Lewa półkula potrafi analizować, ale nie potrafi ponownie złożyć całości. To jest zadanie prawej półkuli. Jesteśmy dużo bardziej zależni od prawej półkuli niż od lewej. Prawa półkula ma szeroką, trwałą, otwartą, czujną uwagę wobec wszystkiego, co nas otacza. To, że ośrodek mowy zlokalizowany jest w lewej półkuli, nie oznacza, że prawa nie ma zdolności językowych. Przeciwnie. Dzięki niej rozumiemy nie tylko zdanie, ale cały kontekst wypowiedzi, rozumiemy znaczenia ukryte, metaforę, mit, narrację, poezję, a w końcu – otaczający nas świat. Prawa półkula jest nie tylko ważniejsza dla rozumienia znaczeń i emocji, ale także zadań intelektualnych.

Jakie z tego można wyciągnąć wnioski?

Uważam, że w świecie, w którym teraz żyjemy, straciliśmy zdolność do korzystania z intuicji właściwych prawej półkuli. Wykluczamy je, bo wydają się

eprasa.pl 94d9ff4ce5

kolidować z tym, co mówi lewa półkula: więcej, szybciej, lepiej. Ale bez prawej półkuli nie rozumiemy, po co mielibyśmy robić wszystkiego więcej, szybciej i lepiej. W rezultacie żyjemy w świecie, w którym wielu ludzi – szczególnie młodych, indoktrynowanych przez bardzo materialistyczną, redukcjonistyczną wizję świata, człowieka i kosmosu – jest zagubionych. Nie widzą kierunku. Nie rozumieją, że cokolwiek może mieć jakieś głębsze znaczenie. Bardzo się cieszę, że teraz zaczynają przeciwstawiać się temu trendowi i wracać do mądrości duchowych tradycji.

A jaka jest Twoja duchowa tradycja? Wydaje się, że Bogiem jest u Ciebie twórczy prąd życia, boska *elan vital*, proces twórczej wymiany. W centrum Twojej teologii jest pneumatologia, nie osoba.

Jeśli masz na myśli osobę Chrystusa, to nie chciałem zamykać żadnych drzwi. Byłem krytykowany, dość życzliwie, przez chrześcijan, którzy mówili: „W centrum twojej pracy jest dziura w kształcie Chrystusa". Nie powiedziałem tego głośno, ale pomyślałem: cóż, jeśli ty potrafisz zobaczyć, gdzie Chrystus się w tym wszystkim mieści, to inni też będą potrafili to zobaczyć. Ale gdybym powiedział o tym wprost, część ludzi by się odwróciła. Chciałem bardzo ostrożnie doprowadzić moich czytelników do zobaczenia rzeczy, które są im znane, ale które mogą też sugerować coś jeszcze. Dopiero potem kolejny krok i kolejny. Niektórzy ateiści pisali do mnie i mówili: „Nigdy nie miałem wiele cierpliwości do przekonań religijnych, ale po przeczytaniu pana książek po raz pierwszy rozumiem, o co w tym chodzi, i czuję, że coś się we mnie zmieniło". I dobrze. Nie próbuję nawracać na chrześcijaństwo. Ale jeśli ludzie pytają mnie, czy jestem chrześcijaninem, odpowiadam: chyba tak. Dla mnie jest to najważniejszy m i t boskiego kosmosu, jaki znam. Dał początek tak zdumiewającym rzeczom – zarówno w życiu świętych, jak i w sztuce, muzyce, architekturze i wielu innych obszarach. Ludzie odwracający się dziś od chrześcijaństwa nawet nie zdają sobie sprawy, jak bardzo są mu dłużni, ponieważ większość ich wartości jest w nim głęboko zakorzeniona.

Zamiast dostrzec te wartości, próbują je zanegować?



ERLEND BERGE

IAIN MCGILCHRIST (ur. 1953) był wykładowcą literatury angielskiej w Oksfordzie, gdy zainteresował się pograniczem filozofii i psychiatrii. By realizować pasję, został psychiatrą. Jest autorem wpływowej teorii na temat zróżnicowanego funkcjonowania półkul mózgowych. W 2019 r. powstał film dokumentalny „The Divided Brain", poświęcony jego odkryciom.

W książce „The Master and His Emissary" (2009), która sprzedała się w nakładzie 200 tys. egzemplarzy, McGilchrist przedstawił koncepcję wpływu dwupółkulowej struktury mózgu na indywidualny, społeczny i kulturowy rozwój człowieka.

Najnowsze dzieło – „The Matter with Things" – ma szansę pobić tamten wynik. Monumentalna praca (1500 stron) poświęcona jest metafizycznym implikacjom funkcjonalnej i anatomicznej asymetrii mózgu oraz relacjom między budową naszego aparatu poznawczego a naturą świata i *sacrum*.

„Raj utracony" Miltona pokazuje, że zawsze mamy możliwość przyjęcia i pielęgnowania dobra, piękna i prawdy. Możemy odczuwać kontrast pomiędzy sobą a tym, czym one są. Ten kontrast pozwala nam wzrastać, zmieniać się i zbliżać do boskości, jest impulsem jednoczącym. Chrześcijańskie przesłanie mówi, że możliwe jest przyjęcie czegoś, co jest realne, i że w tym nie jesteśmy sami, że możemy w tym wzrastać. Nie wiem... Bardzo trudno jest mi mówić o tych rzeczach, bo słowa nas zdradzają. Wchodzimy tutaj w obłok niewiedzy.

Co powinienem zatem zrobić, żeby odnaleźć w sobie tę pełnię? Czy może to złe pytanie, które płynie z lewej półkuli, skoro pytam o użyteczność?

Mam pewne opory, by to mówić, ale istnieje tu słynny precedens. Kiedy ludzie pytali Chrystusa, co powinni robić, odpowiedział, że dawniej istniało dziesięć przykazań, a on daje dwa: kochaj Boga i kochaj bliźniego. To jest znacznie bliższe temu, co próbuję powiedzieć, ponieważ to, co musi się zmienić, jest w sercu – nie tylko w sensie emocji, ale duszy, intelektu. Uważam je za nierozdzielne. Jeśli więc powiem ludziom: medytuj przez pół godziny dziennie...

Siedemnaście minut. Andrew Huberman mówił, że wystarczy siedemnaście minut, by odczuć efekt.

Widzisz – jeśli naprawdę medytujesz przez 17 minut po to, by stać się bardziej efektywnym, to tak naprawdę nie medytujesz, bo masz niewłaściwe nastawienie. Głębsza prawda natychmiast zostaje przejęta przez lewą półkulę i traci sens. Chodzi o odnalezienie właściwej postawy i o różnorodne sposoby, na jakie ludzie prowadzą spełnione życie. Nie chcę ich zawężać do tego, co sam mógłbym zaproponować. Chcę zostawić przestrzeń, by ludzie wzięli moje idee i wymyślili rzeczy, na które sam bym nie wpadł.

Mam przyjaciółkę, która jest niezwykle biegła we wschodnich sztukach walki i malarstwie. To wspaniałe, duchowe, ale sam bym na to nie wskazał. Nie chcę ludzi ograniczać. Czasem mam cichą rozmowę z Bogiem i mówię: „Nie zaszkodziłoby ci być trochę bardziej dosłownym i mówić do mnie trochę bardziej bezpośrednio". Ale właściwie dlaczego miałby to robić? On mówi do mnie cały czas w sposób pośredni, a ja przecież sam powtarzam, że tak właśnie osiągamy prawdziwe rozumienie, tak właśnie kształtujemy naszą uwagę. Léon Bloy i Simone Weil, dwoje francuskich pisarzy z początku XX w., powtarzali, każde na swój sposób, że uwaga jest formą miłości.

Czyli podsumowując: życie jest siłą twórczą, nie jesteśmy sami na świecie, istnieje miłość, a my możemy sięgać dobra, prawdy i piękna...

A to prowadzi do wdzięczności. Mistrz Eckhart mówił, że „jeśli jedynym słowem, jakim modlisz się przez całe życie, jest »dziękuję« – to wystarczy". Często o tym myślę, bo nie umiem się dobrze modlić.

© Rozmawiał MICHAŁ ŁUCZEWSKI

eprasa.pl 94d9ff4ce5



KLAUS HEIRLER / DPA / PAP

HISTORIA

Moment po ogłoszeniu wyroku na zabójców z Bydgoszczy. Od lewej: obrońca Manfred Gegerle, uniewinnieni Horst Eichler i Jakob Lölgen, obrońca Willy Osterhues. Monachium, 1 kwietnia 1966 r.

BEZKARNI

Wiosną 1966 r. w Niemczech Zachodnich skończył się kluczowy proces dotyczący zbrodni na polskich elitach. Winni zostali uniewinnieni. Jak to było możliwe?

TOMASZ CHINCIŃSKI

Jacob Lölgen i Horst Eichler, obwinieni o udział w mordach na Polakach z Bydgoszczy i okolic jesienią 1939 r., usłyszeli wyrok 1 kwietnia 1966 r. Sąd w Monachium jednoznacznie i bez żadnych wątpliwości ocenił zbrodnie na polskiej inteligencji, w których obaj mieli udział – i mimo to ich uniewinnił.

Dziś to może wydać się sprzeczne: jak było możliwe, aby uznać skalę zbrodni i udział w niej obu oskarżonych, jednocześnie odmawiając ich ukarania?

Odpowiedź poprowadzi nas do Bydgoszczy z jesieni 1939 r., a potem do realiów Niemiec Zachodnich z lat 60. XX w., w tym ówczesnego rozumienia odpowiedzialności. Przyjrzyjmy się temu mechanizmowi: jak na sali sądowej uniewinniano, mimo pełnej wiedzy.

1939: ZBRODNIA | W pierwszych tygodniach okupacji Bydgoszcz stała się jednym z głównych miejsc terroru wymierzonego w polską inteligencję. Po tym,

eprasa.pl 94d9ff4ce5

jak z regionu wycofano oddziały Einsatzgruppe IV (towarzyszyły Wehrmachtowi w kampanii 1939 r.), zadanie przejęło utworzone w Gdańsku 12 września 1939 r. Einsatzkommando 16 (EK 16). Była to samodzielna jednostka policji bezpieczeństwa, podległa berlińskiej centrali operacji „Tannenberg" (to kryptonim działań wymierzonych w polskie elity).

Jednym z głównych oddziałów EK 16 była grupa wysłana do Bydgoszczy (EK 16a). Dowodził nią Jacob Lölgen, funkcjonariusz gdańskiego Gestapo. Jej zadaniem była planowa likwidacja Polaków z elity społecznej. Na podstawie gotowych list dokonywano aresztowań i selekcji więźniów. Decyzje komisji, w której zasiadali funkcjonariusze EK 16a, oznaczały w praktyce wyrok śmierci.

Skutki tej akcji Lölgen podsumował w raporcie z 17 listopada 1939 r., przesłanym do Berlina: „W Bydgoszczy nie ma już inteligencji polskiej, która mogłaby działać aktywnie". To jedno zdanie, lapidarne i urzędowe w formie, oddaje cele Einsatzkommando 16a: eliminację tamtejszych elit jako fundament niemieckiej polityki okupacyjnej na Pomorzu.

AKTA OBCIĄŻAJĄ | Meldunki, które dziś pozwalają historykom odtworzyć skalę zbrodni, po 1945 r. stały się podstawą aktu oskarżenia przeciw Lölgenowi. Pod koniec lat 50. ich kopie – pochodzące od polskiej Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich – trafiły do Centrali Krajowych Zarządów Wymiaru Sprawiedliwości do Badania Zbrodni Narodowosocjalistycznych w Ludwigsburgu w RFN. Tu włączono je do materiału dochodzeniowego i przekazano właściwej prokuraturze w Monachium.

Warto dodać, że przez kilkanaście lat po wojnie Lölgen żył w RFN jako urzędnik policji kryminalnej i jeśli pojawiał się przed sądami, w innych sprawach, to tylko w charakterze świadka. Jego meldunki z 1939 r. zawierały opisy „akcji oczyszczających" i liczby zabitych. Dokumentowały ich skalę, a także jego rolę jako dowódcy. Akt oskarżenia był więc jednoznaczny: prokuratorzy z Monachium nie mieli wątpliwości, że Lölgen i jego zastępca Horst Eichler wiedzieli o bezprawności tego, co robili.

Język meldunków Lölgena nie był – w ocenie prokuratury – technicznym opisem wykonywanych czynności, lecz świadectwem świadomości celu i skali zbrodni. Meldunki miały dowodzić udziału oskarżonych w egzekucjach i ich kierowniczej roli w całej zbrodni.

SĄD UNIEWINNIA | Paradoks tego, co stało się w 1966 r., polegał na tym, że meldunki, które nie pozostawiały wątpliwości co do sprawstwa oskarżonych, w toku procesu zostały odczytane w sposób sprzyjający obronie. Sąd uznał, że język raportów – podkreślający gorliwość w wykonywaniu rozkazów – nie dowodzi samodzielnej inicjatywy sprawcy, lecz potwierdza działanie pod przymusem. Dokumenty, które miały obciążać, odegrały więc istotną rolę w rozumowaniu prowadzącym do uniewinnienia.

Sedno monachijskiego procesu nie rozgrywało się wokół faktów, lecz ich prawnej interpretacji. Na sali sądowej nie kwestionowano zbrodni, jej skali ani udziału w niej Lölgena. Spór dotyczył tego, czy jego działania można uznać za samodzielne sprawstwo, czy też mieściły się w granicach tzw. stanu wyższej konieczności.

Kluczowe znaczenie miały zeznania niejakiego Josefa Meiera, dowódcy bydgoskiego Selbstschutzu (organizacji paramilitarnej, uczestniczącej w zbrodniach). Zeznał on, że odmowa wykonania rozkazu egzekucji groziła zesłaniem do obozu koncentracyjnego. Sąd przyjął to i uznał, że oskarżony mógł działać pod przymusem. Wystarczyło, że tej możliwości nie dało się wykluczyć, by odmówić przypisania mu odpowiedzialności karnej.

SPRAWA ZAMKNIĘTA | Oskarżeni próbowali przy tym przedstawiać wydarzenia, określane jako „bydgoska krwawa niedziela" (tj. zabójstwa przedstawicieli mniejszości niemieckiej, które istotnie miały miejsce z początku września 1939 r.; to osobna historia), jako usprawiedliwienie dla późniejszych represji. Sąd jednak nie uznał ich za podstawę legalizującą egzekucje, traktując je jako kontekst. Ten zaś, w jego ocenie, mógł wzmacniać subiektywne poczucie przymusu po stronie sprawców.

Wyrok w Monachium nie kończył sprawy. Prokuratura wniosła rewizję do Sądu Najwyższego RFN, kwestionując zastosowanie konstrukcji stanu wyższej konieczności. W listopadzie 1966 r. Bundesgerichtshof oddalił rewizję, w pełni podzielając argumentację sądu monachijskiego i uznając, że groźba zesłania do kacetu może wyłączyć winę karną oskarżonych. Uniewinnienie Lölgena i Eichlera stało się prawomocne.

Na tym etapie sprawa została prawnie zamknięta, a wraz z nią możliwość rozliczenia tej zbrodni i winnych w ramach procedury karnej.

PĘKNIĘTA NARRACJA | Ważnym elementem materiału dowodowego były zeznania Eichlera. W śledztwie przyznał się do udziału w organizacji egzekucji i nie negował swej roli (jak twierdził, pośredniej) w zbrodni. Jednocześnie, chcąc ograniczyć swą odpowiedzialność, wskazywał na możliwość uzgadniania decyzji o rozstrzelaniach na szczeblu dowódczym, sugerując istnienie porozumień między przełożonymi.

Zeznania Eichlera wprowadzały do sprawy wątek sprawczości decyzyjnej, który trudno było pogodzić z obrazem działania tylko pod przymusem. Jednak sąd, choć nie kwestionował wiarygodności jego zeznań, to nie uznał ich za wystarczające do przełamania konstrukcji stanu wyższej konieczności.

Cały ten spór o przymus i sprawczość rozgrywał się w wąskim polu dowodowym. Wśród świadków nie znalazł się ani jeden Polak – opowieść o zbrodni rekonstruowano niemal tylko na podstawie zeznań funkcjonariuszy niemieckiej policji, administracji i volksdeutschów. Brak głosu ofiar sprzyjał interpretacji, w której perspektywa sprawców stała się głównym punktem odniesienia dla oceny przymusu i winy.

W aktach tej sprawy ofiary są w dużej mierze bezimienne – pojawiają się jako liczby, elementy meldunków. Tymczasem byli to konkretni ludzie: nauczyciele, lekarze, urzędnicy, działacze społeczni, księża, elita życia publicznego Bydgoszczy. Ich śmierć nie była skutkiem niekontrolowanej eskalacji przemocy, lecz planowanym uderzeniem.

WARTOŚĆ ŹRÓDEŁ | Materiały, które nie doprowadziły do skazania, mają dziś ogromną wartość poznawczą. Przykładowo, choć zeznania Josefa Meiera miały służyć jego obronie (co widać po przerzucaniu przezeń winy), dostarczają wiedzę o aparacie terroru. Pokazują obieg list osób, które miały zginąć. Choć sąd uznał je za niewystarczające do przypisania ↦

eprasa.pl 94d9ff4ce5



IPN

ZDJĘCIA Z BYDGOSZCZY

Wiedzieli, że za chwilę zginą – nauczyciele Władysław Bieliński (na pierwszym planie), Czesław Przybylski i Antoni Olejnik. Ich zdjęcie wykonał dowódca Selbstschutzu na Pomorzu Ludolf von Alvensleben: był obecny przy egzekucjach jesienią 1939 r. i je fotografował. Gdy w 1944 r. uciekał z Bydgoszczy, zostawił album ze zdjęciami w swej willi. Odnaleziono je po wojnie, a inspektor szkolny Stanisław Lisowski rozpoznał na nich swoich kolegów. Na podstawie tych zdjęć ojciec jednego z zabitych wskazał przypuszczalne miejsce egzekucji w Dolinie Śmierci pod Fordonem. Na przełomie kwietnia i maja 1947 r. przeprowadzono tam ekshumację, a część ofiar została zidentyfikowana.

↦ winy, dla historyka są jednym z nielicznych źródeł, które pozwalają odtworzyć mechanizmy represji.

Zeznania Meiera pozwalają też odtworzyć przebieg egzekucji. Wynika z nich, że nie były one spontaniczne, lecz prowadzone według procedury. Ofiary ustawiano pojedynczo lub w małych grupach, strzelali wyznaczeni wykonawcy, celując w głowę i sprawdzając skutek strzału. Taka „techniczna" logika zabijania pokazuje stopień zinstytucjonalizowania przemocy i wpisuje egzekucje z jesieni 1939 r. w kontekst innych XX-wiecznych zbrodni masowych, jak mord katyński.

Wartość mają też zeznania Eichlera. Odsłaniają klimat, w jakim działał aparat represji. Eichler mówił o presji lokalnych volksdeutschów, którzy domagali się działań przeciw Polakom i obarczali polskie elity odpowiedzialnością za wydarzenia z 3 i 4 września 1939 r. Pokazuje to, że przemoc istniała także w środowisku lokalnym, które ją legitymizowało.

NIEMCY SKAZUJĄ | Kontrapunktem dla procesu monachijskiego jest sprawa członków Selbstschutzu przed sądem w Mannheim. Dotyczyła egzekucji ludności polskiej jesienią 1939 r. w Rudzkim Moście (dziś to część Tucholi). Oskarżonymi byli miejscowi Niemcy, działający w strukturach tutejszego Selbstschutzu.

Sąd w Mannheim zrekonstruował przebieg egzekucji i role oskarżonych na tyle precyzyjnie, że mógł przypisać im indywidualną winę. Dopuszczono też zeznania polskich świadków – zarówno złożone wcześniej przed polską Główną Komisją, jak i przed sądem. Sąd korzystał także z relacji świadków niemieckich i volksdeutschów.

Przełomowe znaczenie miały zeznania urzędnika przysłanego wtedy z Rzeszy: obciążył on oskarżonych, wskazując na ich aktywny udział w organizowaniu egzekucji. Jego zeznania, pochodzące spoza lokalnego środowiska, umożliwiły przypisanie indywidualnej winy.

Równie istotna była postawa sądu wobec linii obrony. Sąd w Mannheim odrzucił argumenty o „prawie odwetu", o stanie wyższej konieczności i podległości rozkazom. W uzasadnieniu wyroku podkreślił, że egzekucje były sprzeczne z każdym cywilizowanym porządkiem prawnym, a ich bezprawność musiała być dla sprawców oczywista.

Wyrok zapadł w 1965 r. (rok wcześniej niż w sprawie monachijskiej). Dwóch winnych usłyszało decyzję o dożywociu – co pokazuje, że wyroki skazujące za zbrodnie na Pomorzu w 1939 r. były w Niemczech Zachodnich możliwe.

MONACHIUM I MANNHEIM | Zestawienie obu procesów nie pokazuje sprzeczności w orzecznictwie sądów w RFN, lecz jego logikę. W Mannheim możliwe było skazanie, gdyż sąd miał szersze pole dowodowe i mógł osadzić winę w klasycznych kategoriach prawa karnego. Wykorzystał też zeznania Polaków, co utrudniło obronie utrzymanie tezy o działaniu pod przymusem.

Sąd w Monachium nie kwestionował faktów. Uznał jednak, że nie da się z wymaganą pewnością przypisać indywidualnej winy, co w praktyce prowadziło do uniewinnienia (mimo pełnego rozpoznania wydarzeń). Niemal cała wiedza procesowa pochodziła z zeznań sprawców, a prawo nie pozwalało rozstrzygać wątpliwości na ich niekorzyść.

W efekcie oba procesy ujawniają selektywność powojennych rozliczeń w RFN. Skazania były możliwe tam, gdzie przemoc miała charakter bezpośredni i lokalny, a odpowiedzialność dało się przypisać w kategoriach indywidualnego wykonawstwa. Trudniej było natomiast rozliczyć sprawczość decyzyjną – tam, gdzie zbrodnia była efektem systemu, a odpowiedzialność rozmywała się między meldunkami, rozkazami i strukturą hierarchiczną.

To porównanie pokazuje granice powojennych rozliczeń w Niemczech Zachodnich: nie wyznaczała ich skala zbrodni, lecz sposób, w jaki sędziowie decydowali się ją „odczytać".

© TOMASZ CHINCIŃSKI

Autor jest profesorem Instytutu Pileckiego. Wraz z dr Dominiką Uczkiewicz kieruje projektem badawczym „Zbrodnie (nie) osądzone. Organy ścigania i wymiar sprawiedliwości RFN wobec zbrodni niemieckich w Polsce (1939-1945)", finansowanym ze środków Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki (NPRH/F/SN/0038/2024/13).

eprasa.pl 94d9ff4ce5

TYGODNIK POWSZECHNY

Prenumeruj „Tygodnik Powszechny”

W świecie, w którym informacje coraz częściej przybierają formę skrótów, nagłówków i emocjonalnych impulsów, warto sięgnąć po medium, które proponuje coś więcej niż szybkie reakcje. „Tygodnik Powszechny” to przestrzeń dla tych, którzy chcą rozumieć, a nie tylko wiedzieć – dla czytelniczek i czytelników szukających pogłębionej refleksji nad rzeczywistością.
To tygodnik społeczno-kulturalny, który od lat buduje wspólnotę ludzi myślących samodzielnie i niebojących się zadawać trudnych pytań.

Wybierając prenumeratę, inwestujesz nie tylko w dobre czytanie, ale też w stały kontakt z myśleniem, które wykracza poza codzienny informacyjny szum.

Tylko do **końca kwietnia**, kupując lub przedłużając prenumeratę „Tygodnika Powszechnego” otrzymujesz **specjalną ofertę** – nawet **4 zł taniej** za numer niż w kiosku.

OFERTA CENOWA

InPost	Roczna	~~cena 686 zł~~ **nowa cena 616 zł** z kodem: **10kwi26** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 366 zł~~ **nowa cena 346 zł** z kodem: **5kwi26** --> **5% zniżki**
Odbiór w Żabce	Roczna	~~cena 688 zł~~ **nowa cena 618 zł** z kodem: **10kwi26z** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 368 zł~~ **nowa cena 348 zł** z kodem: **5kwi26z** --> **5% zniżki**

Zamówienie prenumeraty z dostawą przez Paczkomat InPost oraz z odbiorem w Żabce można dokonać **TYLKO** przez konto w serwisie TygodnikPowszechny.pl

Poczta	Roczna	~~cena 687 zł~~ **nowa cena 617 zł** z kodem: **10kwi26p** --> **10% zniżki**
	Półroczna	~~cena 367 zł~~ **nowa cena 347 zł** z kodem: **5kwi26p** --> **5% zniżki**

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

Rachunek bankowy do wpłat: Bank Pekao SA, nr konta: **49 1240 4533 1111 0000 5431 1987**

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00), adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 94d9ff4ce5



SAMMLUNG HUBMANN / IMAGNO / FORUM



ŚLĄSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Pocztówka z Mysłowic (wtedy: Myslowitz) sprzed I wojny światowej: tzw. trójstyk granic Niemiec, Rosji i Austro-Węgier.

Po lewej: emigranci z Galicji przed pociągiem z Mysłowic do Hamburga, 1902 r.

Po prawej na dole: plakat Niemieckiego Komitetu ds. Międzynarodowego Zwalczania Handlu Kobietami, skierowany „do emigrujących dziewcząt" i ostrzegający je przed zagrożeniami.

Brama ciemności

RAFAŁ RYSZKA

HISTORIA KRYMINALNA | Jeffrey Epstein miał prekursorów przed I wojną światową: kluczowe dla handlu kobietami z Europy Środkowej w celach seksualnych były Mysłowice, styk trzech zaborów.

Na przełomie wieków XIX i XX Europa miała swój punkt krytyczny. Zwany *Dreikaiserreichecke*, Zakątek Trzech Cesarstw, leżał nad rzeką Przemszą, na pograniczu Górnego Śląska i Zagłębia. Była to nie tylko osobliwość polityczno-geograficzna (styk granic Prus, Rosji i Austro-Węgier), ale też „śluza", przez którą przetaczała się masa ludzka. Opuszczając galicyjskie i rosyjskie wsie, wyruszała w świat za lepszym życiem.

W ten sposób Mysłowice, położone właśnie tam, stały się na przełomie wieków jednym z największych punktów tranzytowych w Europie. W latach 1900-14 przez tutejszą stację kolejową przeszło, według oficjalnych danych, prawie półtora miliona ludzi. Stacja była wydajna i nowoczesna. Dysponowała łaźniami, punktami rejestracyjnymi, miejscami noclegowymi, stołówkami i biurami wielkich linii oceanicznych, jak Hapag czy Norddeutscher Lloyd.

Niewielkie wówczas miasto stało się jednym z najważniejszych miejsc dla agencji spedycyjnych na mapie świata. Stąd emigranci mogli dojechać koleją prosto do portów Hamburga, Bremy, Antwerpii i dalej za ocean, do Nowego Jorku, Buenos Aires, Rio de Janeiro czy Baltimore.

Jednak dla wielu Mysłowice nie były tylko przystankiem w drodze do raju, lecz miejscem, gdzie ich życie zostało sprzedane – za kilka rubli lub marek.

PUŁAPKA IDEALNA | W tym chaosie, huku parowozów i gwarze różnych języków wyrosły fortuny budowane na najstarszym towarze świata: ludzkiej nadziei. Na szczycie tej piramidy stali ludzie, którzy opanowali sztukę żonglowania prawem i korupcją.

Był personifikacją zbrodni w białych rękawiczkach: Max Weichmann, agent linii oceanicznych, szanowany przedsiębiorca z koncesją na sprzedaż biletów transatlantyckich. Jego biuro w Mysłowicach było pułapką idealną. Gdy zgłaszała się do niego samotna kobieta, nie musiał używać siły. Starczyło kłamstwo: „Do Nowego Jorku nie ma już miejsc, ale mam ostatni bilet do Argentyny. Tam znajdzie pani pracę w znanej mi szwalni".

W ten sposób, fałszując przy okazji dokumenty, Weichmann wysyłał ofiary prosto w objęcia przestępczej organizacji Zwi Migdal w Buenos Aires. Kierowali nią stręczyciele i właściciele domów publicznych, specjalizujący się w przemycaniu kobiet z Europy Wschodniej. Członkami gangu byli Żydzi z ziem polskich, a ich ofiarami w większości polskie Żydówki.

ŁOWCY KOBIET | Inny styl reprezentowali bracia Adolf i Izaak Lubelscy. Stworzona przez nich sieć werbowników opierała się na „strykerach", przedstawicielach terenowych, „czarusiach" o miłej aparycji. Przeczesywali oni biedne regiony Galicji i Kongresówki, obiecując młodym, niewykształ-

eprasa.pl 94d9ff4ce5

conym i zdesperowanym kobietom awans społeczny i pracę za oceanem jako guwernantki, kelnerki, szwaczki czy sprzątaczki.

Werbunek kobiet był procesem psychologicznym, który dziś nazwalibyśmy groomingiem. Agenci Lubelskich operowali obietnicą dostatku, ujmowali uśmiechem, chęcią pomocy i złudną obietnicą. Jeśli dziewczyna nie miała paszportu, co było powszechne, załatwiali jej fałszywy dokument. Oferowali ubranie, tymczasowe zakwaterowanie, przejazd. Roztaczali przed nią hipnotyzujące perspektywy.

W tym momencie ofiara stawała się zakładniczką: była im winna pieniądze, co zmuszało ją do posłuszeństwa. Finał był tragiczny: zamiast obiecanych posad, kobiety trafiały w ręce męskich drapieżników, którzy bez skrupułów szantażowali je i wykorzystywali.

DOBRA CIOCIA | Inną metodą było oszustwo „na sztil" – ciche, fikcyjne małżeństwo. Agent brał pozorowany ślub z dziewczyną, często opłacając wcześniej długi jej rodziny, co budowało dług wdzięczności i kobiety, i jej rodziny. Po ceremonii „mąż" zabierał „żonę" w podróż do lepszego świata.

Pierwszym przystankiem były Mysłowice. Tu czar pryskał. W prywatnych mieszkaniach Lubelskich dochodziło do „łamania" ofiar. Jeśli dziewczyna nie miała paszportu, handlarze załatwiali fałszywe papiery za wielką na owe czasy kwotę 30 rubli. Ofiara stawała się niewolnicą długu. Ostatecznie bezradne i zastraszane kobiety trafiały do domów publicznych w Brazylii, Argentynie lub USA.

Ważnym elementem powodzenia tego procederu była obecność kobiet w siatce przestępców. Dokumenty wachmistrza Franciszka Halemby – jedynego sprawiedliwego w mysłowickiej policji – wspominają o postaciach takich jak Sara Osiecka. Podawała się za właścicielkę bezpiecznego pensjonatu, była „dobrą ciocią", która koiła nerwy dziewcząt, uspokajała, usypiała czujność. Te bez oporu ruszały w kolejne etapy swojej gehenny.

GATUNEK NAJGORSZY | Problem zauważała ówczesna prasa. Choćby wydawana we Lwowie „Gazeta Kościelna", która w kwietniu 1913 r. przestrzegała czytelników: „Anormalne stosunki wychodźcze w Galicyi. Wyzysk, uprawiany na naszych emigrantach, nie byłby jeszcze tak straszną klęską, gdyby nie plaga tysiącznej rzeszy pokątnych agentów emigracyjnych, grasujących w najdalej nawet odległych zakątkach".

I dalej: „Już sam wyraz pokątny agent emigracyjny – a innych agentów emigracyjnych prawie że niema, bo prawo austryackie nie uznaje agentów emigracyjnych – dowodzi, że jest to człowiek nie szanujący prawa, nie posiadający ustalonych kwalifikacyi do spełniania funkcyi agenta, że jest to samozwaniec. Agenci emigracyjni w Galicyi należą zazwyczaj do ludzi najgorszego gatunku".

ZMOWA MILCZENIA | Max Weichmann stworzył w Mysłowicach system korupcyjny, który można nazwać parasolem ochronnym. Naprzeciw dworca znajdowała się restauracja, w której miejscowi urzędnicy i policjanci jedli i pili na jego koszt. Za to wyżsi urzędnicy, jak burmistrz czy skorumpowani rajcy miejscy, otrzymywali za swoje milczenie bardziej wyrafinowane gratyfikacje: od gotówki po luksusowe serwisy stołowe.

Sieć wzajemnych długów, przysług i wspólnego biesiadowania sprawiała, że protesty i wołania o pomoc stawały się dla żandarmów niesłyszalne. Współudział stróżów prawa potęgował poczucie bezsilności i beznadziei. Gdy czasem zmowa milczenia była przerywana, gdy pojawiały się doniesienia o handlu ludźmi, prokuratura – związana towarzysko z elitą miasta – regularnie umarzała śledztwa, twierdząc, że nie dopatruje się znamion przestępstwa.

W morzu bezimiennych ofiar przetrwało nazwisko Dwojry Sznycer. Jej historia stała się symbolem, który wyrwał Europę z letargu. Pochodząca z biednej rodziny pod Tarnowem, uwiedziona przez agenta obietnicą małżeństwa, została przepchnięta przez Mysłowice pod fałszywym nazwiskiem. Dopiero w Buenos Aires, zamknięta w domu publicznym, zrozumiała, że jej „mąż" jest jej właścicielem.



STAATSARCHIV BREMEN

Dwojra była jedną z nielicznych, którym udało się uciec i zeznawać przed międzynarodowymi komisjami, m.in. Jewish Association for the Protection of Girls and Women. Jej relacje zmusiły władze w Berlinie do reakcji. Ale była to reakcja spóźniona i powierzchowna.

PROCES PO LATACH | Każdy mroczny system ma swojego antagonistę, który zwykle kończy tragicznie. W Mysłowicach był nim wachmistrz Franciszek Halemba. Ten miejscowy policjant jako jedyny nie dał się zaprosić na obiady Weichmanna. Z uporem dokumentował, przesłuchiwał ofiary i próbował przebić się przez mur milczenia. Reakcja systemu była skuteczna. Gdy Halemba dotarł zbyt wysoko, protektorzy Weichmanna sprawili, że został oskarżony o niesubordynację i wyrzucony ze służby.

W końcu jednak doszło do procesu Samuela Lubelskiego i jego wspólników. Stało się to w Bytomiu w 1914 r. Prasa wiele sobie po nim obiecywała: obnażono mechanizmy handlu kobietami, pokazano skalę (tysiące kobiet rocznie). Ale wyroki były niskie: kilka lat więzienia uznano za próbę zamiecenia sprawy pod dywan.

Państwo pruskie, stojące u progu wojny, nie mogło pozwolić sobie na przyznanie, że jego struktury w Mysłowicach były skorumpowane. Najpotężniejsi protektorzy handlarzy nigdy nie zasiedli na ławie oskarżonych.

Dziś, patrząc na wody Przemszy, warto pamiętać, że pod ich spokojną powierzchnią kryje się pamięć o tysiącach kobiet, dla których Mysłowice były ostatnim miejscem, gdzie miały imię i nadzieję. Pozostała po nich lekcja, że walka z handlem ludźmi to w istocie walka z systemem, który za odpowiednią cenę obiecuje odwrócić wzrok. ©

RAFAŁ RYSZKA *jest autorem książki „Przemsza. Opowieści z czasów przełomu".*
W tekście wykorzystano m.in.: Michał Starczewski „Z dziejów emigracji zarobkowej: agenci emigracyjni na ziemiach polskich przed 1914 r." i Radosław Antonów „Drogi hańby. Piśmiennictwo polskie przełomu XIX i XX wieku o handlu żywym towarem".

eprasa.pl 94d9ff4ce5

WOJCIECH

Bonowicz: *Lekcja poezji*



Zaczynam dzień od przeczytania wiersza. To może być wiersz, który czytałem wielokrotnie, i taki, który czytam po raz pierwszy. Wiersz kogoś, kto żył wiele wieków temu, i kogoś, kto dopiero wchodzi do literatury i właśnie przysłał mi swoją pierwszą książkę. Wiersz długi, jak „Bema pamięci żałobny rapsod", albo całkiem krótki, jak notatki Mirona Białoszewskiego czy Krystyny Miłobędzkiej. Wiersz „jasny jak spojrzenie w oczy" i „prosty jak podanie ręki" (Staff) albo taki, co „traci pamięć za rogiem ulicy" (Sosnowski) i trzeba razem z nim poszukać kierunku. Każdy wiersz jest dobry na dzień dobry. Każdy dzień jest dobry dla choćby jednego wiersza.

Taki przeczytany wcześnie rano wiersz określa nastrój dnia lub przynajmniej przedpołudnia. Jeśli jest pogodny, pozwoli znieść poranny wysyp złych wiadomości. Z kolei ciemny i trudny w interpretacji sprawi, że byle co nie namiesza mi w głowie. Zaczynam dzień od nastrojenia uwagi. Na co się nastawię? Jak będę dziś widział i słyszał świat? Zaczynam dzień od nastrojenia instrumentu, jakim jest język. To delikatny instrument, z którym trzeba się delikatnie obchodzić. Choć wielu z nas – mam wrażenie – po prostu bierze go do rąk, rąbie weń i twierdzi, że gra.

Z tego samego powodu, dla którego zaczynam dzień tak a nie inaczej, lubię też rozmawiać o wierszach. W tarnobrzeskim liceum omawiałem niedawno z uczniami takie wiersze, które krążą wokół pytania: czym jest poezja? Czym powinna być? Julian Kornhauser napisał na ten temat krótki utwór zatytułowany „Traktat poetycki":

Wiele dałbym za to, żeby
ten wiersz był pudełkiem
zapałek, odkrytą lampką
na biurku, kwitkiem z pralni.
To marzenie czyni mnie
poetą.

Tytuł jest oczywiście przewrotny; poezja zawsze stara się odrobinę „przewrócić" zastaną rzeczywistość, a zwłaszcza rozmaite przeświadczenia na własny temat. Czesław Miłosz napisał obszerną wierszowaną rozprawę o poezji, którą nie bez powodu nazwał traktatem. Kornhauser pod tym samym tytułem zamieścił dwuzdaniowy opis pewnego marzenia. Otwierające wiersz sformułowanie: „Wiele dałbym za to..." sugeruje, że nie chodzi o coś ulotnego, myśl niezobowiązującą, efektowny pomysł, który dziś ma, a jutro nie będzie mieć znaczenia.

Wiersz Kornhausera jest bardzo mocną deklaracją: chciałbym, żeby to, co piszę, było tak konkretne – i potrzebne – jak rzeczy, które leżą na moim biurku. Każda z wymienionych rzeczy służy sprawie powszedniej, a jednocześnie posiada wartość symboliczną. Zapałki to ciepło, lampka światło, kwit z pralni to czystość lub zobowiązanie. Zauważmy jednak, że poeta nie odwołuje się do żadnego z tych abstrakcyjnych znaczeń. Wskazuje konkretne przedmioty i na tym poprzestaje. Chciałbym, żeby wiersz był rzeczą wśród innych rzeczy, mówi. Taką rzeczą, która jest pod ręką, która jest przydatna, a nawet niezbędna w codziennym życiu.

Wśród wymienionych przedmiotów zwraca uwagę zwłaszcza odkryta lampka. Najdosłowniej – to lampka, która nie ma klosza, naga żarówka wkręcona w podstawę. A więc taka lampka, która świeci i jednocześnie razi. Która nie koncentruje światła, lecz pozwala mu się rozproszyć. Oświetla nie tylko tekst, ale i otoczenie. Samo słowo „odkryta" działa na wyobraźnię: kojarzy się z wolnością, z odwagą poszukiwań. Czasem – mówiliśmy podczas spotkania – jedno słowo potrafi poruszyć cały tekst. Jest jak lampka, która oświetla wszystkie inne znaczenia.

Oczywiście najważniejszym słowem w wierszu Kornhausera jest to, które pada jako ostatnie. Cały wiersz – nawet graficznie – sprowadza się do niego lub na nim spoczywa. Wcześniejsze wersy są mniej więcej równe, jedynie ten ostatni jest wyraźnie krótszy, zawiera tylko jedno słowo. Poetą jest ktoś, kto marzy – ale o czym?

Poezję często łączono z marzeniem. I dziś też patrzy się na piszących wiersze jak na marzycieli. Mimo ogromnych zmian, jakie dokonały się w poezji w ciągu ostatnich dziesięcioleci, pewne nawyki pozostały niezmienne. Poeta to w oczach wielu swoisty uciekinier z tego świata, który ewentualnie może zabrać nas ze sobą. A to przecież nieprawda. Jeśli poeta marzy – pisał Kornhauser przeszło pół wieku temu – to nie o tym, by uciec, ale aby być blisko, obok, rozumieć i świadczyć.

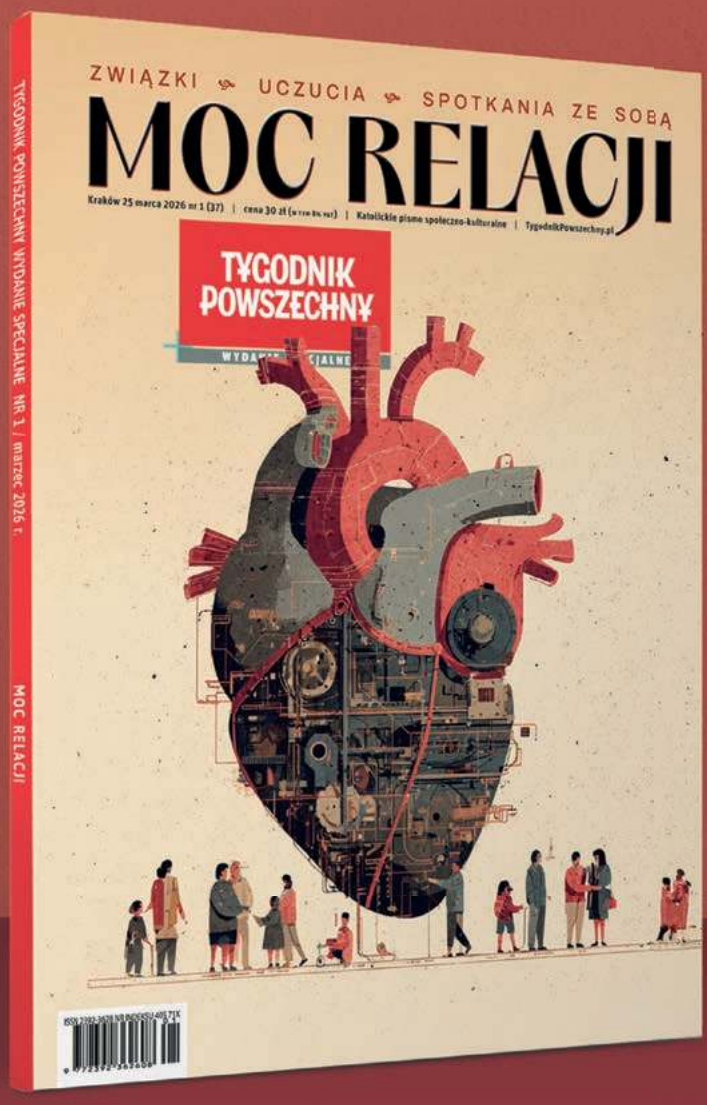
Zaczynam dzień od czytania wiersza. I bywa, że również w ten sam sposób dzień kończę. Po zmywaniu naczyń, wieczornych ablucjach, modlitwie. Jakiś tom wierszy leży zawsze na nocnym stoliku obok listy spraw, które muszę załatwić kolejnego dnia. Obok lekarstw, telefonu i lampki, którą gaszę przed zaśnięciem. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

eprasa.pl 94d9ff4ce5

TYGODNIK POWSZECHNY

Najnowsze wydanie specjalne o psychologii relacji



Zamów:
sklep.TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 94d9ff4ce5



PODRÓŻUJ PIESZO, A ŚWIAT SIĘ OTWORZY

WERNER HERZOG, REŻYSER:

Pragnienie odkrycia nieznanego to rzecz głęboko ludzka. „Sny o słoniach" nie są filmem o przyrodzie, lecz o potędze fantazji.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

Łączy się ze mną z Los Angeles. Siedzi na tle dwóch masywnych regałów, półki uginają się pod ciężarem książek i segregatorów. Dopiero co wrócił z Austrii, gdzie skończył zdjęcia do kolejnego filmu. „Bucking Fastard" zainspirowała historia sióstr Grety i Fredy Chaplin, zagrają je Kate i Rooney Mara.

To pierwszy film fabularny, jaki nakręcił od siedmiu lat, równolegle pracuje nad kolejnym dokumentem. Nie widać jednak po nim zmęczenia, tłumaczy, że pomimo nagromadzenia spraw, nie czuje się przepracowany. Po prostu szczerze kocha to, co robi. Jego życiorysem można by obdarzyć kilka, jeśli nie kilkanaście osób.

Kiedy pytam, o czym będzie opowiadał jego kolejny dokument, słyszę, że o życiu, niczym więcej. Pytam więc dalej, czym dla niego jest życie. Werner Herzog z właściwym sobie przekąsem odpowiada: „zobaczysz, kiedy obejrzysz film". Zanim do tego dojdzie, na festiwalu Millennium Docs Against Gravity odbędzie się polska premiera jego ostatniego dokumentu – „Sny o słoniach".

MATEUSZ DEMSKI: Co Pan myśli na widok słonia stojącego w Narodowym Muzeum Historii Naturalnej w Waszyngtonie? To obraz, który otwiera Pański nowy film.

WERNER HERZOG: Mam nieodparte wrażenie, jakbym patrzył na Moby Dicka – tego mistycznego, białego wieloryba z powieści Melville'a. Książkowi bohaterowie chcieli odnaleźć go za wszelką cenę, nie bacząc na jego rozmiary i niebezpieczeństwo. Wiedzieli, że mogą zginąć. Dla mnie to niezbity dowód na to, że w ludzkiej naturze tkwi niepohamowana ciekawość. To podstawa naszego istnienia.

Kiedy poznałem dr. Steve'a Boyesa, odkrywcę i naukowca tropiącego największe istoty żyjące na Ziemi, czyli krewnych słonia z muzeum w Waszyngtonie, ujrzałem w nim kapitana Ahaba, który poszukiwał Moby Dicka. Ta analogia wydała mi się uderzająca. W jednym i drugim przypadku tematem jest wyprawa w poszukiwaniu nieznanego. Dziwna ludzka misja.

W 1955 r. na łamach amerykańskiej prasy pojawiło się zdjęcie kłusowników na tle zabitego słonia, tego samego, którego oglądamy w muzeum. Tytuł brzmiał: „Największy słoń, jakiego kiedykolwiek zabito".

Częścią tego, co czyni to zwierzę tak niezwykłym i rzadkim, jest aura tragedii. Hipnotyzuje, ale nie daje ukojenia. Narodowe Muzeum Historii Naturalnej to swoją drogą bogate źródło inspiracji. Ale to gigantyczne, majestatyczne zwierzę, które tam stoi, jest wypchane.

Nadano mu imię Henry.

W Angoli, a dokładnie w rejonie Płaskowyżu Bije, nazywanego „wieżą wodną" Afryki, gdzie powstawał nasz film, ludzie wierzą, że są spokrewnieni z tymi zwierzętami. Legenda ludu Nkangala głosi, że człowiek rodzi się ze słonia.

Dawno temu jeden mały słoń odłączył się od stada, zanurzył w rzece, zrzucił skórę i oczom miejscowych łowców ukazała się kobieta, która dała życie przyszłym pokoleniom.

Są to rzeczy dla nas dość abstrakcyjne, ale kiedy stajesz przed tym zwierzęciem, wyczuwasz w nim coś znajomego. Co to jest? To tajemnica. Wierzę jednak, że sama świadomość tego, że wywodzimy się z jednej linii, jest lepszym gwarantem bezpieczeństwa niż uzbrojony strażnik.

Zastanawia mnie, jak to możliwe, że ten słoń wciąż wita turystów.

Wolę spojrzeć na to inaczej. Paradoksalnie, wystawienie na widok publiczny zwierzęcia, którego z premedytacją pozbawiono życia, powinno jeszcze wyraźniej uświadomić nam skalę tragedii. Dostajemy sygnał ostrzegawczy: to właśnie zniszczyliśmy. W pewnym sensie straciliśmy naszą przyszłość.

Nazwisko tego, który pociągnął za spust, jest znane światu. Był to Josef J. Fényközi, inżynier i kłusownik węgierskiego pochodzenia, który polowanie uznawał za swoją pasję. Spotkał Pan kogoś takiego?

Na Płaskowyżu Bije nie ma kłusowników. Polowanie na słonie zostało tam zabronione, miejscowi również tego przestrzegają i chronią ostatnie ślady dzikiej przyrody. Nawet ogromne, powalone drzewo ma tam swoich lokalnych strażników.

Na Alasce spotkałem Inuitów, którzy mogą polować na wieloryby legalnie, ale tylko dlatego, że robią to z konieczności. Zwierzę jest dla nich źródłem pożywienia. Nie trofeum, nie rekordem do pobicia.

Niemal wszystkie Pana filmy opowiadają o ludziach sięgających po niemożliwe, dążących do urzeczywistnienia własnych fantazji. Kiedy patrzę w oczy doktora Boyesa, widzę człowieka owładniętego obsesją.

Obsesja nie jest właściwym słowem. Górę bierze tu ciekawość i szacunek wobec tego, co istnieje. Ważne, byśmy dokonali takiej oceny, zanim zdecydujemy się osądzić tego człowieka. Nie wyczuwam w nim chorobliwego popędu ku autodestrukcji. Wręcz przeciwnie – robi to, by chronić te zwierzęta. Tym, co napędza Boyesa, nie jest ambicja ani żądza zabijania, ale nienasycony głód życia.

I pokusa odkrywania.

Cóż, myślę, że poszukiwania nieznanego, tak samo jak dążenie do niemożliwego, to rzecz głęboko ludzka. Nie ma w tym nic złego, póki mamy pewność, że niczego nie niszczymy, nie odbieramy prawa do życia innym istotom. „Sny o słoniach" nie są filmem o dzikiej przyrodzie, a o naszych marzeniach i potędze fantazji.

W pewnym momencie pyta Pan Boyesa, jak duże dla niego ma znaczenie to, czy słonie są tylko jego fantazją, czy istnieją naprawdę. Odpowiada: „może to nawet lepiej, gdyby ta sprawa pozostała nierozwiązana, bo wtedy już zawsze będą żyły we mnie".

Powiem o czymś niezwykłym, o czym zwykle się nie mówi, a co dla mnie stało się sednem tej historii. Doktorowi Boyesowi udaje się w końcu sfilmować jednego ze słoni-duchów telefonem komórkowym, podczas gdy nasza główna kamera akurat towarzyszyła innej grupie tropicieli. Wreszcie ma niezbity dowód na poparcie swoich tez i poszukiwań.

Komentarz, który napisałem do tej sceny, brzmi: „Steve Boyes będzie musiał teraz żyć ze swoim sukcesem".

Ale pozbawiony marzeń.

To znaczy mniej więcej to samo, co powiedzieć: „teraz musisz żyć ze swoją porażką". Bo w tym przypadku sukces może nie jest największą ze wszystkich rzeczy. ↦

Werner Herzog, 2021 r.

MATERIAŁY PRASOWE AGAINST GRAVITY

eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ Pewnego rodzaju złudzeń potrzebujemy po prostu jako ludzkość. Zaczyna się w dzieciństwie, od baśni, które zajmują potem stałe miejsce w naszej psychice. W porządku jest wierzyć w świętego Mikołaja, kiedy jest się dzieckiem. Tak samo jak w elfy, liliputy i olbrzymy.

Ale wszystkie teorie spiskowe wyznawane przez dorosłych, wiara w obce istoty, są pewną koniecznością cywilizacji, która potrzebuje naiwnego, uproszczonego obrazu rzeczywistości. Warto zadać sobie kilka pytań, na przykład: czemu miliony Amerykanów miały doświadczyć bliższego spotkania z kosmitami? Dlaczego 300 tysięcy Amerykanek miałoby zostać porwanych i wykorzystanych przez przybyszów z innej planety? I wreszcie – po trzecie – dlaczego nie słyszeliśmy o podobnych przypadkach w Etiopii?

Mówimy o mitologii Stanów Zjednoczonych?

To nie tylko amerykański mit. Pod tym kryje się coś więcej. Ma to związek z wysoce stechnicyzowaną cywilizacją, która odczuwa lęk i niepokój w systemie czystej logiki, komputerów i liczb. To swojego rodzaju eskapizm. W ten sposób pokazujemy gorączkową temperaturę społeczeństwa, które choruje.

Może po prostu potrzebujemy w coś wierzyć?

Nie przeczę, że jest w tym pewien urok, sam jestem opowiadaczem historii. Ale nie oferuję gotowych recept. Zastanawiam się nad tym, co widzę dookoła. Nie mam w sobie pewności.

W „Inferno" pokazał Pan mieszkańców Vanuatu na Oceanie Spokojnym, którzy wierzą, że w ogniu pod wulkanem żyją duchy. W filmie „Ogniste kule: goście z odległych światów" poznajemy Aborygenów, dla których krater powstały po uderzeniu asteroidy to miejsce święte. Ich wiara jest powodowana siłami natury.

Ci ludzie nie wierzą w moc natury. Powiem więcej: nigdy nie mówią wprost o naturze, bo nie wiedzą, czym ona jest. Są po prostu częścią świata, a świat jest dla nich jednością. Nie tworzą rozgraniczenia na człowieka i całą resztę. „Natura" to tylko kolejny kulturowy konstrukt.

Najlepsze dokumenty Herzoga

▪ **POD WULKANEM** (1977)
Rok 1976. Na karaibskiej Gwadelupie w każdej chwili może dojść do erupcji wulkanu Soufrière; szacuje się, że silniejszej niż moc bomby, która spadła na Hiroszimę. Ewakuowano 70 tys. osób, oprócz kilku mężczyzn, którzy odmówili ucieczki i zostali na wyspie. Herzog sprawdza, kim są ludzie skazujący samych siebie na niechybną śmierć. Jak to możliwe, że w obliczu zagrożenia towarzyszy im spokój? I wreszcie – dlaczego pierwotny odruch, instynkt przetrwania, w ich przypadku nie zadziałał?

▪ **REKOLEKCJE NA TEMAT MROKU** (1992)
Efekty I wojny w Zatoce Perskiej były omawiane przez niezliczonych specjalistów, na ich temat powstały serie reportaży i programów telewizyjnych. Herzog zamiast relacjonować wydarzenia na Bliskim Wschodzie, nadaje im wymiar symboliczny. Ten film wykracza poza ramy tradycyjnie pojętego dokumentu – stanowi rodzaj medytacji nad zniszczeniem i śmiercią, to traktat filozoficzno-religijny o piekle zaczynającym się tu, na Ziemi.

▪ **GRIZZLY MAN** (2005)
Przez lata Herzog był zaprzątnięty kwestią granic ludzkiego doświadczenia, ale też tego, czy człowiek jest w stanie znieść barierę oddzielającą go od innych gatunków. W filmie „Grizzly Man" pokazuje człowieka, który 13 lat żył z niedźwiedziami w samym sercu tajgi, aż został przez nie rozerwany na strzępy. Herzog odnajduje w tej historii metaforę naszej cywilizacji z jej lekceważącym stosunkiem do sił natury.

WERNER HERZOG
– jeden z najwybitniejszych reżyserów, czołowy twórca Nowego Kina Niemieckiego. Filmy dokumentalne realizuje od początku lat 60. Ostatni, „Sny o słoniach", pokazywany w Polsce premierowo na festiwalu Millennium Docs Against Gravity (bilety dostępne od 23 kwietnia), opowiada o poszukiwaniach olbrzymich słoni-duchów w Angoli. Do kin trafi 12 czerwca.

Mamy z nimi coś wspólnego?

Raczej nie, zbyt daleko odeszliśmy od naszych korzeni. Zacząłem to w pełni dostrzegać, kiedy spotkałem się z ludami koczowniczymi. Najprawdopodobniej wiele problemów z naszą cywilizacją, z jej destrukcyjną naturą, wynika właśnie z porzucenia wędrownego trybu życia. Nie możemy jednak cofnąć się w czasie i na powrót stać się koczownikami. O tym zaniechaniu wędrówki mówił pisarz Bruce Chatwin, ja widzę świat w podobny sposób.

Sam nie jestem zwolennikiem turystyki, za podróżami jako takimi – w rozumieniu przemieszczania się transportem dalekobieżnym – nie przepadam. To praca mnie do tego jeżdżenia zmusiła, to moje historie zagnały mnie w tak dalekie podróże. Niestety, niektórych odległości nie da się pokonać na piechotę, a już na pewno nie w moim wieku.

„Natura nasza jest w ruchu" – pisał Pascal.

Bo bycie w ruchu jest naturalnym sposobem połączenia ze światem. Świat otwiera się przed tymi, którzy podróżują pieszo. W ten sposób zostaliśmy stworzeni jako ludzie, robiliśmy to przez dziesiątki tysięcy lat. Teraz staliśmy się osiadli, rozrastamy się, rozwijamy miasta i technologie, ale to wszystko, jak sądzę, jest aktem samobójczym.

Na Ziemi żyje 9 miliardów ludzi, potrzebujemy zasobów, które przewyższają to, co jest w stanie zaoferować nam planeta. Dlatego nasze istnienie, jako gatunku, nie będzie zbyt długie.

Potrafi Pan sobie wyobrazić świat bez ludzi?

Bez najmniejszego problemu. Pewnego dnia po prostu znikniemy jak dym, bez śladu. Nie spędza mi to snu z powiek, nie widzę powodu, dla którego miałoby mnie to niepokoić.

Doktor Boyes twierdzi, że być może przyszłością wszystkich zwierząt i całej dzikiej przyrody jest bycie niczym więcej jak tylko snem.

W pełni się z nim zgadzam. Nie wiem, czy to się udało, ale próbowałem pokazać to w scenie, w której kamera patrzy na słonie spod wody. Widzimy tylko masywne nogi zatopione w mule, zwierzę jest niewyraźne, towarzyszy temu jakaś nieracjonalna aura.

eprasa.pl 94d9ff4ce5



MATERIAŁY PRASOWE AGAINST GRAVITY

Kadr z filmu „Sny o słoniach", reż. Werner Herzog, dystr. Against Gravity

Czas zwalnia ponad wszelką miarę. Światło słońca odbija się w wodzie, migocze. Życie zamienia się w miraż. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś podobnego, tak przepięknego ujęcia. Nie zgodziłbym się go usunąć. Bez niego nie byłoby tego filmu.

Ale jednocześnie nie romantyzuje Pan natury.

Nie jestem zwolennikiem „disneyizacji" dzikiej natury. Ta nieznośna infantylizacja rzeczywistości pociąga masy, dostrzegam ją wszędzie, ale zajmuję zupełnie inne stanowisko. To zresztą główny temat mojego filmu „Grizzly Man". Filozoficzne nieporozumienie, czym tak naprawdę jest świat wokół nas.

Dzika natura jest po prostu dzika. Nie ma żadnych cech. Nie jest ani dobra, ani zła. Nie ma w sobie nic z harmonii, perfekcji. Po prostu istnieje. Kiedy więc spotykasz niedźwiedzia na swojej drodze, to nie jest to niedźwiadek z filmu animowanego. Nie nucisz mu piosenek, jak robił to Timothy Treadwell. Nie próbujesz go utulić. Lepiej, żebyś go szanował, jeśli chcesz ujść z życiem.

A Pan się boi?

Nic z tych rzeczy. Nie ma we mnie strachu, ale szanuję granice stada bizonów. Szanuję granicę lwa i niedźwiedzia grizzly. Nie naruszam wolności drugiego stworzenia.

„Sny o słoniach" to również opowieść o snach. Myśli Pan, że słonie też marzą?

Nie wiem tego z całą pewnością, ale to całkiem prawdopodobne. Można to dostrzec, kiedy zasypiają na stojąco, wydają wtedy dźwięki, jakby coś widziały, ich świadomość przechodzi w inny stan. To bardzo tajemniczy widok. Ale o czym śnią te zwierzęta, jakie mają marzenia, tego zapewne się nie dowiemy. Tajemnica pozostanie tajemnicą.

© Rozmawiał MATEUSZ DEMSKI

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, 1 Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 323/23 toczy się sprawa o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości gruntowej położonej w miejscowości Warszawa, rejon ul. Włodarzewskiej, oznaczonej na mapie do zasiedzenia sporządzonej w dniu 7 marca 2025 roku przez geodetę uprawnionego mgr inż. Izabelę Łapińską jako dz. ew. nr 13/28 z obrębu 2-03-12 o pow. 0,0182 ha pochodząca z dz. ew. nr 13/26 z obrębu 2-03-12 o pow. 0,1150 ha, dla której Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa w Warszawie prowadzi księgę wieczystą KW nr WA1M/00568236/6. Posiadaczem opisanej nieruchomości jest Barbara Łapińska, w przeszłości wraz ze Zdzisławem Łapińskim.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m. st. Warszawy w Warszawie i wykazali swoje prawo własności, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie nieruchomości, jeżeli zostanie udowodnione.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

W stronę tęczy

PAULINA FRANKIEWICZ

POLECAMY | Na rynku książki widać wzrost zainteresowania tematyką *queer*. Nieheteronormatywność stała się tłem opowieści o relacjach, które, bez względu na tożsamość bohaterów, wszyscy przeżywamy podobnie.

Literatura opisująca uczucia i relacje osób nieheteronormatywnych to w Polsce zjawisko stosunkowo nowe. Przełomem były pierwsze głośne tytuły dla młodzieży z bohaterami LGBTQIA+, jak „Fanfik" (2016) Natalii Osińskiej, na podstawie którego Netflix nakręcił w roku 2023 film.

Osińska otworzyła przestrzeń dla opowieści mówiących wprost o doświadczeniach młodych osób, które mierzą się z poczuciem odmienności. Sukces jej powieści przyczynił się też do powrotu – długo ignorowanej przez wydawców – literatury młodzieżowej. W kolejnych latach obserwowaliśmy już falę queerowych publikacji z nurtu Young Adult, a po roku 2020 gatunek wszedł na dobre do wydawniczego mainstreamu.

Dziś na półkach księgarń znajdziemy mnóstwo opowieści, w których queerowość nie jest najważniejszym zagadnieniem, a po prostu częścią świata przedstawionego. Ze względu na wielość propozycji, ograniczymy się tu do tytułów z Północnej Europy, które zostały w ostatnim czasie przełożone na język polski. Oto kilka najciekawszych.

Dziwne pomysły

Trzynastoletni bohater obsypanego nagrodami picture booka „O tym można rozmawiać tylko z królikami" (2018), autorstwa szwedzkiej ilustratorki i autorki książek dla dzieci Anny Höglund, miota się w swoim ciałku i umyśle, próbując ustalić, kim naprawdę jest. Króliczy protagonista nie tylko czuje się inny. Uważa, że jest inny dużo bardziej niż inni. Doświadcza odrębności i wyobcowania, a jednocześnie ma ogromną potrzebę przynależenia i bliskości, odkrywając, że bliskość to tak naprawdę „coś, co należy odnaleźć w sobie". Rzecz absolutnie dla wszystkich.



Anna Höglund, **O TYM MOŻNA ROZMAWIAĆ TYLKO Z KRÓLIKAMI**, *tłum. Katarzyna Skalska, Zakamarki 2018*



Monika Steinholm, **BLIŻEJ JUŻ SIĘ NIE DA**, *tłum. Joanna Barbara Bernat, dziwny pomysł 2021*



Emma Rävås, **TO ZE MNĄ JEST PROBLEM**, *tłum. Aleksandra Brożek-Sala, dziwny pomysł 2023*

Tymczasem niewielka oficyna dziwny pomysł proponuje młodym czytelniczkom i czytelnikom serię książek, których okładki układają się w tęczę. Trudno o bardziej wyrazistą promocję queerowości, jednak temat sześciu powieści (pięciu nordyckich i jednej kazachskiej) jest uniwersalny: to dojrzewanie i burzliwe wchodzenie w dorosłość.

Właścicielka wydawnictwa Joanna Barbara Bernat jest tłumaczką literatury norweskiej i skandynawistką. Jedna z powieści tej serii, „Bliżej już się nie da" (2021), ukazała się w jej przekładzie. Autorka Monika Steinholm, absolwentka studium pisarskiego przy Uniwersytecie w Tromsø, księgarka, opowiada historię Jensa, którego pierwszy chłopak, Niklas, zakochał się w kimś innym. Tak się zdarzyło, że tym kimś jest dziewczyna.

Aby przetrwać trudne chwile, Jens chce, choć jednocześnie nie potrafi, otworzyć się na bliskich i nazwać emocje, które zresztą wciąż się zmieniają, bo oto, bez jakiegokolwiek uprzedzenia, w jego życiu pojawia się Edor. Żeby na nowo komuś zaufać, musi uporządkować własne wnętrze i myśli. Dostajemy tu zatem historię nastoletniej miłości, której streszczenie brzmi banalnie, ale doskonale oddaje intensywność młodzieńczego uczucia zagarniającego myśli i serce.

Szwedzka pisarka Emma Rävås debiutowała powieścią „To ze mną jest problem" (2023), napisaną w ramach zajęć w szkole pisarskiej w rodzinnym Lund. Znów będzie o miłości, tym razem jednak uzależniającej i pełnej przemocy, takiej, od której trudno odejść nawet w dorosłym życiu. Szesnastoletnia Andrea spotyka trzy lata starszą Hedvig, z którą wszystko układa się dobrze... o ile u Hedvig akurat jest wszystko dobrze.

Andrea i Hedvig razem wagarują, przegadują setki godzin, jedzą pizzę i imprezują. Ale to tylko jedna strona ich miłosnej historii. Rävås bezwzględnie obnaża mechanizmy toksycznej relacji, która nie ma płci ani wieku, bez zajmowania pozycji objaśniającej świat, pokazując, jak ważne jest wyznaczanie granic. Nie wiem, czy da się być na tę lekcję zbyt dorosłą.

I jeszcze jedna z tęczowej szóstki wydawnictwa dziwny pomysł: Rakel Helmsdal, farerska pisarka, urodzona w duńskim Tårnby, a na co dzień mieszkająca w Tórshavn na Wyspach Owczych. To autorka z bogatym dorobkiem, pisząca

eprasa.pl 94d9ff4ce5

książki dla dzieci i młodzieży, poezję oraz powieści dla dorosłych. Po polsku ukazała się jej „Dziewczyna, która wiosłowała w stronę tęczy" (2022), pierwsza wydana na naszym rynku pozycja przetłumaczona z języka farerskiego (brawa dla Kingi Eysturland!).

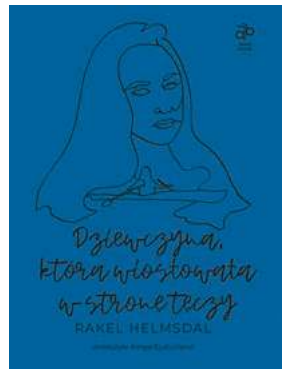
Powieść otwiera scena na łodzi: szesnastoletnia Argantael rwie na strzępy prowadzony od lat dziennik, w którym opisywała naznaczone brakiem dzieciństwo, trudne relacje z rodzicami i rówieśnikami, zawiedzione marzenia. Czytelniczka wypływa wraz z nią na głębokie wody, a wzburzenie i strach sprzyjają retrospekcjom: bohaterka uwikłana jest w skomplikowany emocjonalnie układ z dziewczyną i chłopakiem będącymi przyrodnim rodzeństwem, z którego nie potrafi się wyplątać.

Helmsdal tworzy skomplikowaną bohaterkę, której egzystencjalne zagubienie wynika z narastających, niezaopiekowanych problemów psychicznych oraz nieudanych prób pogodzenia się z własną seksualnością. W szerszym planie to walka o życie – dosłownie i metaforycznie.

Nie jestem taka

Pisarką o ugruntowanej już pozycji tak w Norwegii, jak w Polsce jest Marie Aubert, która w centrum swoich zainteresowań twórczych umieszcza jednostkę w codzienności, a także jej relacje z innymi. Jej debiutancki zbiór opowiadań „Zabierz mnie do domu" (2021) zyskał rozgłos i zapewnił autorce uznanie krytyki oraz czytających. Po polsku dostępne są także dwie powieści Aubert: „Dorośli" (2020) oraz „Wcale nie jestem taka" (2023). Wszystkie książki ukazały się nakładem wydawnictwa Pauza w przekładzie Karoliny Drozdowskiej.

Protagonistka ostatniego z przywołanych tytułów, Hanne, przyjeżdża do rodzinnego miasta w towarzystwie nowej partnerki z okazji uroczystości konfirmacyjnej bratanicy. Nie widziano jej tam od lat, a właściwie od poprzedniego życia, kiedy była postrzegana jako dziewczyna z nadwagą. Powrót, a wraz z nim zerwanie starej i przyklejenie nowej etykietki, stają się bolesnym przeżyciem. Równolegle Aubert wprowadza trójkę pozostałych bohaterów, którzy okazują się zupełnie inni niż... No właśnie: niż obraz, który skrupulatnie kreowali przez lata? Niż wyobrażenie o sobie? Niż oni sami sprzed lat? „Wcale nie jestem taka" to opowieść o przystawianiu luster i obawie, co kto zobaczy w naszych odbiciach, a ostatecznie o lęku przed zbliżeniem.



Rakel Helmsdal, **DZIEWCZYNA, KTÓRA WIOSŁOWAŁA W STRONĘ TĘCZY**, *tłum. Kinga Eysturland, dziwny pomysł 2022*



Marie Aubert, **WCALE NIE JESTEM TAKA**, *tłum. Karolina Drozdowska, Pauza 2023*



Selja Ahava, **ZANIM MÓJ MĄŻ ZNIKNIE**, *tłum. Justyna Polanowska, Aleksandra Wróblewska, Relacja 2024*

Wreszcie Selja Ahava, fińska pisarka oraz autorka scenariuszy dla radia, kina i telewizji. Jej twórczością w Polsce opiekuje się wydawnictwo Relacja, które wydało „Rzeczy, które spadają z nieba" (2021), wyróżnione Europejską Nagrodą Literacką oraz szeregiem rodzimych nominacji i nagród, a także „Kobietę, która kochała owady" (2022) i „Zanim mój mąż zniknie" (2024). Wszystkie książki przetłumaczyła Justyna Polanowska, ostatnią w tandemie z Aleksandrą Wróblewską.

„Zanim mój mąż zniknie" to misternie skonstruowana opowieść o rozpadzie. Ahava oddaje doświadczenie utraty gruntu pod nogami, które staje się naszym udziałem, gdy najbliższa osoba okazuje się nagle kimś obcym. Opisuje emocjonalne zagubienie głównej bohaterki, której mąż po dziesięciu latach małżeństwa ogłasza, że w rzeczywistości zawsze chciał być kobietą. To z perspektywy towarzyszki jego życia doznajemy bezradności, złości i niezrozumienia związanych z potrzebą korekty płci i zmianą rzeczywistości (przeszłej i przyszłej).

Pisarka poszerza fabularny horyzont, przepisując do powieści historię odkrywania przez Kolumba nowych lądów. Utrata tego, co znane, a w konsekwencji niezależna od bohaterki utrata tożsamości przypomina statek spadający poza krawędź mapy oswojonej części świata, gdzie czyhają na nas najstraszniejsze bestie morskie.

Przejmujący jest obraz-paradoks pojawiający się w głowie bezimiennej bohaterki: oto stoi ona piaszczystej plaży i rysuje na mapie wyspę, której nadaje własną nazwę. Istnieje ona i nie istnieje, gdy trzyma w swoich dłoniach cały świat. ©

CONRADFESTIVAL W oczekiwaniu na 18. edycję Festiwalu Conrada spotkaliśmy się w Pałacu Potockich przy krakowskim Rynku Głównym z przywołanymi w tekście autorkami (poza Anną Höglund, o której książce dyskutowała na warsztatach młodzież szkolna). Spotkanie zostało zorganizowane przez Krakowskie Biuro Festiwalowe i Fundację Tygodnika Powszechnego we współpracy z Ambasadą Królestwa Norwegii, Ambasadą Królestwa Danii, Ambasadą Królestwa Szwecji, Ambasadą Finlandii i Ambasadą Islandii. Sfinansowała je Nordycka Rada Ministrów oraz Ambasada Królestwa Norwegii.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 94d9ff4ce5



HERITAGE MALTA / MALTA BIENNALE 2026

Victor Sonna „Holy Rollers – Time Landscape", 2020-2025 r., Fort St Angelo, Il-Birgu

Wyspa Wielkich Mistrzów

PIOTR KOSIEWSKI Z MALTY

WYSTAWA | To Biennale zderza sztukę współczesną z dziedzictwem wyspy. Ale nie oznacza to patrzenia w przeszłość, przeciwnie. Ponadto głos z Polski wybrzmiewa tu wyjątkowo silnie.

Choć wielkie, cykliczne prezentacje sztuki organizowane są od ponad stu lat, to jednak tylko kilka z tych imprez osiągnęło znaczenie wykraczające poza własny kraj czy region. Najstarsze, do dziś największe i najbardziej prestiżowe jest Biennale Sztuki w Wenecji, które po raz pierwszy odbyło się w 1895 r.

Bywały też okresy, w których tego typu prezentacje stawały się szczególnie modne – ostatnio na przełomie XX i XXI w., kiedy to zaczęto organizować m.in. biennale w Stambule (1987), Lyonie (1991), Berlinie (1998) i Singapurze (2006), czy odbywające się za każdym razem w innej części Europy nomadyczne Manifesta (1996).

Niełatwo się wyróżnić spośród dziesiątków podobnych wydarzeń, a w dodatku tego typu międzynarodowe prezentacje stały się cokolwiek podejrzane za sprawą krytyki masowej turystyki, także artystycznej. Niemniej na Malcie postanowiono zorganizować nowe Biennale.

Pierwsze odbyło się w 2024 r. i zgromadziło ponad 100 artystów z 35 krajów. Teraz trwa druga edycja.

Sztuka u Inkwizytora

Twórcy Malta Biennale zaprosili do współpracy Rosę Martínez, cenioną hiszpańską kuratorkę i krytyczkę, która w 2005 r. była dyrektorką artystyczną Biennale w Wenecji. Specjalnym gościem został zaś Maurizio Cattelan, artysta o statusie medialnej gwiazdy.

Nie zawiódł zresztą: pokazał zaskakującą pracę. Efektowną, a jednocześnie prowokującą: pomniejszoną, ale starannie we wszystkich szczegółach odtworzoną wersję Kaplicy Sykstyńskiej. Wchodzący do niej czują, jakby znaleźli się w domku dla lalek. Cattelan gra z pojęciem oryginalności, ale też z modą na muzea immersyjne i z podobnymi ekspozycyjnymi sztuczkami, których autorzy przekonują widzów, że kontakt z cyfrowymi kopiami jest tym samym, co kontakt z arcydziełem, a nawet że dostarcza większych wrażeń.

Spośród tego rodzaju wydarzeń Maltę najbardziej wyróżnia ścisłe powiązanie sztuki współczesnej z własnym dziedzictwem. Poszczególne wystawy są organizowane w kluczowych miejscach na Malcie,

eprasa.pl 94d9ff4ce5

m.in. w Pałacu Wielkiego Mistrza w Valletcie, Pałacu Wielkiego Inkwizytora w Birgu czy w neolitycznym kompleksie świątynnym Ġgantija na wyspie Gozo.

Oglądanie Biennale to jednocześnie podróż po tutejszej historii. Po obiektach, które współcześni Maltańczycy uznają za kluczowe dla swojej tożsamości: niezwykłych budowlach powstałych w neolicie, siedzibach Kawalerów Maltańskich, którzy nie tylko władali Maltą przez trzy stulecia, ale ukształtowali jej oblicze. Wreszcie: po miejscach związanych z II wojną światową – bo obrona Malty przed niemiecką i włoską armią była szczególnym wydarzeniem w jej dziejach, do dziś upamiętnianym. W Narodowym Muzeum Wojny w Forcie St. Elmo w Valletcie w samo południe każdego dnia rozbrzmiewa sygnał alarmu przeciwlotniczego.

Jedną z najciekawszych części tegorocznego Biennale są interwencje artystów w te historyczne przestrzenie. Delikatne obiekty, których autorką jest włoska artystka Concetta Modica, odwołujące się do astrologii, zostały umieszczone m.in. w gablotach obok cennych muzealiów. Wielkoformatowe zdjęcie maltańskiej artystki Therese Debono, przedstawiające fragment współczesnej zabudowy, skontrastowano z ruinami Ġgantiji, których najstarsza część pochodzi z ok. 3600 r. p.n.e.

Zapis akcji Santiago Sierry, artysty znanego z ostrych, społecznie zaangażowanych prac przedstawiających rytuał poniżania, jest odtwarzany na ekranie w Sali Obrad Trybunału Pałacu Wielkiego Inkwizytora w Birgu: stara kobieta w czarnym kapturze z juty siedzi twarzą zwróconą do ściany, napiętnowana, osamotniona. Zaś krótki, przejmujący film palestyńskiej artystki Emily Jacir, pokazujący ratowanie psa przysypanego gruzami podczas jednego z izraelskich bombardowań, znalazł swoje miejsce w oficjalnych, bogato dekorowanych przestrzeniach Pałacu Wielkiego Mistrza.

Nie mniej ciekawym pomysłem było wybranie obiektów z muzealnych zbiorów i specjalne ich wyeksponowanie: datowanego na 3600-2500 p.n.e. neolitycznego modelu świątyni w Muzeum Archeologicznym w Valletcie czy XVIII-wiecznego sztyletu w Starej Zbrojowi Pałacu Wielkiego Mistrza. Na tym ostatnim wygrawerowano tekst: „Połknij moje ostrze i zgiń, psie!" w języku maltańskim, co przypomina o wielowiekowej rywalizacji między lokalną kulturą a włoskimi, a potem angielskimi wpływami. Raptem historyczne dzieła, zazwyczaj pozostające w cieniu znanych obiektów, dzięki włączeniu w ekspozycję Biennale wreszcie mogą przykuć uwagę.

Przeszłość i teraźniejszość

Biennale, tak mocno osadzone w lokalnym, historycznym kontekście, jednocześnie chce poruszać kwestie bardzo aktualne. Trudno o nich zresztą zapomnieć na Malcie, leżącej w samym centrum Morza Śródziemnego, na szlakach łączących Europę z Północną Afryką i Bliskim Wschodem. To szczególne, strategiczne położenie istotnie wpłynęło na jej dzieje i tożsamość.

Impreza – zorganizowana wszak pod hasłem „Clean. Clear. Cut" – stawia pytania o to, w jaki sposób sztuka współczesna może zwiększyć krytyczną świadomość naszej przeszłości i teraźniejszości. Pomóc w przemyśleniu dotychczasowego modelu konsumpcji, pogłębiających się nierówności, gwałtownego przepływu kapitału i technologii.

Organizatorzy namawiają do podjęcia trudu wyjaśniania, zrozumienia rzeczywistości, ale też postulują zmianę kierunku, w którym podążamy. Szukania nowych ścieżek rozwoju społecznego, ekonomicznego, ale także artystycznego. A jednocześnie stawiają pytanie – dziś rzadko podejmowane – w jaki sposób aktualna twórczość może sprzyjać doświadczaniu i czerpaniu przyjemności z piękna.

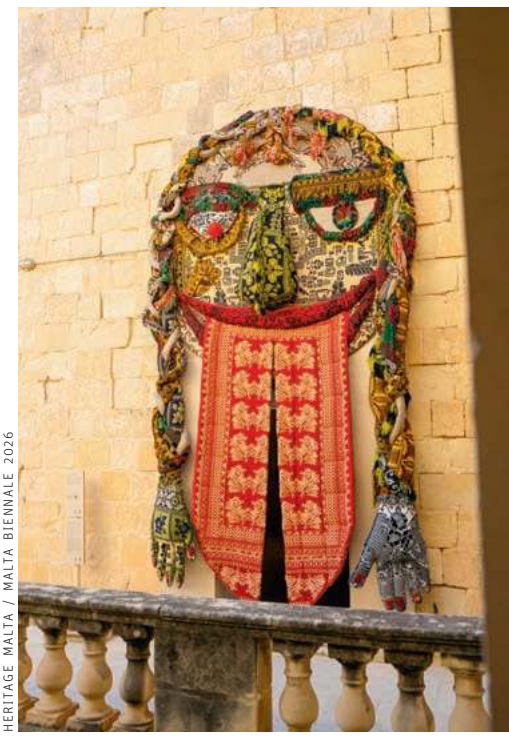
Jednak Biennale to nie tylko poszczególne obiekty wpisane w historyczne przestrzenie, ale szereg pawilonów: narodowych i tematycznych. Owa struktura powoduje, że powstało wydarzenie, na którym można usłyszeć bardzo różne głosy. Louis-Paul Caron w Pawilonie Francuskim przygotował efektowne projekcje przedstawiające grono osób, które bez emocji obserwują wybuchające w oddali pożary. Dla nich to jedynie kolejny, spektakularny pokaz. Patrzą, ale nie widzą, że ich domy też za chwilę mogą zająć płomienie. To praca o kryzysie klimatycznym, ale także o AI (która została wykorzystania do jej stworzenia).

Z kolei ukraińska artystka Maria Kulykivska przypomina o wojnie, jakiej doświadcza jej kraj. Na podłodze ułożyła rzeźby przypominające ludzkie ciała. Okaleczone, bezradne. Jest też mnóstwo rozsypanych kul do karabinów. Artystka zapełniła je ziołami leczniczymi – jej babcia mieszkająca na Krymie nauczyła ją korzystania z nich – przekształcając broń w przyrząd służący do leczenia.

Wiele prac jest poświęconych problemom tożsamościowym, zderzeniu różnych kultur, tradycji. Praca Koreanki Jiwon Yu przypomina zlepione ze sobą resztki budynków. Zniszczonych i porzuconych domów, z których zlepiła nową siedzibę. Nadal można rozpoznać fragmenty dawnej zabudowy – charakterystyczne dla Malty drewniane, malowane na jaskrawe kolory balkony. Artystka ocala przeszłość, pamięć i historię miejsc, które zostały porzucone.

Polska obecna

Tożsamości został także poświęcony pawilon „Redefining. Polish–Ghanaian Textile Narrative", uznany za najlepszy na całym Biennale. Oglądających wita zawieszona nad wejściem wielka maska autorstwa Elizy Proszczuk. Nawiązuje ona do słowiańskich tradycji kolędniczych, ale też do maltańskiego karnawału. Jest wreszcie nawiązaniem do afrykańskich masek. ↦



HERITAGE MALTA / MALTA BIENNALE 2026

Maska autorstwa Elizy Proszczuk. Polski pawilon „Redefining. Polish–Ghanaian Textile Narrative"

eprasa.pl 94d9ff4ce5



HERITAGE MALTA / MALTA BIENNALE 2026

Pawilon tematyczny Bullets of Flowers, praca Marii Kulikovskiej

↦ Z kolei Ernestina Mansa Doku stworzyła obiekt będący powiększeniem do ogromnych rozmiarów czegoś tak drobnego jak szklany koralik, używany od wieków jako dekoracyjny element. Jego wnętrze stało się miejscem bezpiecznym, dającym schronie.

Są też w tym pawilonie tkaniny autorstwa Marty Nadolle, przedstawiające dwa miejsca: szkołę i dom rodzinny artystki. Zawieszone obok siebie stworzyły jedną przestrzeń, w której spotykają się odmienne światy. Jednym jest mieszkanie w Polsce, w którym właśnie odbywa się rodzinne spotkanie. Wszyscy siedzą przy stole, to święta Bożego Narodzenia. W kącie stoi przybrana ozdobami choinka. Drugim miejscem jest szkoła w Ghanie. Jej uczniowie biorą właśnie udział w warsztatach artystycznych prowadzonych przez Nadolle. Oba światy okazują się sobie bliskie. Łączy je nie tylko osoba artystki, która w ubiegłym roku rzeczywiście prowadziła w tym kraju warsztaty z dziećmi. To przede wszystkim potrzeba wspólnoty, bezpieczeństwa, ochrony.

Wystawa w tym pawilonie opowiada o współpracy. O tym, że nie są nam potrzebne kulturowe podobieństwa, lecz otwartość na innych. Oparcie relacji na solidarności i wspólnotowości. „Jestem, bo jesteśmy" – to hasło, zaczerpnięte z subsaharyjskiego systemu wartości Ubuntu, przywołano w opisie wystawy.

Nie jest to jedyna polska obecność na Malta Biennale. W naszym pawilonie narodowym znalazła się dwukanałowa instalacja wideo Weroniki Zalewskiej pt. „Archiwum Wahań". Na jednym z ekranów jest prezentowana praca stworzona z fragmentów zaczerpniętych z archiwum Studia Filmowego WFO: sceny z życia codziennego, pejzaże, ujęcia banalnych przedmiotów, pojedynczych, nic nieznaczących gestów.

To celebracja codziennego życia, z którą skontaktowany jest drugi film. Zapis teleturnieju „Wszystko jest jasne" poświęconego Polsce po transformacji. Sprawdza on stan wiedzy w społeczeństwie przechodzącym przyspieszoną polityczną i gospodarczą transformację. Jego uczestnicy – Ryszard z Sanoka, 47 lat, mechanik, Grażyna z podkrakowskiej wsi, lat 61, bibliotekarka, i Maciej, lat 32, przedsiębiorca – starają się możliwie szybko odpowiedzieć na pytania „Kim jesteśmy dzisiaj?" czy „Kto czuje się bezpiecznie w gospodarce wolnorynkowej?".

Gra w złudzenia

Teleturniej jest prowadzony po angielsku. Nie zawsze uczestnicy dobrze sobie z nim radzą, chwilami przechodzą na polski. Zwłaszcza udzielając odpowiedzi, które nie zgadzają się z oczekiwaniami organizatorów teleturnieju. „Powiem Państwu, że gdyby moja mama żyła... do Iraku by nie dojechała, ale zaśpiewałaby przy tych barakach w Starych Kiejkutach pieśń żałobną" – mówi pani Grażyna, odpowiadając na pytanie: „Czy obecność polskich wojsk na Bliskim Wschodzie po 11 września jest uzasadniona?".

Uczestnicy teleturnieju próbują wyłamać się z narzuconego im formatu, który nie tylko dotyczy języka rozmowy, ale przede wszystkim treści oczekiwanych przez organizatorów teleturnieju. Wymykają się wizji aspiracji i pragnień, przyspieszonej modernizacji i europeizacji, która zdominowała nurt myślenia wielu Polek i Polaków po 1989 r. Chwile napięcia, przełamywania narzuconych, narracyjnych ram są najciekawszymi fragmentami tego telewizyjnego spektaklu. Po czym wszystko wraca do „normy", grające osoby korygują swoje opinie.

„Archiwum Wahań" Weroniki Zalewskiej opowiada o polskim doświadczeniu w konkretnym miejscu i czasie. O aspiracjach, marzeniach związanych z przemianami, jakie w latach 90. miały miejsce nie tylko w naszym kraju. O złudzeniach związanych z globalizacją i o cenie, jaką dziś przychodzi nam za nie płacić. A jednocześnie prezentowana na Malcie, w kraju także przechodzącym bardzo przyspieszoną modernizację, ta opowieść okazuje się bardzo uniwersalna.

© PIOTR KOSIEWSKI

Malta Biennale 2026 trwa do 29 maja.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

▪ *Agnieszka Drotkiewicz.* **REKONSTRUKCJA. POŁOWA TWARZY TONIE W MROKU**, *Osnova*



Lubię książki, których forma dyskretnie odzwierciedla treść albo przesłanie. Na przykład „Zniknięcia" Georges'a Pereca, gdzie brak kluczowej samogłoski oddaje ból po utracie rodziców. Albo „Busolę" Mathiasa Enarda, w której meandrujące zdania są odbiciem wędrówek odurzonego opium umysłu. Agnieszka Drotkiewicz równie misternie tworzy swoją „Rekonstrukcję". Każdy krótki rozdzialik jest tu hologramem całości: trochę osobistej historii, szczypta społecznej analizy, erudycyjne odwołania do źródeł, cytaty z podręczników medycznych. Intertekstualność i wielogłos. A całość składa się na rekonstrukcję decyzji o kolejnej operacji plastycznej. Doceniam kunszt autorki, co wcale nie oznacza, że mojej lekturze towarzyszył przede wszystkim literaturoznawczy namysł. Książkę czytałam z wypiekami na twarzy, bo to proza mocna, choć nieefekciarska (u Drotkiewicz czuć fascynację stonowanym stylem Michela Houellebecqa). Bohaterka książki Drotkiewicz do zdjęć ustawia się „z dobrego profilu". W ogóle od dzieciństwa wypracowuje różne strategie kompensacyjne – ponieważ od mamy wie, że nie jest ładna, stara się być szczególnie mądra i miła oraz bardzo oczytana. Ciekawie się ubiera i nosi kolczyki, które mają odwracać uwagę od nosa. Ewa może jednak dwoić się i troić, a otoczenie i tak fiksuje się na jej nosie. Rozważa więc – kolejną, bo wiele z nich przeszła w dzieciństwie – operację plastyczną. Trudną i z niepewnym rezultatem, bo niewielu lekarzy chce się jej podjąć, a ci, którzy chcą, potem zmieniają zdanie. Dlaczego Ewa chce się zoperować? A raczej: dla kogo? Dla siebie? Dla świętego spokoju? Żeby uniknąć nachalnych spojrzeń i przytyków? To traktat o estetyce i etyce, przyjemności i sensie życia. O czekaniu i działaniu. O szczęściu i sensie. A kiedy robi się zbyt wzniośle, narratorka przebija bańkę intelektu humorem. Drotkiewicz znałam dotąd przede wszystkim jako wspaniałą rozmówczynię. Do jej wywiadów – rzek lub zbiorów – często wracam, szczególnie lubię „Jeszcze dzisiaj nie usiadłam" i „Smak kwiatów pomarańczy". Okazuje się, że jej druga, prozatorska połowa jest równie interesująca.

© DOROTA MALINA

▪ *Aleksandra Waliszewska,* **SOLUTION ISSUE 5**, *Timeless Edition*



Aleksandra Waliszewska nie tylko maluje i rysuje, współtworzyła też filmy, projektowała ceramikę i tkaniny, a jej prace zamieszczano na okładkach płyt i wykorzystywano w projektowaniu ubrań. Książki są dla niej jednak szczególnie ważne. Nie jest oczywiście jedyną polską artystką wykorzystującą tę formę wypowiedzi. W ubiegłym roku wydano „Rysunki wawelskie" Marcina Maciejowskiego, artbooki tworzył Wilhelm Sasnal, a dla Jakuba Woynarowskiego stały się one jednym z najważniejszych sposobów opowiadania nawet o złożonych kwestiach historycznych. Waliszewska bardzo konsekwentnie wykorzystuje książki artystyczne do opowiadania o własnej twórczości. Francuskie wydawnictwo Timeless opublikowało właśnie kolejną jej pracę, „Solution issue 5". To starannie opracowany, wydany w twardej oprawie obszerny tom. Opublikowany w limitowanym nakładzie, co jeszcze bardziej podkreśla artystyczny charakter książki. Nie jest to jednak tom z reprodukcjami. Waliszewska układa ze swych prac malarskich i rysunkowych zupełnie nowe opowieści. Powstałe w ten sposób książki są odrębnymi, samodzielnymi dziełami, tworzącymi kolejne odsłony realizowanego od dawna cyklu publikacji „Problem" i „Solution". Pierwszy swym tytułem sugeruje, że odbiorca ma do czynienia z przedstawieniem jakiegoś problemu czy zagadki, drugi zaś sugeruje rozwiązania. W „Solution issue 5", podobnie jak w poprzednich tomach, Waliszewska zaprasza do świata baśniowego, perwersyjnego i pełnego mroku. Czasem także budzącego strach. Sporo w tej książce wyobrażeń młodych kobiet, które padają ofiarą przemocy, ale które też po przemoc sięgają. Dużo tutaj dziwnych, groźnych zwierząt i innych postaci, czasami hybryd, półludzkich, półzwierzęcych. Waliszewska opowiada o tym świecie bez słów. Wystarczą jej obrazy i rysunki, czasami wchodzące w dialog z przeszłością historii sztuki, z dziełami tak ikonicznymi, jak „Myśliwi na śniegu" Pietera Bruegla st. Nic więcej nie potrzeba, by uruchomić wyobraźnię.

© PIOTR KOSIEWSKI

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK



Nagroda Literacka Prezydenta Miasta Białegostoku
im. Wiesława Kazaneckiego

a w nim: **PREZENTACJE NOMINOWANYCH KSIĄŻEK** w kategoriach „Najlepsza książka roku" i „Najlepszy ogólnopolski poetycki debiut roku" oraz **RELACJA Z GALI NAGRODY.**

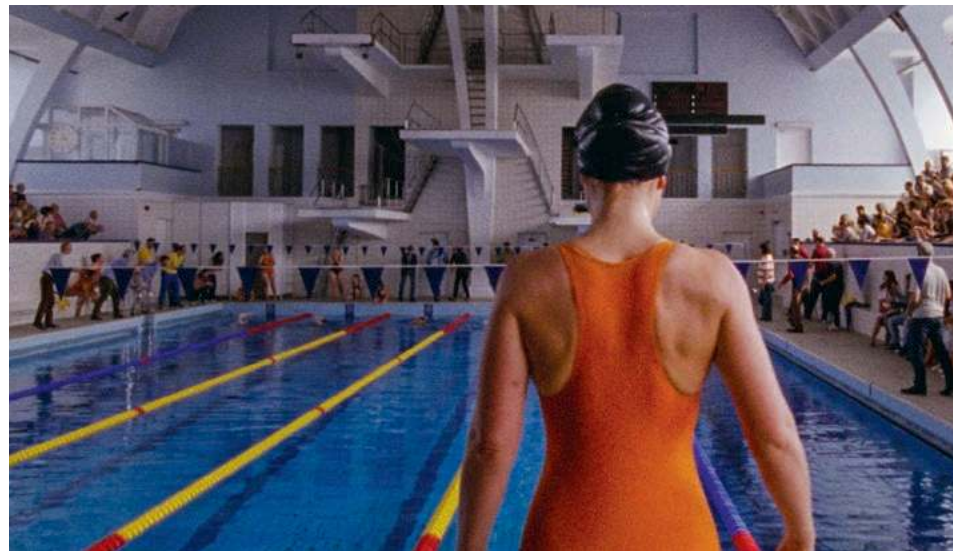
PARTNER DODATKU: Białystok

Zapraszamy do lektury!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 94d9ff4ce5

Życie z raną



ANITA PIOTROWSKA

KINO | Kristen Stewart doskonale wyczuwa nie tylko swoją bohaterkę i nadekspresyjną prozę Lidii Yuknavitch, ale i materię kina.

Pływaczki słyną z mocnych pleców. I często mają owłosione nogi, golone dopiero tuż przed zawodami, by poprawić tak zwaną hydrodynamikę. A w ich sypialniach czuć pot i chlor, choć określenie „krew, pot i łzy" pasowałoby tutaj równie dobrze. Między innymi o tej cielesności i o sportowych reżymach pisze Lidia Yuknavitch we wspomnieniowej książce „Chronologia wody", którą wydawnictwo Czarne właśnie wznowiło.

Okazją jest film pod tym samym tytułem, wyreżyserowany przez znaną amerykańską aktorkę Kristen Stewart – dobry przykład na to, że nawet literatura „wsobna", wręcz obsesyjna w swoim wewnętrznym monologowaniu, może być przekładalna na język kina. Zwłaszcza gdy tak jak w tym przypadku, napisana została intensywnymi obrazami i naśladuje nieregularne rytmy pamięci. Jej tworzywem zaś są niezabliźnione, acz pisarsko świetnie pozszywane rany.

Wydaje się zrazu, że to adaptacja raczej swobodna, jako że powieść amerykańskiej pisarki zaczyna się od „martwego urodzenia", a w filmie ten jeden z największych macierzyńskich koszmarów objawia się dopiero gdzieś w połowie. Nie ma to jednak większego znaczenia w przypadku fabuły meandrującej niczym tytułowa woda.

Dlatego Stewart rozpoczyna film bardzo impresyjnie, by następnie wejść w pozornie usystematyzowaną narrację. Zaczyna więc od dzieciństwa bohaterki, naznaczonego przez inną traumę. I tu łatwo odstraszyć potencjalnego widza lub czytelnika, albowiem „Chronologia wody" w suchym streszczeniu musi zabrzmieć niczym antologia dramatycznych doświadczeń.

Lecz zanim molestowana przez ojca mała Lidia przeistoczy się w samoświadomą pisarkę o nazwisku Yuknavitch, obejrzymy rozedrganą historię kobiecych podtopień i skoków na główkę – ale także oczyszczających zanurzeń i wyjść na ląd. Zobaczymy ową „zdolność do przeobrażania się niczym materiał organiczny pod wpływem zmiennych żywiołów", jak pisała o sobie narratorka książki w tłumaczeniu Kai Gucio.

Film Stewart, mimo poszarpanej struktury, płynnie podąża za tymi przeobrażeniami. Najpierw porywa nas strumień wspomnień z rodzinnego domu Lidii, ze zwyrodniałym ojcem, „daleką" matką i starszą siostrą (Thora Birch), która niczym bohaterka „Wartości sentymentalnej" do pewnego momentu próbuje chronić tę młodszą przed skrzywdzeniem. Trochę jak ta woda z basenu, dająca powierzchowne oczyszczenie, chwilową ucieczkę przed domowym chaosem tudzież obietnicę kariery pływackiej jako przepustki do wolności.

Ale „Chronologia wody" to nie tyle film o ciele poddawanym różnym formom przemocy – poszukującym samokontroli w sporcie, a potem zapomnienia w seksie i nadużywaniu różnych substancji. To opowieść, podobnie jak książkowy pierwowzór, w całości przepuszczona przez pamięć cielesną. Stąd film „naciąga mrokiem ciała", poddaje to ciało uporczywej fragmentaryzacji i przygląda mu się pod lupą. Uwydatnia fakturę cienkiej skóry, przez którą widać wszystkie żyłki i nerwy.

Tu trzeba przyznać, że serwowana nam zza kadru literacka opowieść trochę narzuca sposób myślenia – i pisania – o tym filmie. Z ekranu, tak w obrazie, jak w czytanym komentarzu, sypią się gotowe metafory, które na kartach powieści uruchamiały wyobraźnię, podczas gdy dopełnione obrazem czasami brzmią cokolwiek tautologicznie.

Nie zmienia to faktu, że Stewart nad owym strumieniem świadomości i podświadomości potrafi zapanować, w czym bez wątpienia wielka zasługa jej montażystki, Olivii Neergaard-Holm, znanej nam z „Wybrańca" Alego Abbasiego czy z „Brzydkiej siostry" Emilie Blichfeldt. Przefiltrowane przez poharataną psychikę obrazy z przeszłości, w których rządzi nieusuwalny cień ojca, lecz także czysto kobieca „wściekłość i wrzask", układają się w opowieść o stopniowym wychodzeniu z traumy.

Zanim jednak to nastąpi, opowiada Stewart o dryfowaniu przez „życie z otwartą raną" i równie bolesnym procesie stawania się pisarką. Praca nad prozą Yuknavitch była ponoć formą autoterapii dla samej reżyserki, która odnalazła w książce sporą część siebie i przez osiem lat walczyła o znalezienie środków, by przenieść ją na ekran. Podobnie czuła wcielająca się

OGŁOSZENIE

Radio Kraków
radiokrakow.pl

NADAJEMY DO MYŚLENIA
W każdą środę o godz. 12.40 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego"

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków - 101,6 FM, Nowy Sącz - 90,0 FM, Tarnów - 101,0 FM, Zakopane - 100,0 FM, Andrychów - 98,8 FM, Gorlice - 97,4 FM, Krynica Zdrój - 102,1 FM, Rabka Zdrój - 87,6 FM, Szczawnica - 90,0 FM

eprasa.pl 94d9ff4ce5



MATERIAŁY PRASOWE

CHRONOLOGIA WODY
(The Chronology of Water) – reż. Kristen Stewart. Prod. Francja/Łotwa/Wielka Brytania/USA 2025. Dystryb. So FILMS. W kinach od 17 kwietnia.

Kristen Stewart aktorską sławę zdobyła dzięki wampirycznej sadze „Zmierzch". Potem były role w takich filmach, jak „W drodze" (2012), „Sils Maria" (2014), „Spencer" (2012), „Irma Vep" (2022) czy „Love Lies Bleeding" (2024). „Chronologia wody" jest jej scenopisarskim i reżyserskim debiutem, który miał swą premierę na ubiegłorocznym festiwalu w Cannes.

Powyżej: kadr z filmu „Chronologia wody"

w Lidię brytyjska aktorka Imogen Poots i trudno ukryć, że to w dużej mierze „jej" film, przywodzący na myśl najbardziej wrażliwe, cielesne kreacje Kate Winslet czy Florence Pugh.

Oddając swojej aktorce sto procent czasu ekranowego, reżyserka zrezygnowała z własnych aktorskich ambicji i całkowicie wycofała się poza kadr. Zresztą obsada tego filmu kryje parę niespodzianek, na przykład ważną dla rozwoju Lidii postać gra charyzmatyczna artystka Kim Gordon, znana z legendarnego zespołu Sonic Youth, nie mówiąc o Jimie Belushim, który wcielił się w Kena Keseya.

Autor „Lotu nad kukułczym gniazdem" i dawny guru kontrkultury był nie tylko nauczycielem kreatywnego pisania na Uniwersytecie Oregonu, dokąd – w życiu, w książce i na ekranie – trafiła Yuknavitch pod koniec lat osiemdziesiątych. Był także jej mentorem i, w najtrudniejszym momencie jej biografii, poniekąd figurą ojcowską, zważywszy na mocno zaburzoną relację pisarki z własnym ojcem. Ten ostatni, grany na zimno przez Michaela Eppa, może się wydawać, zwłaszcza na tle innych bliskich Lidii bohaterów, postacią sztywną i papierową, jakby zastygłą w dwóch wymiarach. Co łatwo daje się wytłumaczyć chociażby wspomnianą pracą pamięci, mocno zniekształconej przez PTSD.

Stewart z żelazną konsekwencją odtwarza jej mechanizmy, toteż oglądając ten dwugodzinny film czasami trudno złapać oddech. Nieustanny przepływ zapętlonych w czasie hipersensualnych obrazów może powodować efekt przebodźcowania. Nakłada się na to niemniej intensywny pejzaż dźwiękowy, złożony z wewnętrznych głosów, przesterowanych dźwięków i wnikających pod skórę utworów muzycznych Paris Hurley.

Tak, debiutująca za kamerą aktorka wyraźnie celuje w kino wysokoartystyczne. „Chronologia wody" jest zresztą produkcją niezależną, acz firmowaną przez takie nazwiska, jak Ridley Scott, może więc sobie pozwolić na odpłynięcie w rejony dalekie od głównego nurtu. I jeśli nawet są to rejony filmowe skądś nam już znane, Kristen Stewart doskonale wyczuwa nie tylko swą rozchwianą bohaterkę i nadekspresyjną prozę Yuknavitch, ale i materię kina. Nawet gdy za bardzo się stara, żebyśmy zobaczyli w niej oczyszczający potencjał. ©

Lektor:
Cienie „lat ołowiu"



▪ *Donna Leon*
KTO SIEJE WIATR
tłum. Małgorzata Kaczarowska
Noir sur Blanc, Warszawa 2026

Nie wiem, dlaczego książki z barwionymi brzegami, których ostatnio sporo się wyroiło, miałyby być atrakcyjniejsze od innych – mnie to raczej odstrasza. No ale skoro polski edytor jednej z moich ulubionych autorek kryminałów postanowił tak ubarwić wznowienia jej powieści i tak właśnie wydać kolejną – trudno...

Donna Leon, która we wrześniu ukończy 84 lata, jest Amerykanką z hiszpańsko-irlandzkimi korzeniami. Wykładała literaturę anglosaską, zajmowała się także mecenasowaniem orkiestrze Il Complesso Barocco. Przez 30 lat, do 2015 r. mieszkała w Wenecji, potem przeniosła się do Szwajcarii, której jest obecnie obywatelką, ale Wenecję regularnie odwiedza. I miasto na lagunie uczyniła tłem (a właściwie jednym z bohaterów) cyklu powieści rozpoczętego „Śmiercią w La Fenice" (1992), a liczącego już ponad trzydzieści tomów. Nie jest równy, intryga bywa zbyt prosta i oczywista, ale pejzaże weneckie wiele wynagradzają.

Główną postacią cyklu jest inteligentny i sympatyczny komisarz Guido Brunetti, rodowity Wenecjanin ze skromnej raczej rodziny, ożeniony jednak z potomkinią starego weneckiego rodu, Paolą Falier, jak Donna Leon badaczką literatury anglosaskiej; jej ulubieńcem jest zwłaszcza Henry James. Paola ma poglądy raczej radykalne ze szczególnym uwzględnieniem silnego antyklerykalizmu. Małżeństwo obdarzone dwojgiem dzieci, Raffaellem i Chiarą, jest udane, a arystokratyczny ojciec Paoli, hrabia Orazio Falier, szanuje i lubi swojego zięcia, w razie potrzeby zaś skutecznie go wspiera, korzystając ze swojej wiedzy i rozbudowanych stosunków towarzyskich.

No i jest galeria współpracowników Brunettiego, na czele z jego bezpośrednim przełożonym, zastępcą komendanta Pattą: niezbyt bystrym, za to pysznym Sycylijczykiem, dbającym głównie o własną karierę. Czytając kolejną książkę, czekałem niecierpliwie, kiedy wreszcie wróci sekretarka *vice-questore*, *signorina* Elettra – czarodziejka komputerowa, umiejąca zdobyć każdą informację metodami niekoniecznie legalnymi, a przy tym sojuszniczka Brunettiego w potyczkach z Pattą.

W „Kto sieje wiatr" ofiarą jest pan Inesh, obywatel Sri Lanki bez włoskich papierów, buddysta. Przygarnął go właściciel podupadłego Palazzo Zaffi dei Leoni i pozwolił mieszkać w zrujnowanym domku ogrodowym, który Inesh wyremontował. W zamian towarzyszył właścicielowi w spacerach i wykonywał drobne prace w pałacu – zdziczały ogród miał takim pozostać.

Okazało się, że korzenie zła tkwią w „latach ołowiu", dekadach zamachów bombowych i prób radykalnej zmiany rzeczywistości. Inesh chciał coś z tego zrozumieć, lecz w przeszłości kryły się nie tylko szalone idee, ale i rzeczy znacznie niebezpieczniejsze. Niebezpieczne dla tych, którzy brali w nich udział, i dla tych, którzy się o nich dowiedzieli. ©℗

eprasa.pl 94d9ff4ce5

PAWEŁ

Bravo:
Mangalica z bikaverem



Tysiąc kilometrów (niecałe, ale bądźmy łaskawi) to jest długość, która kwalifikuje do pierwszej ligi europejskich rzek (trzytysięczny Dunaj jest osobnym mistrzem w swojej kategorii). Obok, dajmy na to, Tagu, Łaby czy Renu oraz oczywiście Wisły. A jednak mało kto by wymienił w tym towarzystwie Cisę. Pewnie dlatego, że przecina niezbyt prestiżowe z naszego punktu widzenia okolice – od Rusi Zakarpackiej przez panońskie pustki aż do Wojwodiny, gdzie już pachnie bałkańskim chaosem. Nie umiem ulegać entuzjazmom w obliczu politycznych zdarzeń, raczej widzę wszędzie jedną i tę samą jajecznicę, tylko stopień wysmażenia balansuje między glutem a wiórem przez sto stanów pośrednich. Ale żeby nie zasnąć po wieczorze pełnym obrazków z Budapesztu w nastroju kwaśno-sceptycznym, szukałem jakichś pozytywów.

Na przykład: tyle dobrego, że wszyscy się nauczą, skąd ta Cisa/Tisza płynie. Świetny koncept, tak dobrać nazwę partii, żeby pierwsze sylaby jej składowych (*tisztelet* – szacunek i *szabadság* – wolność) tworzyły łatwą dla ucha i patriotycznie brzmiącą zbitkę tożsamą z rzeką. Długo myślałem, jaką byśmy mogli ułożyć wiślaną kombinację. Niestety, nic poza „Wiara i Sława" nie przychodzi do głowy. Brzmi pompatycznie, ale to może w propagandzie zaleta. Odrzuciłem parę „Wartości i Talent", bo to by się nawet w Poznaniu nie sprzedało. „Wiedza i Przyjaźń" – o, inspirująca para, na pewno nie na partię (wróżyłbym pół procent), ale choćby jakieś stowarzyszenie dobroczynne. Niestety, Wieprz jako rzeka jest po pierwsze zbyt lokalny na sztandar, po drugie kojarzy się, co począć, jakoś tak nisko, brzydko wręcz. Wielkie semantyczne świństwo we wszystkich chyba kulturach czynimy zacnym zwierzętom z podrodziny *Suinae* – i nic na to nie możemy poradzić, chyba tylko sumiennie i z szacunkiem je przyrządzać na sto pysznych sposobów, od ryja po ogon.

W tym bracia Węgrzy celują. I to był kolejny mały pozytyw, z jakim zasypiałem. Bo tyle dobrego z tej powodzi, kiedy Cisa przelała się wysoko przez wyborcze brzegi, że zmyje z polityki w Budapeszcie chociaż parę najbardziej szpetnych aspektów. No i wreszcie przestaną nas uwierać małe, ciche wyrzuty przy korzystaniu z dobrodziejstw kuchni i winiarstwa tego kraju. Podjeść kulenu lub salami, może nawet z odrobiną osła oraz plaster słoniny z mangalicy – której prestiżowe toskańskie lardo nie sięga nawet do racic. Posypać gulasz albo po prostu ziemniaki z pieca wędzoną papryką, bo nie masz lepszej w Europie – sekret jej przygotowania to pamiątka, jaką zostawili po sobie dawno temu Turcy. I popić bikaverem, niekoniecznie egri, bo równie ciekawe, jeszcze intensywniej pachnące suszoną śliwką,



PNGKING / ADOBE STOCK

są te z Szekszárdu (tamtejsi winiarze zresztą uważają, że to oni wymyślili ten rodzaj wina).

Oczywiście, te wyrzuty były irracjonalne, bo nawet jeśli uznamy bojkot konsumencki za sensowną niekiedy metodę, to na pewno nie w wymiarze narodowym. Karanie jak leci wszystkich producentów z danego kraju jest tylko przykładem odpowiedzialności zbiorowej. Chyba że się zna zachowania poszczególnych ludzi oraz firm, o co trudno, choć w branżowych kręgach czasem się przebąkiwało o tym czy innym znanym winiarzu, że kręci lody z oligarchami. Owszem, dobrze nasmarowany system klientelizmu ma to do siebie, że trudno przejść suchą nogą przez taki gnój. Ale doprawdy, obiad jest tylko obiadem, a puste gesty zostawmy zawodowym moralistom. Ci mają czyste ręce, bo raczej nie skalali się normalną pracą.

Mimo więc, że się obficie jadło i piło, to jednak ten drobny kamyk w bucie uwierał, gdy szła co tydzień łakoma pielgrzymka na Kleparz do wybitnego sklepu z wędlinami i mięsem z Węgier. Teraz wreszcie uwierać przestanie, oby tylko korzystny profil tłuszczowy mięsa z mangalicy uchronił mnie przed skokiem złego cholesterolu.

Mam cichą nadzieję, że chronią mnie też geny, to znaczy ich środkowoeuropejska, słowiańska połowa. Bo przecież jeśli drobne różnice w fenotypie i metabolizmie między podgrupami naszej rasy biorą się z procesów długiego trwania w danych warunkach, to my, tu ze środka kontynentu, powinniśmy lepiej znosić długotrwałą ekspozycję na świński tłuszcz i skrobię z ziemniaków. Myślenie o kulinarnej Mitteleuropie

eprasa.pl 94d9ff4ce5



Region winiarski Tokaj nad rzeką Cisą

już nie jest takie modne jak wtedy, gdy pan Makłowicz wspinał się na szczyty sławy, ale jeśli coś z tamtych poszukiwań zostało, to głównie właśnie wszelkie kluski i potrawki, zawiesiste sosy i solidne omasty, dużo kapuścianych zawijasów, pierogów i placków. Ze śmietaną. Surowe warzywa? – fuj, to dobre dla królika. Na swój użytek roboczo kreślę granice środkowej Europy w kuchni jako obszar robienia powideł (i obecności tego słowa w lokalnym języku) z prawdziwych, *nomen omen*, węgierek. Ale nie jestem pewien, czy to wszystko nie było tylko próbą przybicia gwoździem do blatu mglistych powidoków po dawnej C. i K. Arkadii.

Główny sens kultywowania tego majaku był taki, żeby odwołać się do mieszanej tradycji, w której komponent germański był ważny, ale nie dominował. Uczestniczył na równych prawach z czeskim, słowackim, węgierskim czy wreszcie polskim. Schnitzel (podpatrzony u Włochów, ale to zupełnie inna historia) równie istotny jak pörkölt czy pilsener albo pierogi z serem. Odtrutka na lęk przed dominacją Niemiec. Zdaje się, nie zadziałała. No trudno. Na szczęście między Cisą a Wisłą dalej będzie dość osobnych, niekoniecznie powiązanych ze sobą powodów, żeby przesadzić z kaloriami. ©℗

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Papryki po kalabryjsku

Pamiętacie „Dziewczynę o perłowych włosach”, którą Kazik 30 lat temu śpiewał po węgiersku? Wspaniała piosenka z lirycznym, nieco psychodelicznym tekstem, nieprzystającym do stereotypu gulaszowego Madziara z zatłuszczonym wąsem. Ale ten stereotyp nie wziął się tak całkiem z powietrza. Z rzadkich podróży pamiętam kuchnię zacną, dobrze omaszczoną i sytą – ale to by wyczerpywało listę komplementów. Jeszcze może to, że w ramach jakiegoś podziału pracy w dawnej monarchii to Węgrzy, a nie Austriacy, przejęli sporo francuskich tradycji i np. do dziś robią wspaniałe foie gras, jeśli ktoś jest gotów to jadać.
W swojej kuchni używam często tłuszczu z leciutko podwędzonej słoniny z mangalicy. Krystalicznie przejrzysty, idealnie pasuje, kiedy się chce upiec obrane i pokrojone w ćwiartki ziemniaki.
Za to jeśli chodzi o skojarzenia warzywne, to kocham paprykę i robię wszystkie możliwe odmiany duszonych miksów z jej udziałem, z której „ratatuj” jest najsławniejszy, ale nie jedyny. Dziś jednak chcę wam przypomnieć sposób na podkręcenie smaku papryki zimowej, jadącej do nas tirem z Hiszpanii i nieco, niestety, plastikowej.

SKŁADNIKI: **500 g** czerwonej i żółtej papryki
250 g żółtej cebuli **150 ml** passaty pomidorowej
100 g tartego sera pecorino **100 g** bułki tartej ▪ oliwa

Kroimy cebulę w bardzo cieniutkie piórka. Solimy i dusimy cierpliwie na wolnym ogniu na oliwie, aż prawie zacznie się rozpadać – być może trzeba będzie podlać wodą.
Na osobnej patelni smażymy krótko, za to na dużym ogniu, papryki pokrojone w jak najcieńsze paseczki, około 3 minut, ciągle mieszając. Mają się zacząć rumienić i zmiękнąć, ale nie spalić. Łączymy z cebulą, dokładnie mieszamy, żeby się przegryzło, wlewamy passatę i dusimy wszystko razem na wolnym ogniu przez 10 minut. Możemy na tym etapie dodać garść czarnych oliwek albo kapary. Studzimy i dajemy daniu odpocząć – ten etap jest konieczny. Potem odgrzewamy na nowo, wsypujemy tarty ser, mieszamy, na wydaniu posypujemy bułką tartą uprażoną na suchej patelni do koloru jasnobrązowego. Niektórzy lubią na koniec jeszcze skropić octem.



BERKAHSTOCK / ADOBE STOCK

eprasa.pl 94d9ff4ce5

PSYCHE

NIECH ŻYJE NUDA!

Walczymy z nią, tuszujemy, uciekamy przed nią.
To sprytna towarzyszka codzienności: ignorowana, złośliwie się odwdzięczy,
ale oswojona i zaopiekowana, otworzy drzwi do nowych pomysłów.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Po co mi życie pełne przygód, skoro już wiem, jaka była tego cena? – zapytała 83-letnia Sara Guter Davidson. Piłyśmy kawę w jej mieszkaniu w izraelskim domu seniora. Ta wnuczka łódzkiego fabrykanta w 1976 r. wsiadła do samolotu, który chwilę później został porwany przez terrorystów. Napisała o tym książkę, o słynnej operacji Entebbe powstał też film. Życie Sary nabrało tempa; nawet w dniu, w którym się spotkałyśmy, opowiadała o swoim nowym projekcie. Nie znała nudy, choć wydawało mi się wtedy, że bardzo już za nią tęskniła.

Psychologowie społeczni i socjologowie potwierdzają, że w obliczu rosnącego wpływu AI na naszą pracę i codzienność nudzimy się na potęgę, a jednocześnie nasza zdolność do tolerowania stagnacji się zmniejsza. Codziennie nasz mózg odbiera ogromną ilość bodźców, a im więcej, tym mniej jesteśmy ich w stanie przetworzyć – i coraz bardziej zdajemy sobie z tego sprawę. Twórcy tiktokowego trendu *rawdogging boredom*, którego treścią są filmy o siedzeniu w ciszy podczas długich lotów, zrozumieli, że nie chodzi tu już tylko o viralowy sukces, ale przede wszystkim – o manifest i opór wobec przeładowanej treściami rzeczywistości.

W 2026 r. świadoma nuda i święty spokój stają się konieczną, potrzebną umiejętnością dla rozwoju i przytomności umysłu.

Niechciana bezczynność

Tylko czym właściwie jest nuda? Potoczne rozumienie różni się od naukowego. „Nudzi nam się", gdy ilość bodźców pochodzących z otaczającego świata jest ograniczona, również gdy sami te bodźce ograniczamy. Nuda w tym ujęciu to bezczynność, monotonia, bierność i bezruch. Ale takie rozumienie jest niedoskonałe – bo czy można mówić o bezczynności, gdy umieramy z nudów w pracy podczas wykonywania rutynowego zadania?



STOKKETE / ADOBE STOCK

eprasa.pl 94d9ff4ce5

– Wiele osób mówi o nudzie w kontekście odpoczynku, a ten jest przecież czymś pożądanym i wywołującym pozytywne odczucia. Tymczasem nuda zawsze związana jest z negatywnymi. To bezczynność, której nie chcemy – prostuje dr Mariusz Finkielsztein, socjolog nauki i organizator konferencji nudologicznych, które odbywają się od 2014 r., przyciągając rodzimych i zagranicznych badaczy tematu. Na liście zagadnień dyskutowanych przez badaczy znaleźć można nudę w urbanistyce, ubiorze więziennym, nudę dzieci na wsi i nudę w mieście, nudę religijną czy nudę w astronomii.

– W socjologii definiujemy nudę jako brak zaangażowania związany z brakiem poczucia sensu. Może to być nuda sytuacyjna, gdy nie widzimy sensu jakiegoś konkretnego działania, nie możemy się skupić ani zaangażować. Przedłużana i pogłębiana, prowadzi do nudy egzystencjalnej: perspektywa tego, co moglibyśmy zrobić z naszym życiem, nie sprawia nam radości, na nic już nie czekamy. Dlatego nuda egzystencjalna nie jest już tylko emocją. Jest nastrojem, szkiełkiem, przez które patrzymy na rzeczywistość – tłumaczy Finkielsztein.

Szlachetna melancholia

Problem jest stary jak świat i doczekał się dogłębnych analiz. Nuda egzystencjalna pojawia się u Seneki jako *taedium vitae* [łac. wstręt, znużenie życiem – przyp. red.] – problem filozoficzny związany z zarządzaniem czasem, emocjami i poszukiwaniem sensu. W tradycji chrześcijańskiej mowa jest o acedii, stanie duchowego znużenia, niechęci do spraw Bożych, apatii prowadzącej do ucieczki od rozwoju duchowego. Z kolei renesansowa *melancholia generosa* (melancholia szlachetna/genialna) to koncepcja łącząca nudę z wybitnym intelektem: oto genialne jednostki, nudząc się, napędzają swoje umysły do jeszcze głębszej pracy intelektualnej.

W XIX w. *mal du siècle*, *ennui* i głębokie znudzenie egzystencjalne znalazły odbicie w dziełach pisarzy i artystów. Melancholia stała się dla nich nie tylko fizycznym i emocjonalnym, ale przede wszystkim twórczym przeżyciem. W filozofii o nudzie egzystencjalnej pisali Schopenhauer, Nietzsche czy Heidegger. Ale w podobnym czasie zaczęto też mówić o biochemicznym aspekcie nudy – wówczas analizę stanów depresyjnych podjęła psychologia.

Dziś określa ona nudę jako stan afektywny – bo związany z emocjami, które odczuwamy. To nieprzyjemny stan, który pojawia się, gdy tracimy poczucie sensu. Dlatego nuda w psychologii jest często postrzegana jako kontrolka na desce rozdzielczej – może być sygnałem problemu, którym warto się zająć.

Sygnał ostrzegawczy

Mówi o tym dr Maria Flakus, badaczka nudy z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, psycholożka i psychoterapeutka w trakcie szkolenia, autorka polskiej adaptacji kwestionariusza Skali Podatności na Nudę.

– Istnieje bogaty dorobek badań, które sugerują, jakie osoby są na nudę bardziej podatne od innych. Może to wiązać się m.in. z większą potrzebą różnorodności, stymulacji czy poznawczego zaangażowania. Kiedy pojawia się nuda, takie osoby mogą odczuwać ją szczególnie dotkliwie, bo brak odpowiednich bodźców szybciej staje się dla nich obciążający – tłumaczy badaczka.

Fakt, że się nudzimy, niesie ze sobą pakiet ważnych informacji na temat nas samych lub sytuacji, w której się znajdujemy: np. o tym, że jakaś czynność, temat czy relacja nam nie pasuje, dostatecznie nas nie angażuje, nie daje satysfakcji. Nuda może więc być impulsem do poszukiwania zmiany, naszymi drzwiami do kreatywności – pod warunkiem, że dobrze ją wykorzystamy.

– Przede wszystkim należy zapytać, co z tą nudą robię i jak sobie z nią radzę. Czy traktuję ją jako sygnał ostrzegawczy, i zastanawiam się, co powinnam zmienić? Co się ze mną dzieje w momencie nudy, czego mi brakuje? Jakie są moje potrzeby, również te intelektualne? Jeśli nuda staje się sygnałem ostrzegawczym, z którego wyciągam wnioski, to jest to „dobra", konstruktywna reakcja – zauważa Maria Flakus.

Problem zaczyna się, gdy nudę się ignoruje, zadomawia się w niej. – Mogą się pojawić impulsywne ucieczki, takie jak scrollowanie czy zakupy – gdy potrzebuję tu i teraz dostarczyć ↦



eprasa.pl 94d9ff4ce5

↦ sobie jakiegoś bodźca, który mnie skutecznie rozproszy, a jednocześnie dostarczy zastrzyku przyjemnego pobudzenia. Problem w tym, że coś, co na moment mnie uspokaja, nie rozwiązuje tego, z czym naprawdę się borykam – mówi badaczka.

Chroniczna nuda może być czynnikiem ryzyka wystąpienia poważniejszych problemów emocjonalnych – takich jak objawy depresyjne czy lękowe. Jeśli więc nudzimy się przez dłuższy okres, czujemy, że nasze życie jest pozbawione sensu, nieinteresujące, że tracimy przez to czas, motywację do zmian, relacje z bliskimi – warto skonsultować się ze specjalistą.

Nuda pojawia się, gdy tracimy poczucie sensu. Dlatego w psychologii jest często postrzegana jako kontrolka na desce rozdzielczej **– sygnał problemu, którym warto się zająć.**

Pochwała rutyny

Co ciekawe, w świecie mediów społecznościowych – zaprojektowanym tak, by skutecznie przyciągać, utrzymywać naszą uwagę, ułatwiać sięganie po szybką stymulację, a tym samym również monetyzować nudę – promowanym trendem staje się życie w stylu slow, proste i skromne, a także wszelkiej maści rutyna – od pielęgnacyjnej po wieczorną w wychowaniu dziecka. To trochę tak, jakbyśmy w przewidywalnym, spokojnym czy nawet nudnym rytmie upatrywali schronienia przed szaleństwem czasów, w których żyjemy.

Jak jednak zauważa Maria Flakus, rutyna nie jest dla każdego: są osoby, które z niej czerpią, ale są też takie, które stosunkowo dobrze odnajdują się w mniej przewidywalnej rzeczywistości. Wówczas ważna jest umiejętność określania i korzystania z dobrych nawyków – np. okazjonalne pozwolenie sobie na nudę, z jednoczesnym zachowaniem aktywności, bez utraty sprawczości.

Co to oznacza w praktyce? – Wybierając scrollowanie czy kompulsywne zakupy, tracimy sprawczość na rzecz impulsywności – np. tracąc kontrolę nad własnym czasem. Tymczasem cenne jest dawanie sobie wyboru i unikanie wypełniania przestrzeni natychmiastową stymulacją, a z drugiej strony – krytyczne podchodzenie do tego, co się z nami dzieje, i kontrola tego, co robimy – mówi Maria Flakus.

Dobrym przykładem zastosowania nudy w praktyce są dzieci: gdy dajemy im przestrzeń na wolną zabawę, samodzielnie szukają sposobu, by się czymś zająć. Wchodzą w interakcje, zmieniają zajęcie. Pozostawianie im wyboru tam, gdzie to możliwe – np. w kwestii jedzenia, ubrania czy zabawy – może wspierać samodzielność, sprawczość, samoregulację i stymulować rozwój relacji społecznych.

W podobny sposób nuda może być rozwojowym doświadczeniem dla dorosłych – pod warunkiem, że nie będziemy jej rozładowywać za wszelką cenę. Maria Flakus: – Nuda dobrze wykorzystana i zrozumiana może być drzwiami do nowych pomysłów i głębszej refleksji nad sobą. Od nas będzie zależało, czy te drzwi uchylimy.

Znudzeni przodkowie

W ciągu ostatnich dwóch wieków nuda się zdemokratyzowała – bo o ile wcześniej jej odczuwanie było domeną elit, o tyle od czasów rewolucji industrialnej odczuwamy ją niemal wszyscy. I to nie dlatego, że nie musimy pracować, przeciwnie: że pracować na ogół musimy, bo nie możemy sobie sami zapewnić wszystkiego, czego potrzebujemy do życia.

Paradoksalnie, w świecie pełnym bodźców, możliwości i alternatyw nudzimy się na potęgę. Badacze traktują ten problem poważnie, bo okazuje się, że renesans nudy ściśle wiąże się z kryzysem wielu wartości.

– Dawniej sensu upatrywano w religii, wierzeniach, mitach. To one wyjaśniały każdy aspekt życia, chroniły przed zamętem, pokazywały ścieżki działania. W trakcie choroby chętniej wznoszono modły, niż korzystano z usług lekarzy. Dziś mamy sekularyzację świadomości. Fernando Pessoa słusznie powiedział, że nuda to świat bez mitologii – mówi Mariusz Finkielsztein.

Poczuciu sensu sprzyjały nie tylko wierzenia, ale też wierzący – wspólnota i mocne więzi w obrębie grup. Dziś jest odwrotnie: w cenie jest indywidualizm i tożsamość kończąca się na jednostce.

Nuda w ciekawych czasach

Paradoksalnie we współczesnym świecie, opartym na nadmiarze informacji, to właśnie ów nadmiar prowadzi do nudy. Chyba najlepszym przykładem jest wspomniane już scrollowanie, czyli pospieszne przesuwanie palcem po treściach w mediach społecznościowych. Clickbaitowy system tworzenia newsów i artykuły pozbawione treści uczą nas braku zaufania do publikacji, co tłamsi potrzebę zatrzymania uwagi choć na chwilę.

Co ciekawe, zdajemy sobie z tego sprawę: badania wskazują, że scrollowanie jest uznawane współcześnie za jedną z nudniejszych czynności. W 2011 r. w słowniku badaczy nudy zagościł termin *smart boredom*, oznaczający wypełnianie „pustych" momentów w naszym życiu – takich jak kolejka do lekarza, czekanie na tramwaj czy przerwa między zajęciami – praktycznymi czynnościami, takimi jak pilny telefon, zapłacenie rachunków czy odpowiedź na maila. Określenie *smart* nie jest na wyrost także w kontekście narzędzia, którym się wówczas posługujemy.

– Twórcy tego pojęcia twierdzili, że leczy nas ono z nudy, ale ja mam odwrotne zdanie, i są na to badania – mówi dr Finkielsztein. – *Smart boredom* powoduje, że z generacji na generację jesteśmy coraz bardziej podatni na nudę. Wirtualna rzeczywistość trenuje nas do tej podatności – bo idea jest przecież taka, że scrollujesz Instragrama, ale nie zagłębiasz się nadmiernie w treści. Rzadko kiedy coś zatrzymuje cię na dłużej – zerkasz na tytuł newsa i szybko przechodzisz do kolejnego. Facebook i inne platformy już zrozumiały ten mechanizm: działają tak, by wzbudzić zainteresowanie, ale nie zaangażować. Stale szukasz silniejszych bodźców – jest nim np. zrobienie zakupów – proste, bo możliwe jednym kliknięciem. Są badania potwierdzające, że nuda jest po prostu dobra dla sprzedaży – mówi Finkielsztein.

eprasa.pl 94d9ff4ce5

Smart boredom odpowiada też na nasze współczesne lęki, jak lęk przed „straconym" czasem. Problem w tym, że przebywanie w social mediach wcale od lęków nie uwalnia. Przeciwnie: buduje w nas poczucie FOMO [ang. *Fear of Missing Out* – lęk przed przegapieniem czegoś, przyp. red.], uczy porównywania się do innych, rwie koncentrację na strzępy. Czas spędzony na scrollowaniu wyłącza myślenie, ale nie relaksuje. To dlatego, analizując dzień, uznajemy godziny spędzone w internecie za puste, stracone.

Bogini wojny

Wydawałoby się, że wciągając nas w chroniczną nudę, świat wirtualny wpływa na jednostki, ale badania socjologiczne pokazują, że jej pole oddziaływania jest szersze. Wynika z nich np., że nuda jest postrzegana jako jedna z przyczyn radykalizacji. Więcej nawet: niektórzy naukowcy wskazują na nudę jako jeden z czynników wywołujących wojny.

– Badacze analizują pod tym kątem m.in. przyczyny I wojny światowej, która wybuchła niedługo po *fin de siècle*, okresie stagnacji, zawiedzionych oczekiwań pokolenia, nerwowego oczekiwania na gwałtowną zmianę – przypomina Finkielsztein.

Dziś nuda pojawia się w analizach przyczyn radykalizowania młodzieży – szczególnie takiej, która nie widzi perspektyw na odmianę swojego losu. Dramatem jest też nuda w kontekście obozów dla uchodźców. – Z moją promotorką Izabelą Wagner, która badała obozy w południowej Europie, opisywaliśmy historię ludzi, którzy utknęli w limbicznej sytuacji: czekają na legalizację pobytu. Życie „w poczekalni", braku stabilizacji, czasem wiąże się dla nich z dramatycznymi wyborami – mówi badacz.

Nuda sprzyja nie tylko populizmowi, ale też poparciu dla dyktatur. Badania z 2016 r. wykazały, że osoby bardziej podatne na nudę mają większą skłonność do wspierania skrajnych ugrupowań w politycznym spektrum. Znudzeni, rozczarowani, marginalizowani wyborcy łatwiej uznają populizm za antidotum na brak zaangażowania i poczucie braku sensu.

Współcześni badacze nie mają wątpliwości, że nuda przyczyniła się do sukcesu faszyzmu w latach 20. i partii nazistowskiej w latach 30. XX w. Dziś analizują wpływ nudy na rosnącą popularność skrajnych ruchów politycznych w Europie, a także zwycięstw Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA w 2016 i 2024 r.

Na wybór populistycznych polityków ma wpływ fakt, że osoby, które określają swoje życie jako „nudne", częściej głosują na charyzmatycznych, silnych liderów, wnoszących do życia politycznego element zamieszania, przy jednoczesnym wzmacnianiu prostych, czarno-białych podziałów. Polityka staje się spektaklem, a wyborcy – fanami, którzy skupiają się na kibicowaniu bardziej niż na obywatelskim zaangażowaniu.Nie ulega wątpliwości, że w czasach, gdy polityka wybrańców zostawia krwawy ślad na piaskach bitewnych aren, nudę – niczym rozkapryszoną boginkę – warto mieć po swojej stronie.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 94d9ff4ce5

TOMASZ

Stawiszyński:
Wspólnota, powaga, sens



Chrześcijaństwo jest jedną z najgłębszych (może najgłębszą) odpowiedzi na tragizm, jakie kiedykolwiek w historii sformułowano. W dzisiejszym świecie, przenikniętym specyficzną odmianą fatalizmu, jego przesłanie pozostaje wyjątkowo aktualne. Mamy też współcześnie do czynienia ze swoistym powrotem do chrześcijaństwa. Rozczarowanie rozmaitymi nowymi-starymi duchowościami staje się coraz wyraźniejsze, a ludzie zaczynają znów zwracać się tam, gdzie istnieją sprawdzone i skuteczne metody przechodzenia przez sytuacje graniczne: śmierć, narodziny, miłość, przemijanie, cierpienie.

Tego rodzaju teza (rozwijałem ją w wydanym jesienią 2024 r. „Powrocie fatum", ale od tamtej pory ukazało się wiele publikacji na ten temat) stoi w sprzeczności z – nazwijmy to – liberalno-lewicowym konsensusem, który w chrześcijaństwie, czy też religii w ogóle, nakazuje widzieć co najwyżej echo przeszłości. Powidok przedoświeceniowych mroków spowijających ludzkość aż do nastania ery rozumu, względnie – instrument opresji dokonywanej przez włodarzy religijnych instytucji na pogrążonej w opiumicznym letargu ludzkości. Stoi w sprzeczności nie tylko dlatego, że nie wieszczy końca religii, lecz także dlatego, że dostrzega w niej jakość, której tamto ujęcie jej odmawia. A mianowicie zdolność do całościowego, symboliczno-rytualnego ujmowania, a zarazem „regulowania" zarówno tego, co w człowieku i życiu społecznym racjonalne, jak i tego, co nieuchwytne z pomocą mikroskopu i kalkulatora.

Jeśli ktoś chciałby się o tym dowiedzieć czegoś więcej, niech wpisze w przeglądarkę hasło „christian revival" („odrodzenie chrześcijaństwa"). Z pewnością natrafi na teksty publikowane m.in. w „The New York Times" czy na portalu Unherd; na raport „The Quiet Revival", który rejestruje wzrost nawróceń na katolicyzm i anglikanizm zwłaszcza wśród młodych pokoleń Brytyjczyków; informacje o sporej liczbie dorosłych chrzczonych we francuskich kościołach w okresie Wielkanocy (nawiasem mówiąc, w tym roku znowu padł rekord); albo też na doniesienia o deklarujących powrót do chrześcijaństwa intelektualistach i artystach, wśród których są m.in. Tom Holland, Nick Cave czy Paul Kingsnorth.

Oczywiście, zjawisko nie jest masowe. Faktem jest jednak, że jeszcze dekadę czy dwie temu jakiekolwiek dywagacje o odrodzeniu chrześcijaństwa wydawały się bezzasadne, a francuskie czy brytyjskie kościoły systematycznie się wyludniały. Podobnie zresztą i w Polsce, gdzie dziś – choć to nie statystyka, lecz zwykła obserwacja – na mszach w dużych miastach zbierają się tłumy młodych ludzi, którzy, podobnie jak ich francuscy czy brytyjscy rówieśnicy, poszukują tego, czego im w świecie brakuje. Sensu, wspólnoty i powagi. Namacalnej, bo ujętej w symbol, mit i rytuał rzeczywistości, do której dostęp mamy współcześnie utrudniony. Rzeczywistości... jak ją nazwać? Transcendencją? Troską ostateczną? Fundamentalnym sensem? Czymś, co przekracza doraźność i doczesność – i dotyka tajemnicy? A jednocześnie wiąże się z miłością i śmiercią? Nazywa je, nadaje im formę, pozwala pomyślnie zmierzyć się z ich przekraczającą wszelkie miary potęgą. A, co najważniejsze, czyni to w sposób wolny od wszechobecnej logiki rynku.

Tak właśnie stawia sprawę Iain McGilchrist, jeden z najgłośniejszych i – by tak rzec – najbardziej „modnych" neuronaukowców, a przy tym filozof i myśliciel, który empiryczne badania potrafi arcyciekawie wpisać w kulturowy kontekst (rozmowa z nim ukazuje się w tym numerze, w dziale Nauka). Mówił o tym w wystąpieniu „Why we need religion?" („Dlaczego potrzebujemy religii?"), wygłoszonym w marcu w Pusey House w Oksfordzie podczas konferencji zatytułowanej „Christian Revival: Our post-liberal hope?" („Odrodzenie chrześcijaństwa: nasza postliberalna nadzieja?"). Tekst tego wystąpienia – podobnie jak pozostałych – udostępniono w całości w internecie i zdecydowanie warto doń zajrzeć, jest to bowiem rzadki przykład połączenia twardej nauki i filozoficznej głębi.

W duchu Junga i Kołakowskiego – choć opierając się na badaniach mózgu, nie zaś na analizach wytworów psyche czy zachodniej tradycji filozoficznej – McGilchrist demonstruje, jak chrześcijańska opowieść harmonijnie splata myślenie skupione na szczególe z perspektywą integrującą, obejmującą całość. Przy czym we współczesnej zachodniej kulturze dostrzega zachwianie tych proporcji. Punktuje rosnącą przewagę technokracji nad mądrością, biurokracji i algorytmu nad zróżnicowanym ludzkim oglądem wspartym na wartościach i sumieniu, bezsensu nad sensem, kalkulacji nad troską. Nie jest przy tym ani specjalnym pesymistą, ani optymistą. Nie twierdzi, że z całą pewnością zawrócimy z tej drogi, lecz tylko że nie opłaca się dalej nią iść, a zwrot w stronę chrześcijańskiej tradycji – wraz z jej upostaciowieniem w filozofii, micie, muzyce, architekturze, sztuce i symbolu – mógłby przynieść korzystne skutki.

Myślę, że warto tę propozycję przynajmniej solidnie przemyśleć. I wziąć w duży nawias rozmaite uprzedzenia i przesądy, od których postoświeceniowy umysł, wbrew temu, co sobie wyobraża, nie jest bynajmniej wolny. I na których – skądinąd – korzystają dziś najbardziej wielkie korporacje i cynicznie usposobieni politycy. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 94d9ff4ce5

REKLAMA



Wieś w Polsce dramatycznie się wyludnia, zanikają całe społeczności! Niegdyś tętniące życiem miejscowości zamierają, młodzi wyjeżdżają do miast. Starsi mieszkańcy często zostają bez opieki, czują się samotni i mają utrudniony dostęp do pomocy oraz wsparcia.

Wielu naszych Podopiecznych mieszka daleko od miast, czasem w pojedynczych domach albo na skraju lasu. W takich miejscach wszystko jest „dalej": apteka, przychodnia, pomoc społeczna. Tam, gdzie w mieście wsparcie instytucji bywa normą, na wsi często po prostu nie dociera. Zdarza się, że nawet zakup leków czy zorganizowanie podstawowej pielęgnacji staje się trudnym wyzwaniem. Bardzo trudno jest też zbudować profesjonalny zespół medyczny.

Przekazując 1,5% podatku Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza przywracasz godność i nadzieję ludziom u kresu życia na wsiach. To Państwa wsparcie sprawia, że hospicjum to nie tylko nazwa, ale realna obecność: w domu chorego, w hospicjum stacjonarnym, przy opiekunach ciężko chorych członków rodziny.



Trzeba uświadamiać oraz niejednokrotnie wkładać kij w mrowisko systemu. Pokazywać, że można zrobić coś inaczej i że przynosi to efekty. Budowa hospicjum na wsi, nowy model hospicjum domowego czy projekt „Dać, to czego naprawdę potrzeba", który ma na celu pomoc wszystkim osobom potrzebującym mieszkających na wsiach u kresu ich życia – to przykłady na to, że rzeczywistość można zmieniać.

dr Paweł Grabowski
założyciel i lekarz w Fundacji Hospicjum Proroka Eliasza

Więcej informacji znajdziesz na: **www.hospicjumeliasz.pl**

KRS: 0000328837

eprasa.pl 94d9ff4ce5


NARODOWY
STARY TEATR
PREMIERA: 25 KWIETNIA 2026
REQUIEM DLA SNU
NA PODSTAWIE POWIEŚCI HUBERTA SELBY'EGO JR.
SKRZYWANEK • CZAPLIŃSKI • MASECKI
KOPRODUCENT SPEKTAKLU
STUDIO teatrgaleria
instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy
PATRONAT MEDIALNY
MINT
wprost
Trójka POLSKIE RADIO
Radio Kraków
Radio Kraków Kultura
WSPÓŁPRACA PR
OKO!
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
REKLAMA